

Nobel 1966

Szmuel Josef AGNON



Od Buczacza do Jerozolimy

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

**Szmuel Josef
AGNON**

**Od Buczacza
do Jerozolimy
Opowiadania**

**Przełożył
Michał Friedman**

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Szmuel Josef Agnon, którego właściwe nazwisko brzmi Czaczkes, urodził się w Buczaczu, powiatowym mieście we wschodniej Małopolsce, w roku 1880. Wychował się w rodzinie mocno przywiązanej do żydowskiej tradycji. W młodości odebrał staranne wykształcenie w zakresie nauk judaistycznych. Uzupełnił swoją wiedzę w świeckich szkołach. Był zwolennikiem Żydowskiego Ruchu Oświecenia, zwanego Haskalą. Od najmłodszych lat przejawiał talent literacki. Pierwsze jego utwory to opowiadania z życia religijnych Żydów. Pisał wtedy po żydowsku. W 1907 roku wyjechał do ówczesnej Palestyny. Mieszkając w Jaffie, zaczął tworzyć w języku hebrajskim. W latach 1913—1924 przebywał w Niemczech. Aktywnie uczestniczył wtedy w życiu literackim społeczności żydowskiej. W 1924 roku wrócił do Palestyny i osiadł na stałe w Jerozolimie. Tu powstała większość jego hebrajskich utworów. Przeplatają się w nich motywy z życia Żydów polskich z motywami Palestyny i później Izraela. W 1930 roku przyjechał w odwiedziny do Polski.

W 1966 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Lata 1967 i 1968 nie sprzyjały publikowaniu jego utworów w Polsce i dotąd nie ukazała się u nas żadna jego książka.

Zmarł w Jerozolimie w 1970 roku.

Zaczął pisać w wieku ośmiu lat. Pierwszy dojrzały poemat napisał w 1903 roku po żydowsku. Regularnie współpracował z czasopismami „Hamicpeh”¹ i „Jidiszer Weker”². Do wyjazdu z Buczacza zdążył opublikować około 70 utworów w obu językach. Były to poematy, opowiadania, eseje. Często podpisywał swoje utwory pseudonimami. Jego najbardziej znany utwór w języku żydowskim to opowiadanie *Tojtn-tanc* (*Taniec śmier-*

¹ *Hamicpeh* — wieża obserwacyjna

² *Jidiszer Weker* — żydowski budziciel

ci). Był wtedy pod silnym wpływem niemieckiego neoromantyzmu. Po opuszczeniu Buczacza przestał pisać po żydowsku.

Kiedy przybył do Palestyny, był już znanym pisarzem. Dotychczasowy świat pisarza, żydowskie miasteczko „sztetl”, przestał go interesować. Zadebiutował w Palestynie dwoma hebrajskimi opowiadaniem: *Agunot* (*Opuszczone żony*), skąd notabene wzięło się jego nowe nazwisko pisarskie Agnon, oraz *Wehaja heakow lemiszor* (*Krzywe stanie się proste*).

W 1913 roku wyjechał do Niemiec. Jednym z powodów wyjazdu były trudności przystosowania się do odmiennych warunków życia w Palestynie. Pierwsza wojna światowa zastała go więc w Berlinie, gdzie mieszkał aż do jej zakończenia.

Razem z Martinem Buberem zbierał chasydzkie opowiadania z zamiarem wydania ich drukiem. Niestety wybuchły w mieszkaniu pożar większość ich strawił. Wśród ocalałych utworów znalazł się między innymi zbiór opowieści żydowskich z Polski wydany pod tytułem *Polin* (*Polska*).

Po dwunastu latach nieobecności Agnon wrócił do Palestyny (1924). Tym razem na stałe. Osiadł w Jerozolimie i tu powstały utwory, które wyniosły go do godności laureata nagrody literackiej Nobla w 1966 roku.

W 1931 r. Agnon wydał powieść pod tytułem *Hachnasat kala* (*Wydanie panny za mąż*), gdzie przedstawił wyśmiewany przez racjonalistów świat chasydów.

W 1935 roku ukazuje się opowieść *Sipur paszut* (*Proste opowiadanie*). W sposób realistyczny przedstawia życie żydowskiego mieszczaństwa. Nie szczędzi mu ostrych słów krytyki. W pięćdziesiątą rocznicę urodzin wydaje Agnon *Jamim Noraim*. Jest to zbiór legend opartych na kanwie ludowych opowieści związanych ze świętami żydowskimi zwanymi Straszными Dniami. Są to dni pokuty od Rosz Haszana (Nowy Rok) do Jom Kipur (Dzień Pojednania).

W 1945 roku Agnon wydał powieść *Tmol szilzom* (*Wczoraj i przedwczoraj*). Opisuje w niej wielką emigrację Żydów do Palestyny w latach 1904—1914.

Ostatnim jego utworem, wydanym już pośmiertnie przez córkę (1971), jest powieść *Szira*, odbiegająca daleko od dotychczasowej tematyki. Opisuje w niej los dwojga ludzi związanych miłością w związku pozamałżeńskim. Powieść głęboko psychologiczna.

W twórczości Agnona opowiadania zajmują dominującą pozycję. Napisał ich mnóstwo. Należą do nich między innymi *Mitpachat (Chusta)*, rzecz o próbach osiedlenia się w Palestynie, *Tehila (Tehila)*, *Haszanim hatowot (Dobre lata)*, *Hatizmoret (Orkiestra)*, *Panim acherot (Inne oblicze)*, *Ha-adonit we-ha-zochel (Pani i domokrążca)*. Oprócz opowiadań napisał rzecz pt. *Sefer, sofer wesipur (Książka, pisarz i powieść)*.

Do opowieści współczesnych należą *Ad olam (Na wieki)* i *Haneszika hariszona (Pierwszy pocałunek)*.

Twórczość Agnona wydana została w 16 tomach. Oprócz Nagrody Nobla otrzymał dwukrotnie państwową nagrodę Izraela w 1954 i 1958 roku. Był członkiem Akademii Języka Hebrajskiego, a uniwersytet w Jerozolimie i Beit Midrasz le Rabanim w Nowym Jorku przyznały mu tytuł doktora *honoris causa*.

Dwaj uczeni w piśmie, którzy żyli w naszym mieście

1

Kilkadziesiąt lat temu, kiedy Tora była u Żydów w poszanowaniu, kiedy stanowiła ich największy skarb, miasto nasze dzięki swoim uczonym mężom, którzy opromieniali je blaskiem wiedzy, zaliczało się do najwspanialszych w państwie. Wiele dla upowszechnienia nauki uczynił nie tylko stary *beit hamidrasz*^{*}, który stał się niemal zajezdnym domem uczonych, ale również nowo zbudowana bóżnica. W naszym mieście nawet ulice i targowiska spełniały zadanie zawarte w znanym wersecie: „na placach i na ulicach rozbrzmiewać będzie śpiew mądrości”.

I kiedy ludzie stali na placu targowym i toczyli spory w sprawie zawieranych interesów, podejmowanych przedsięwzięć, spłacania pożyczek i obliczania zysków i strat, wcale nie chodziło im o pieniądze, ale o sposób postępowania, który byłby zgodny z przepisami zawartymi w *Szulchan Aruch*. Nawet nosiwody przy studniach rozprawiali o Torze. Szczególnie wyróżniała się nowa bóżnica, w której od połowy miesiąca Aw aż do siedemnastego dnia miesiąca Tamuz ani na chwilę nie zgasło światło. Wybudował ją na swoim podwórzu pewien bogacz z naszego miasta z myślą, aby pozostała we władaniu jego potomków, gdyż każdy budynek, w którym znajduje się święte miejsce, pozostaje na zawsze w rodzie tego, co go zbudował. Zostawmy teraz sprawy, które z nadejściem Mesjasza przestaną istnieć i przejdźmy do opowiedzenia historii o dwóch wielkich uczonych w Piśmie, którzy w owym czasie żyli w naszym mieście, a był to czas, kiedy Tora była dla wszystkich rzeczą najważniejszą, kiedy była największą radością i najmocniejszą twierdzą.

* *Beit hamidrasz* („dom nauki”) — miejsce studiów Prawa i dyskusji nad problemami judaizmu. Nauczycielami w nim byli często wędrowni kaznodzieje zapraszani przez gminę.

Pewnego dnia, gdzieś między świętami Pesach i Szawuot, zjawił się w bóżnicy człowiek z dużym bochenkiem wiejskiego chleba w ręku. Taki bochenek ma wystarczyć człowiekowi ze wsi na sześć dni. Oprócz chleba przybysz przyniósł w torbie trochę owoców i jarzyn. Wszedłszy do środka, rozejrzał się po kątach i stwierdziwszy, że ściany są obstawione regałami pełnymi ksiązek, dał wyraz swojej radości, jako że trafił na właściwe miejsce. Zdziwił się jednak, że bóżnica, o której mówiono, że nauka odbywa się w niej bezustannie, świeci teraz pustką. Tego dnia bowiem miejscowy bogacz wyprawiał zaręczyny swojej córki, która zakochała się w młodzieńcu z bardzo bogatej i nobliwej rodziny. Młodzieniec wraz z ojcem — gaonem* właśnie miał przyjechać i cała ludność naszego miasta wyszła, aby ich powitać.

Przybysz nie zastawszy nikogo w bóżnicy, położył na ławce swoje rzeczy, wziął Gemarę i zaczął ją studiować. I tak ślęczał nad księgą aż do chwili, kiedy ludzie wrócili ze spotkania z owym młodzieńcem, narzeczonym córki bogacza z naszego miasta. Za chwilę podszedł do niego jeden z tych, co wrócili ze spotkania, i powiada, to jest moja Gemara. Na to przybysz odparł, Tora, nauka, nie jest dziedziczną własnością. Widząc, że twardy z niego człowiek, odczepili się i dali mu spokój. I zasiadłszy do nauki, nie ruszył się już z miejsca aż do piątku w południe. W niedzielę, skoro świt, znowu zjawił się w bóżnicy z dużym bochenkiem i małą torbą owoców i jarzyn. Zajął swoje miejsce i zaczął ślęczeć nad Gemarą aż do następnego piątku w południe. Tego dnia przerywał naukę i udawał się do rodzinnej wsi. W niedzielę zrywał się o świcie i wracał do naszego miasta, aby dalej studiować w bóżnicy Gemarę. I tak postępował przez wiele tygodni

* *Gaon* — uczonego wielkiego formatu; tytuł dawnych rektorów jesziwy w średniowiecznej Persji.

i wiele miesięcy. W piątek z miasta do wsi, w niedzielę ze wsi do miasta, do bóżnicy.

3

Czas najwyższy, żeby go nazwać po imieniu i opowiadać, co o nim wiemy. Nazywał się Mojsze-Pinchos, pochodził ze wsi, był synem wiejskiego młynarza. W okresie wczesnej młodości uczył się razem z synami właściciela wsi, który do nauki zaangażował dobrych nauczycieli. Kiedy synowie właściciela wsi podrośli i zabrali się do innych niż nauka rzeczy, ojciec odprawił nauczycieli i Mojsze-Pinchos musiał zająć się własną edukacją. Pewnego razu przyjechał na wieś z sąsiedniego miasta rabin Gabriel Rejnisz, aby „skoszerować” młyn, czyli uczynić go czystym i zdatnym do mielenia mąki na Pesach. Rabin Gabriel Rejnisz, gaon i rabin, był autorem komentarza do jednego z rozdziałów *Szulchan Aruch*. Podczas kolacji młynarz poprosił go, aby przeegzaminował jego syna Mojsze-Pinchosa. Rabin Gabriel przywołał do siebie chłopca i czułym głosem zapytał: czego, chłopcze, zdążyłeś się nauczyć? Mojsze-Pinchos rzeczowo streścił to, co przerobił. Przekonał się rabin, że chłopiec umie sporo, i tak do młynarza powiada: syn twój dużo już umie, poślij go do mnie, do miasta, a ja się nim zajmę. Udał się Mojsze-Pinchos do miasta i zaczął pobierać naukę u rabina Gabriela. Kiedy w młynie było dużo pracy, Mojsze-Pinchos przerywał studia i wracał na wieś, aby pomagać ojcu. Po jakimś czasie reb Gabrielowi zaproponowano stanowisko rabina w innym mieście. Gaon Gabriel przyjął propozycję i przeniósł się tam. Pozostawiony bez nauczyciela, Mojsze-Pinchos zadał sobie pytanie: po co ja tu będę sterczał. Tymczasem zmarł mu ojciec i młyn został sprzedany. Nowy młynarz nie potrzebował Mojsze-Pinchosa, a rabin Gabriel zajęty nową funkcją w odległym mieście, nie odzywał się. Mojsze-Pinchos zdecydował się więc przyjść do naszego miasta, które słynęło wówczas w całej okolicy jako

ośrodek nauki. A jako że człowiek potrzebuje do życia łyżki zupy, kawałka mięsa i czystej koszuli, a kobieta powinna choć raz w tygodniu posłuchać słów kiduszu i hawdali*, przeto Mojsze-Pinchos w każdy piątek wracał na wieś do matki, która zaopatrywała go na cały tydzień we wszystko, czego potrzebował w mieście.

Siedzi Mojsze-Pinchos sześć dni w bóżnicy i w piątek wraca na wieś, do domu, do matki. Jeśli trafia mu się wóz, jedzie, jeśli nie, drałuje na piechotę. Od miasta do wsi — trzy mile. Po sześciu dniach siedzenia na jednym miejscu taki spacer bardzo mu dogadza. Latem zdejmuje buty i drałuje na bosaka, dochodząc do rzeki zrzuca ubranie i kąpie się w świeżej wodzie. Zimą zaś wczesnym rankiem kąpie się w gorącej mykwie, po czym, oczyszczony na cześć soboty, wyrusza na wieś do matki, aby na drugi dzień wieczorem, kiedy skończy się sobota, wrócić do bóżnicy. Szames, który odnosi się do synów Tory z szacunkiem, zawsze przynosi mu coś ciepłego do picia i poduszkę do spania. Jeśli szames nie należy do tych, co lubią zmyślać, to ciepły napój, jaki mu przynosił, zwykle bywał niewypijany, a poduszka nigdy nie była wykorzystana do spania. Mojsze-Pinchos bowiem był tak pogrążony w nauce, że nie pozwalał sobie na to, aby tracić czas na picie lub na najkrótszą nawet drzemkę.

4

Nasze matki opowiadają na podstawie tego, co usłyszały od innych, że Mojsze-Pinchos był średniego wzrostu, barczysty, miał kanciastą twarz, na której rosły rudawe kępkę włosów. Wplątane we włosy pejsy były skręcone w loczki, oczy szare, czoło pofałdowane. Latem i zimą nosił to samo zielone palto. I chociaż był tęgawy, chód miał lekki. Podczas mod-

* *Kidusz* — błogosławieństwo odmawiane nad kielichem wina w celu uświęcenia soboty. *Hawdala* — błogosławieństwo odprawiane na pożegnanie soboty.

litwy stał zawsze po prawej stronie stołu na bimie*, a przy odmawianiu osiemnastu błogosławieństw zwykł był wymachiwać ręką. Odganiał w ten sposób nawiedzające go podczas modlitwy pytania i odpowiedzi wynikłe z jego nieprzerwanych studiów nad Talmudem. Przykuty do krzesła, siedział nad księgą. Od czasu do czasu tylko odrywał się, aby się napić zimnej wody ze stojącej w pobliżu umywalki. Przykładał usta do kranika i podtrzymując jedną ręką myckę, żeby mu nie spadła z głowy, wypijał prawie pół zbiornika. Opowiadając również, że nigdy się nie uśmiechał i jeśli ktoś w jego obecności opowiedział jakiś żart, gniewnie marszczył czoło i oświadczał, że Żyd ma zbyt dużo zmartwień, żeby pozwolić sobie na śmiech. Zapraszany na obiad czy inny posiłek, odmawiał. Jeśli zaproszenie zostało mimo to powtórzone, oświadczał stanowczo, że sam ma obiad i z niczyjego zaproszenia nie skorzysta. Nazywano go „młodzieńcem dni powszednich”, ponieważ w bóżnicy bywał tylko w dni powszednie.

5

Zostawmy teraz Mojsze-Pinchosa i zajmijmy się narzeczoną sprowadzoną przez naszego bogacza. W niespełna rok po przyjeździe do naszego miasta młodzieniec ożenił się z córką Mordechaja Szejnera, kupca żelaza, bogacza z bogaczy wywodzącego swój ród od reb Mordechaja Jofego, właściciela dużego sklepu z ubraniami. Nie tu miejsce i nie teraz czas, aby opowiedzieć dokładnie o wszystkich szczegółach tego wesela, fakt, że nasze miasto spotkał wielki zaszczyt, albowiem zjechało się na wesele wielu rabinów oraz wiele innych znakomitości ze wszystkich krańców świata. Narze-

* *Bima* — podium wzniesione w środku bóżnicy, na którym w dni świąteczne, soboty, poniedziałki i czwartki czyta się odpowiedni rozdział Tory. Stąd też często, ale nie zawsze, śpiewa kantor.

czony reb Szłojme Halewi Horowic pochodził z Horowiców, potomków świętego Szloma Halewi. Powiadają, że od dwudziestu sześciu pokoleń, a nawet, jak niektórzy twierdzą, od trzydziestu sześciu kwitła w tym rodzie nauka Tory i nie było też w naszym kraju miasta, które by nie miało za rabina kogoś z tego rodu. Naszemu miastu także uśmiechnęło się szczęście mieć za rabina gaona, reb Pinchosa-Cudotwórcę, potomka z tejże rodziny. Opowiadają też, jak na chwilę przed śmiercią powiedział do zebranych w pokoju ludzi, że jest pewny, iż kiedyś na tym cmentarzu spocznie któryś z jego potomków. Nakazał też, aby obok niego nie pochowano nikogo, dopóki nie minie sto lat od jego śmierci, a i wtedy dopiero będzie można pochować tylko nieboszczyka z jego rodu. Reb Szłojme, zięć bogacza, był godnym synem tego rodu. W wieku lat szesnastu otrzymał od dwóch mędrców dyplom uprawniający do nauczania Tory. Kiedy stawał przed nimi do egzaminu, nie powiedział, kim jest. Dopiero po chlubnym zdaniu egzaminu ujawnił się. Słowem, postąpił zupełnie inaczej, niż czynią to tak zwani dobrze urodzeni, którzy powołują się zwykle na zasługi swoich ojców.

Już podczas siedmiu dni weselnych każda bóżnica w mieście czyniła starania, żeby Szłojme stał się jej członkiem i w niej się modlił. Stary beit hamidrasz powoływał się na to, iż posiada największy zbiór ksiąg. Nowy beit hamidrasz powoływał się na fakt, że w nim się modlą jego teść i ojciec teścia. Z drugiej strony ludzie ze starego beit hamidraszu uważali, że słusznym będzie, aby pan młody modlił się u nich, bo na podstawie historycznego przekazu wiadomo, że w nim modlił się kiedyś jego sławny przodek, gaon Pinchos-Cudotwórca. Pan młody, reb Szłojme, wybrał nowy beit hamidrasz, ponieważ stoi na wzgórzu, gdzie powietrze jest lepsze niż na dole. I kiedy reb Szłojme wchodził do bóżnicy, to blaskiem swego uroku opromieniał wszystkich obecnych. Piękna twarz, niebieskie oczy, kasztanowe włosy przyciągały wzrok. Ubrany był

tak, jak każdy pobożny uczony owego czasu. Krótkie spodnie wpuszczone w pończochy, miękkie buty i szeroki płaszcz. A wszystko, co nosił, najwyższej było jakości. Tak zwykle ubierali się synowie rabinów, którzy zasłużyli na dobre życie zarówno na tym, jak i na tamtym świecie. Był spokojny w postępowaniu i wyważony w słowach. Starsi ludzie zwracali się do niego per „rabi”, a młodzi starali się go naśladować we wszystkim, nawet w gestach i ruchach, jednym słowem chcieli być do niego podobni. Kto jednak potrafi upodobnić się do potomka tak znakomitych przodków? Mojsze-Pinchos, tak zawsze zajęty nauką, mało mówny i nie reagujący na słowa ludzi, na widok reb Szłojme odrywał się od ksiąg, żeby odprowadzić go do domu i przy sposobności uciąć sobie z nim rozmowę. Rozpoczętą rozmowę kontynuował w domu, rzecz bowiem dotyczyła scholastyki stosowanej w dyskusjach naukowych. Zajęty rozmową Mojsze-Pinchos nie zwracał nawet uwagi na niezadowolenie żony reb Szłojme, która wzorem młodych zakochanych mężatek niechętnym okiem patrzyła na obcego człowieka w domu. Była również niezadowolona z innego powodu. Reb Szłojme poznał trochę język niemiecki z przekładu *Psalmów* Mojsze Mendelsohna oraz przekładu poetyckich utworów religijnych reb Wolfa. Przekłady te wydrukowane były nie łacińską czcionką, ale hebrajską, a żona reb Szłojme, jak większość bogatych kobiet żydowskich w naszym mieście, pobierała naukę języków u prywatnego nauczyciela, dobrze znała język niemiecki i sama chciała nauczyć swego męża czytać i pisać w tym języku.

Częste wizyty reb Mojsze-Pinchosa przeszkadzały jej w lekcjach z mężem. Nie dziw więc, że miała mu za złe, iż zawraca głowę mężowi. Pomna jednak historii Dawida i jego żony Michal (II *Księga Samuela*, rozdział 6) nic nie mówiła. Reb Szłojme miał zamiar zganić ją za niechęć do Mojsze-Pinchosa, a że strasznie tego nie lubił, więc poprzestał tylko

na zwróceniu jej uwagi: „To dla nas wielki zaszczyt — powiedział — że reb Mojsze-Pinchos, który do nikogo nie chodzi, nasz dom regularnie odwiedza”. Ona zaś wtedy pomyślała: „Niechby sobie wszędzie i do wszystkich chodził, żeby tylko nie do nas”. A reb Mojsze-Pinchos ze swojej strony tak pomyślał: „Z pewnością ja, który nigdzie nie chodzę, swoją wizytą sprawiam mu ogromną radość”.

6

Dni miały powoli i nic nowego w mieście się nie wydarzyło. Lato było latem, a zima zimą. W tym czasie zawarto wiele małżeństw i wyprawiono wiele wesel. Mojsze-Pinchos na razie nie znalazł swego „szczęścia”. Jedni mówili, że pochłonięty nauką nie miał głowy do małżeństwa, drudzy zaś twierdzili, że winna temu jest jego matka, ciągle zasięgająca rad u wróżek, które odrzucają każdą kandydatkę na żonę jako nie pasującą do jej syna. Były to jednak tylko plotki. O tym przekonamy się trochę później. Bo kiedy nadejdzie odpowiedni czas, Mojsze-Pinchos wstąpi w związek małżeński. Na razie jednak jest nadal kawalerem i do modlitwy tałesu nie nakłada.

Trzeba nadmienić, iż owego roku, kiedy teść reb Szłojme, sędziwy starzec, obdarzony został zaszczytem odczytania pierwszego fragmentu rozdziału z *Księgi Rodzaju*, zobowiązał się ofiarować sporą sumę reńskich na remont starego beit hamidraszu. Oprócz tego przeznaczył odpowiednią sumę pieniędzy na zakup opału dla bóżnicy. W naszym mieście był zwyczaj, że kto został obdarzony zaszczytem odczytania pierwszego fragmentu *Księgi Rodzaju*, ten ofiarowywał pieniądze na opał dla beit hamidraszu. A czas już był najwyższy, żeby bóżnicę poddać remontowi. I jak przystało na bogatego i nobliwego człowieka, pieniądze szybko przekazał gabemu, a ten nie wykorzystał ich do własnych celów, tylko natych-

miast zaangażował rzemieślnika i zakupił drewno oraz cegły potrzebne do remontu. Rzemieślnik jednak, nawykły do ciągłego uganiania się za pracą, w chwili kiedy dostał pieniądze, przestał się spieszyć. Tak w zasadzie postępują wszyscy rzemieślnicy. Najpierw gwałtownie poszukują pracy, a kiedy ją znajdują, nie przystępują do niej od razu, zaczynają się oglądać za inną, może lepszą. Tymczasem nastąpiły mrozy i spadł śnieg. A kiedy przychodzą mrozy, ustają prace budowlane. Zima była ostra i wielu ludzi rozchorowało się. Nasz bogacz, człowiek delikatnego zdrowia, siedział w bóżnicy przy dziurawej ścianie, tuż obok okna, przez które wiał wiatr, i przeziębził się. Przeleżał w łóżku od zimowego święta Chanuka do wiosennego święta Pesach. Wskutek niewyremontowania na czas bóżnicy przeziębził się. Dołożył wtedy rzemieślnikowi trochę pieniędzy, aby szparę w ścianie szybko zatkał i zatynkował. Tak się też stało. Szpara przy oknie została zatkana, cała ściana na nowo otynkowana i wyrównana. Kiedy remont został wykonany, wstał jeden z uczących się w bóżnicy i oświadczył, że nie wolno było zrobić remontu, gdyż w pewnym stopniu dopuszczono się profanacji świętego miejsca. Na te słowa wszedł do bóżnicy reb Szłojme. Ten, który mówił o profanacji, zwrócił się do reb Szłojme o jego zdanie. Moj-sze-Pinchos zerwał się wtedy ze swego miejsca i przyłączając się do przedmówcy głośno oświadczył: nie wolno powierzchni bóżnicy zmieniać, nie wolno jej zmniejszyć nawet o jeden palec, gdyż jest napisane: „nie zrobisz tego Bogu, twojemu Bogu”. Usłyszawszy to, reb Szłojme starał się go uspokoić. Powiedział, że sam też podziela to zdanie, ale remont już został dokonany, więc nie ma o czym mówić. Widząc jednak, jak ten wyrośnięty już kawaler szarpie się i krzyczy, sypie całym garściami cytatów i dowodów, machnął ręką i powiedział niby żartem: „kawaler odprawia kidusz nad ziarnkiem kaszy”. Niby z armaty strzela do muchy.

Skąd pochodzi to porzekadło, nie wiem, ale w naszym mieście było w powszechnym użyciu. Stosowano je, żeby zganić młodych, którzy zbyt natarczywie pchali się do środowiska starszych i ważniejszych ludzi. Mojsze-Pinchos, który jedną trzecią życia miał już za sobą i nadal z braku okazji trwał w stanie kawalerskim, zatrzymał się przez chwilę, potem wrócił na swoje miejsce i rozżalony zaczął wyskubywać z brody kępki włosów. Od tej chwili przestał rozmawiać z reb Szłojme i na jego pozdrowienia ledwo raczył odpowiadać. Z początku nikt nie zwrócił na to uwagi, ale potem nie posiadano się ze zdumienia. Jak to się stało, że reb Szłojme, człowiek, który żywił szacunek do najmniejszego z maluczkich, pozwolił sobie na oczach ludzi obrazić uczonego w Piśmie męża. Ale jeszcze bardziej złościło się na Mojsze-Pinchosa, który okazał się aż do przesady mściwym. W jakiś czas potem reb Szłojme podszedł do Mojsze-Pinchosa i powiedział: proszę mi wybaczyć, zupełnie niechcący wyrwało mi się porzekadło o kiduszu i kaszy. Mojsze-Pinchos zmierzył go przenikliwym wzrokiem i nic nie powiedział.

Tego samego dnia miejscowy księgarz przyniósł do bóżnicy książkę pt. *Kecot hachoszen (Skraj szat arcykapłana)*. Potoczyła się rozmowa na temat autora, który w biedzie i nędzy studiował Torę. Za stół służyła mu deska położona na dwóch beczkach. W zimie, nie mając drzewa do palenia w piecu, kładł się w ubraniu do łóżka i tam pisał. Bywało, że atrament zamarzał i trzeba było kałamarz przykryć poduszką, żeby odtajał. Kiedy autor ukończył pierwszą część książki, udał się do wielkiego gaona, rabiego Meszułama Igry i rozwinął przed nim cały wywód scholastyczny. Gaon Meszułam szybko przerwał mu, mówiąc: już wiem, chodziło wam o to i o to. Nie — odpowiedział mu — wcale nie o to mi chodziło. Zastanowił się wtedy rabi Meszułam i po chwili oświadczył: a więc znaczy to, że mieliście na myśli albo to,

albo owo. Słowem, okazało się, że nie ma takiego odkrywającego komentarza lub objaśnienia, którego gaon Meszułam nie dokonałby już wcześniej. Rabi Meszułam potrafił bowiem wnikać w sposób myślenia każdego mędrca i dlatego tym razem również zdołał wychwycić każdą myśl autora książki. Po chwili autor książki powiada do gaona, miałem zamiar zabrać się do pracy nad następną częścią książki, ale skoro tak jest, dochodzę do wniosku, że byłby do daremny trud. Niech rabi od razu mi powie, co mam po nowemu objaśnić. Spostrzegł się rabi Meszułam, że zmartwił wielkiego człowieka, i poczuł wyrzuty sumienia. Kiedy rozmowa zesła na ten temat, reb Szłojme od siebie dodał, że od tego czasu skruszony rabi Meszułam pościł dwa razy w tygodniu, w poniedziałek i czwartek. Westchnął też i oświadczył: mnie zaś do świątobliwości reb Meszułama bardzo daleko. Ludzie widząc, do czego reb Szłojme doszedł w obwinianiu się, powiedzieli, że reb Mojsze-Pinchos nie może się równać pod względem wiedzy z gaonem Meszułamem. Reb Szłojme wtedy oświadczył, że reb Mojsze-Pinchos jest wielkim uczonym w Piśmie, który studiuje Torę dla samej tylko Tory. Kiedy przekazano to Mojsze-Pinchosowi, ten wzruszył tylko ramionami i powiedział: dajcie mi święty spokój, nie chcę więcej o nim słyszeć. Wziął Gemarę i opuścił bóżnicę. Minął dzień, minęły dwa dni i Mojsze-Pinchos nie zjawił się w bóżnicy. Wszyscy byli pewni, że udał się na wieś, do matki, chociaż dotychczas w powszedni dzień tygodnia tego nie czynił. Po kilku dalszych dniach ktoś przechodzący obok bóżnicy krawców usłyszał wydobywający się zza ściany głos człowieka studiującego Torę. Był to głos Mojsze-Pinchosa.

Bóżnica krawców stoi na wzgórzu na wprost mykwy i góruje nad starym beit hamidraszem. Jest trochę podobna do wielkiej bóżnicy. Wewnątrz ozdobiona jest obrazami merkawy*, instrumentów muzycznych używanych przez lewitów

* *Merkawa* — niebiańska karetka.

w Świątyni Pańskiej i zwierząt. Pod każdym obrazem widać napisy jakiegoś tanaity. Pod obrazem lamparta widnieje dla przykładu napis: „Bądź silny jak lampart”. Pod orłem: „Bądź lekki jak orzeł”, pod jeleniem: „Biegnij jak jeleń”, pod lwem: „Mocny jak lew”. Pod wszystkimi zaś obrazami figuruje napis: „Aby spełnić wolę naszego Ojca w niebiosach”.

Dlaczego o tym mówię? Aby wskazać, że mędrzec uczy się z każdej rzeczy, że patrząc na obrazy, podporządkowuje swoje serce Torze. Opowiadają, że udające się do mykwy kobiety, słysząc jego głos, szybko wyrażały życzenie urodzenia takich synów jak Mojsze-Pinchos.

8

Tymczasem wyczerpały się pieniądze, które jego matka uzyskała ze sprzedaży młyna. Oznaczało to, że Mojsze-Pinchos nie miał już środków do życia. Wtedy przyszła pomoc z najmniej oczekiwanej strony. Zamożni gospodarze miasta zaczęli posyłać do niego swoich synów na naukę. Chodzą słuchy, że to reb Szłojme namówił ich do tego. Mojsze-Pinchos wybrał sobie spośród wszystkich kandydatów do nauki trzech albo czterech dorosłych chłopców i zaczął z nimi przerabiać Gemarę, komentarze Raszi i Tosafot. Za naukę otrzymywał tyle, ile wystarczało mu nie tylko na życie, ale też na pomoc pieniężną dla matki. Od tej chwili nie musiał już chodzić na wieś i tracić czasu na pokonywanie odległości między miastem a wsią. Pozostała tylko bardzo dla matki ważna sprawa, a mianowicie kidusz i hawdala. Dotychczas odprawiał je Mojsze-Pinchos podczas sobotniego pobytu na wsi. Dzięki Bogu jednak było trochę Żydów na wsi, a drzwi żydowskiego domu są otwarte dla każdego, kto chce usłyszeć Słowo Boże.

Pewien krawiec przyjął Mojsze-Pinchosa na mieszkanie i uszył mu nawet ubranie, prawda, że nie z takiego materiału,

z jakiego uszyte było ubranie reb Szłojme, ale jednak z takiego, które śmiało można było nosić. Inni rzemieślnicy poszli w ślady krawca. Czapnik uszył mu czapkę, a szewc buty. W piątek, kiedy reb Mojsze-Pinchos wszedł do mykwy, zabrali mu starą czapkę, stare ubranie i stare buty, a położyli na ich miejsce nowe. Ubrany w nowe szaty, nową czapkę i nowe buty, Mojsze-Pinchos wyglądał jak nowy człowiek. Jego uczniowie, którzy przekonali się, jak wielkim jest uczonym w Piśmie, zwracali się do niego per „rabi”, krawcy zaś oraz pozostali rzemieślnicy głośno dawali wyraz swojej dumie, iż rabi modli się i uczy w ich bóżnicy. Każdy rzemieślnik z utęsknieniem wypatrywał, a nuż zechce się ożenić z jego córką. Wszystkich ubiegł reb Meircze, właściciel sklepu manufaktury, syn znanej z bogobożności Szejndli. Reb Meircze miał jeden sklep i jedną córkę. Wykosztował się i za sto pięćdziesiąt reńskich posagu wziął Mojsze-Pinchosa za zięcia. Stąd wniosek, że wszystkie plotki, z którymi ludzie się obnoszą, nie są warte szeląga, bo kiedy przychodzi odpowiednia chwila do żeniaczki, człowiek zawsze swoją partnerkę znajdzie.

A kiedy Mojsze-Pinchos miał już żonę, mógł wreszcie zająć miejsce wśród ważnych ludzi miasta, mógł rozprawiać o Torze z wielkimi uczonymi noszącymi tałesy. On jednak nie ruszył się ze swego miejsca w bóżnicy krawców i dotychczasowego trybu życia nie zmienił. A że teść zaspokajał wszystkie jego potrzeby materialne, odprawił uczniów i zajął się tylko własną edukacją. I tak znowu przez sześć dni, czyli od niedzieli do piątku po południu, ślęczał nad książkami. Nawet w piątek wieczorem nie wracał do domu. Latem studiował w bóżnicy krawców, a w zimie, kiedy nie była ogrzewana, przenosił się do starego beit hamidraszu. Nie tylko prości Żydzi, ale nawet niektórzy uczeni w Piśmie zaczęli go tytułować „rabi”. On jednak nie przywiązywał do tego wagi. Szacunek ludzi zawdzięczał temu, że doskonale opanował wszystkie sześć porządków Miszny, zawierające sześćdziesiąt trzy traktaty.

Na razie nie mamy nic więcej do opowiedzenia o reb Mojsze-Pinchosie. Całe bowiem jego życie to nauka, to Mi-szna, to komentatorzy Talmudu i same komentarze. Ledwo wylazł z jednego traktatu, a już wlaził w następny. Natomiast o reb Szłojme mamy wiele do opowiedzenia. Do naszej okolicy przybyły na manewry cesarskie wojska pod dowództwem arcyksięcia. Przedstawiciele żydowskiej gminy pomyśleli, że przy tej okazji arcyksiążę zawita do bóżnicy, żeby złożyć Żydom uszanowanie. Pech chciał, że w gminie nie było człowieka, który by potrafił wygłosić powitalne przemówienie w języku urzędowym. W owym czasie nasze miasto nie miało urzędowego rabina, tylko dajana*, a ten nie wygłaszał kazań nawet w szabat teszuwa i w szabat hagadol**, tym bardziej w obcym języku. Postanowiono przeto sprowadzić mówcę z Tamopola, wybranego spośród uczniów Josefa Todrosa, którego nazywali Josef Perl. Wtedy reb Szłojme zabrał głos i oświadczył, że on podejmuje się wygłosić przemówienie powitalne, jest przy tym pewny, że zasługi jego świętych przodków wesprą go w tym zbożnym dziele. Rzecz jasna, wszyscy się ucieszyli z faktu, że nie trzeba sprowadzać z daleka mówcy, i to nie najwyższego lotu. Jednocześnie dziwili się, że reb Szłojme odważa się wygłosić przemówienie w języku dla niego niezwykłym. Gdyby mu przemówienie nie wyszło, byłaby z tego dla Żydów raczej szkoda niż korzyść. Wszyscy mieszkańcy miasta zaczęli modlić się do Boga, żeby reb Szłojme nie potknął się na żadnym słowie i żeby jego przemówienie znalazło uznanie w oczach arcyksięcia. Wynik był dobry. Częściowo dzięki modlitwom i częściowo dzięki mądrości samego reb Szłojme. Kiedy stanął przed Aron Ha-

* *Dajan* — sędzia.

** *Szabat teszuwa* — sobota pokutna w okresie 10 Strasznych Dni, od Rosz Haszana do Jom Kipur. *Szabat hagadol* — wielka sobota przed świętem Pesach.

kodesz* i przywitał arcyksięcia, uświęcił i uwznioślił Imię Boga. Udowodnił wszystkim, że człowiek, dla którego Tora jest najważniejszą sprawą, staje się ze wszech miar mądrym. I nie było w tym żadnego cudu, gdyż reb Szłojme znał na pamięć cały Psalterz w przekładzie Mendelsohna oraz wszystkie hymny poetyckie w niemieckim przekładzie reb Wolfa, poza tym od małżonki, która znała niemiecki, zdążył się wiele nauczyć. To przemówienie rozślawiło go w całym kraju. Reb Szłojme nie chciał, by go zbyt chwalono, ani żeby ludzie mówili, że znajomość języka niemieckiego uczyniła go sławnym. Nie chciał też, żeby maskile** wykorzystali to jako pretekst do nawiązania z nim stosunków towarzyskich.

10

W tym czasie zwolniło się w odległym mieście stanowisko rabina. Zaproponowano je reb Szłojme, który zgodził się. Przed objęciem funkcji rabin pożegnał się ze wszystkimi ważnymi osobistościami miasta i z rodziną żony, po czym udał się na grób swego dziadka, gaona reb Pinchosa.

Następnie poszedł do reb Mojsze-Pinchosa i tak mu powiedział: Teraz, kiedy wyjeżdżam do innego miasta, nastał czas, abyśmy się pogodzili, bardzo was o to proszę. Reb Mojsze-Pinchos odparł: Między nami zgody być nie może ani na tym, ani na tamym świecie. Westchnął reb Szłojme i odszedł z niczym.

Zgodnie z obyczajem mieszkańcy miasta zbierają się w dzień przybycia rabina w wielkiej bóżnicy, aby wysłuchać jego kazania. Jeśli rabin cieszy się sławą wielkiego uczonego, do bóżnicy przybywają również Żydzi z innych miast. Treść kazania zostaje wcześniej podana do wiadomości, aby uczeni w Piśmie mogli się przygotować do dyskusji scholastycznej z no-

* *Aron Hakodesz* — wmurowana lub wbudowana we wschodniej ścianie bóżnicy święta szafa, w której przechowuje się zwoje Tory.

** *Maskile* — ludzie żydowskiego oświecenia (Haskali).

wym rabinem. Dawniej bywało, że dyskutanci wpadali w słowa mówcy, żeby przedstawić własne rozważania scholastyczne. Kiedy jednak stwierdzono, że prowadzi to do zamieszania, postanowiono nie przerywać mówcy i dopiero po zakończeniu kazania pozwolić dyskutantom na zadawanie pytań. Dzisiaj jednak, kiedy wiedza i mądrość nie są już na takim poziomie jak ongiś, a kaznodzieje znają tylko to, co w trakcie przygotowywania kazania opanowali, zadaje się pytania rabinowi w domu. Jeżeli rabin wie, co odpowiedzieć, odpowiada, jeśli nie wie, wykręca się od odpowiedzi pod pretekstem, że jest zmęczony. W opisywanym przez nas czasie pytania zadawano mówcy od razu po wygłoszeniu kazania, w obecności wszystkich zgromadzonych w bóżnicy. Zgodnie więc z tym obyczajem podano zawczasu do publicznej wiadomości dzień i temat kazania, które miało być wygłoszone. Tezy kazania wysłano również do okolicznych miast, żeby zapewnić większy udział w dyskusji. Takie pismo z tezami kazania rabina doszło również do naszego miasta.

11

I oto pewnego pogodnego dnia reb Mojsze-Pinchos zawiadamia żonę, że wyjeżdża na kilka dni. Żona, dla której słowo męża wiele znaczyło, nie zapytała go, dokąd i w jakim celu jedzie, szybko przygotowała mu prowiant na drogę i pożegnała. Wziął swój tałas i tefilin i wyruszył w drogę. W mieście, do którego się udał, reb Szłojme dopiero co objął stanowisko rabina.

Miasto roiło się od przyjezdnych. Wielu przybyło ze względu na reb Szłojme, wielu też przybyło po to, aby zobaczyć tych, co przyjechali. Tak więc jedni biegli zobaczyć nowego rabina, a drudzy rozglądali się za przybyszami. Każdy chciał się pochwalić tym, kogo zdążył zobaczyć. Uczni w Piśmie chodzili po mieście prowadząc dyskusje sami ze sobą. Jeden taki uczony powiada do siebie: Jeśli reb Szłojme powie to a to lub tak i tak, to ja go zapytam tak, a jeśli

odpowie siak, to znowu zapytam jak. W ten sposób postępuje każdy z uczonych, którzy przygotowywali się do dyskusji z rabinem. Wśród przybyłych jest także Mojsze-Pinchos. Siedzi już w bóżnicy i wczytuje się w talmudyczne kwestie przewidziane w kazaniu rabina Szłojme.

Prawie całe miasto zebrało się w wielkiej bóżnicy. Z samego rana wypełniona już była po brzegi, bo ci, co odmówili poranną modlitwę, już w niej pozostali. Kiedy reb Szłojme wszedł do bóżnicy, mając po swojej prawej stronie ojca gaona, a po lewej wuja, również gaona, w oczach zebranych pojawiły się łzy radości. Oto bowiem spłynęło na nich szczęście ujrzenia dwóch starych gaonów, w których wcieliła się Tora. Tak więc przyszedł reb Szłojme w towarzystwie ojca i wuja oraz wielu rabinów i uczonych w Piśmie, z których najmniejszy nawet uczony byłby dzisiaj gaonem. Zebrani w bóżnicy ludzie przywitali ich z ogromną radością i tak gromkimi wiwatami, że mosiężne lampy zaczęły się kołysać.

12

Reb Szłojme podszedł do Aron Hakodesz i stanął twarzą do obecnych. Owinął się w nowy tałas i odmówił stosowne błogosławieństwo. Pocałował *parochet** i odmówił kilka wersetów, aby uzbroić się przeciw pysze, i zaczął przemawiać: mówił mądrze, ze znajomością rzeczy, raz posługiwał się metodą scholastyki, raz jasnymi i racjonalnymi komentarzami. Z jego ust, można powiedzieć, sypały się perły. Potrafił pięknie przemawiać w gojskim języku, a cóż dopiero w świętym języku, w języku, w którym przez całe życie tkwił po uszy. Od pierwszych słów kazania ludzi w bóżnicy ogarnęła radość. Jakże nam — powiedzieli — błogo, kiedy mamy takiego rabina. Rozpierała ich duma. Pewien rzeźnik z wiel-

* *Parochet* — zasłona zawieszona na Aron Hakodesz.

kiego zachwytu krzyknął: „gotów jestem dać się zarznąć za naszego rabina”. I nawet uczeni w Piśmie, którzy przygotowali się do dyskusji, oniemieli i drżąc ze strachu starali się nie uronić ani jednego słowa z kazania.

A na twarzy stojącego w tałesie ozdobionym srebrną atarą reb Szłojme malowała się skromność.

A jego skromny głos przetaczał się od Talmudu Babilońskiego do Talmudu Jerozolimskiego, do słynnego uczonego Alfasiego i od niego do Rambama-Majmonidesa, i od niego do Rosza*, i od tych pierwszych do ostatnich komentatorów, i od ostatnich do pierwszych. Starzy ludzie opowiadają, że niektórzy spośród obecnych tam rabinów usiłowali podważyć tę lub inną tezę Szłojme, ale po zdecydowanej jego replice doszli do wniosku, że ich teza wobec jego tezy ma się jak ocet do wina. Dodali przy tym, że w oczach gaona, ojca reb Szłojme zauważyli podczas słuchania mowy syna łzy wzruszenia. Niektórzy również zauważyli, że reb Szłojme w czasie przemówienia kiwał od czasu do czasu głową w stronę ojca, a ten ręką pokazywał mu na Aron Hakodesz. Miało to znaczyć, że syn kiwając głową w stronę ojca chciał przez to powiedzieć, że wszystko zawdzięcza jemu, ojciec zaś, wskazując na Aron Hakodesz miał powiedzieć: synu mój, cała twoja wiedza stąd pochodzi.

13

I reb Szłojme dalej stoi i przemawia. I jego głos brzmi jak prawdziwy czysty trel słowika w letnią noc. I nagle wdziera się w ten czysty trel gruby, chrapliwy głos, i zaraz widać, że jakiś osobnik przepycha się wśród tłumu do Aron Hakodesz. I stanąwszy przed reb Szłojme

* *Rambam* — rabi Mosze ben Majman, czyli Majmonides, XII/XIII w. *Rosz* — rabi Aszer ben Jechiel, XIV w. *Ramban* — rabi Mosze ben Nachman-Nachmanides — przeciwnik Majmonidesa.

osobnik ten podniósł głos. Reb Szłojme przerwał na chwilę kazanie, chciał usłyszeć, czego ten człowiek chce. I kiedy wszyscy zobaczyli, że reb Szłojme wsluchuje się w słowa tego człowieka, nastawili uszu. I oto okazało się, że ten człowiek, opierając się na cytatach z Gemary, obala całe kazanie reb Szłojme. Ze wstydu wszyscy pokraśniali: jak to się stało, że oni sami wcześniej nie zauważyli sprzeczności kryjących się w kazaniu reb Szłojme? Niektórym się nawet wydawało, że dostrzegli te sprzeczności, ale zwodne brzmienie głosu reb Szłojme jakby odebrało im rozum. Tylko prości ludzie w bóżnicy dalej trwali przy swoim rabinie i widząc, że ten osobnik śmiał podważyć jego wywody, już gotowi byli roznieść napastnika na kawałki. Ale napastnik nie widział ich twarzy, nie widział wymalowanego na niej gniewu. On widział i wiedział tylko jedno: teraz jest czas i miejsce, aby obalić wszystkie nowatorskie komentarze tego przemądrzałego i niby wielce wykształconego reb Szłojme. Teraz ma okazję udowodnić wszem i wobec, że w jego kazaniu nie ma ani mądrości, ani wiedzy, tylko puste scholastyczne wywody. I niektórzy z tych prostych ludzi zbierali się już do zaatakowania napastnika.

14

Reb Szłojme uderzył ręką w pulpit i zawołał: dajcie mi posłuchać, co mówi reb Mojsze-Pinchos! I zaraz objąwszy go wzrokiem pełnym miłości i uśmiechnąwszy się do niego promiennie, czułym głosem powiedział: reb Mojsze-Pinchosie, bardzo was proszę o powtórzenie tego, coście przed chwilą powiedzieli, chcę sprawdzić, czy dobrze usłyszałem. Reb Mojsze-Pinchos powtórzył to, co powiedział, i dodał do tego jeszcze kilka ostrych i grubych słów. A reb Szłojme nadal patrzył na niego z miłością i wyglądało na to, że cieszy

się z własnej klęski. Kiedy reb Mojsze-Pinchos skończył to, co miał do powiedzenia, reb Szłojme zapytał: Reb Mojsze-Pinchosie, czy macie jeszcze coś do dodania? I tu reb Mojsze-Pinchos wpadł w gniew i zaczął gromko krzyżeć: Mało wam jeszcze tego, co powiedziałem, mało wam jeszcze tego, że zbudowaliście całą świątynię scholastycznych wywodów przeciwko temu, co wyraźnie napisane jest w Gemarze? Sy-paliście piasek w oczy zebranych, a ja go rozwiałem. Zebrani w bóżnicy ludzie boleli nad tym, że reb Szłojme został publicznie zawstydzony, niektórzy zaś z uczonych szczerze pragnęli stanąć w obronie rabina i odparować ataki reb Mojsze-Pinchosa, ale nie wiedzieli, w jaki sposób mają to uczynić, skoro uświadomili sobie, że reb Mojsze-Pinchos ma rację, bo reb Szłojme, ich zdaniem, faktycznie pomylił się w interpretacji wyraźnej tezy Gemary, przez co całe jego przemówienie zbudowane było na błędnym założeniu.

Reb Szłojme na chwilę przymknął swoje jasne oczy, po czym oświadczył: poruszyliście, reb Mojsze-Pinchos, zaiste trudną kwestię z Gemary i pozornie wygląda na to, że nie mam odpowiedzi, ale gdybyście głębiej w nią wniknęli, zobaczylibyście, że wersja tekstu, na który się powołujecie, zawiera błąd, na ten błąd wskazali już dwaj wielcy nasi uczeni: Marszał (Szachna Lurie) i B"CH (Joel Sirken), autor komentarza pt. *Bait-Chadasz*. Wnieśli oni do tej kwestii nowy komentarz na podstawie wersji Ri"ף (Rabi Icchak Alfasi), ja zaś zbudowałem swoją tezę na prawidłowej wersji, na której większość autorytetów naszych buduje halachę*. I tu reb Szłojme zaczął przechodzić od jednego autorytetu do drugiego, aby wreszcie ustalić halachę. Twarz reb Mojsze-Pinchosa w jednej chwili szerniała, nie wiedział, co odpowiedzieć, bo reb Szłojme miał rację. Zmieszał się i bezradny opuścił ręce, a reb Szłojme wrócił do przerwane go przemówienia. Po chwili reb Mojsze-Pinchos stuknął nogą w podłogę, aż się

* *Halacha* („chodzić, postępować”) — skodyfikowane zasady postępowania, przepisy prawne i religijne.

zatrzęsło, i krzyknął: Reb Horowic, wam to dobrze, bo za swoje pieniądze mogliście kupić książki, które zostały dokładnie przeczytane, ale mimo to wszystkie wasze przemówienia niewarte są złamanego szeląga, dzisiejsze zaś wasze kazanie jest czcze i puste. I zaraz zaczął obalać wszystko, co reb Szłojme przed chwilą powiedział, wszystko co do ostatniego słowa. I wszyscy uczeni w Piśmie, świadkowie tej repliki, nie mogli wyjść z podziwu dla Mojsze-Pinchosa. Zadawali sobie pytania, skąd u tego człowieka tyle siły i wiedzy. I oto reb Szłojme podniósł prawą rękę i spokojnym głosem oświadczył: Wielka jest, reb Mojsze-Pinchos, wasza mądrość i ogromna jest wasza wiedza, ale powiedzcie sami, czy prawdziwemu uczonemu w Piśmie wypada tak przekreślać Torę? My obaj przecież wiemy, że w sprzecznych argumentach, na które się powołujecie i za pomocą których chcecie obalić moje kazanie, niczego istotnego nie ma. I w ślad za tym oświadczeniem reb Szłojme użył chwytu polemicznego, za pomocą którego wyjaśnił wszystkie zarzucone mu przez Mojsze-Pinchosa sprzeczności. Reb Mojsze-Pinchos rozzłościł się, podskoczył i krzyknął: jeśli tak, to mam do was inne pytanie. I dobrał się do kazania reb Szłojme z innej strony. Zaczął po kolei obalać każde jego wyjaśnienie, każdy jego nowatorski komentarz. Nie pominął żadnego. Zachmużyło się oblicze reb Szłojme i niczym wojownik trafiony strzałą w samo serce, w samo siedlisko duszy, niczym rycerz, z którego zdjęto bojowy rynsztunek, ciężko westchnął.

Wszyscy pomyśleli, że reb Szłojme nie ma już więcej sił, aby stawić czoła temu, który okazał się silniejszy od niego, bo ciężko westchnąwszy, patrzył na reb Mojsze-Pinchosa bez śladu nienawiści w oczach. Przeciwnie, w jego wzroku była litość, aczkolwiek jeśli już trzeba mu było się litować, to chyba nad samym sobą, gdyż reb Mojsze-Pinchos na oczach ludzi potraktował go jak sztubaka, jak chłopca z chederu. Po chwili, wytarłszy czoło, reb Szłojme głosem pełnym smutku powiedział: zaiste, czego to pomysłowy i cięty w słowach

człowiek nie potrafi dokonać sprytną manipulacją dowodów. Ale ciekaw jestem, co on powie w dniu Sądu Ostatecznego? Na to reb Mojsze-Pinchos wybuchnął śmiechem i oświadczył: Uczepił się pobożności, ja do niego przemawiam słowami Tory, dowodami naukowymi, a on powołuje się na bogobojność. Jeśli macie coś do powiedzenia przeciw moim argumentom, to proszę bardzo, jeśli nie, to proszę wyznać przed zebranymi tutaj ludźmi, że wasze kazanie jest nic niewarte. Powstał szum, ktoś podniósł głos na reb Mojsze-Pinchosa. Stary, ale jeszcze dość krzepki mąż, uczony w Piśmie, ze złością w głosie krzyknął: „Tu dyskutują dwaj wielcy uczeni, to gdzie ty się pchasz? Reb Szłojme obrócił się twarzą do Aron Hakodesz i oparł się głową o parochet. Wszyscy pomyśleli, że zamierza już skończyć i zejść z podium przy Aron Hakodesz. Nagle jednak odwrócił się twarzą do zebranych i wtedy wszystkim się zdawało, że reb Szłojme w tym momencie urósł o głowę. Spokojnym głosem oświadczył: Moi szanowni panowie, pozwólcie, że jeszcze raz powtórzę zasadnicze wątki mego kazania, a wy sami osądzicie, czy moje słowa zawierają prawdę. I w krótkich słowach powtórzył zasadnicze wątki swego kazania, po czym podparł je nowymi dowodami. Twarze uczonych znowu zajaśniały radością. Zewsząd rozległy się przytakujące słowa — tak, tak, słusznie. W mig zapomnieli o reb Mojsze-Pinchosie i o wszystkich jego zastrzeżeniach. Prości ludzie znowu zapalali do niego gniewem i mało brakowało, aby się do niego dobrali. Reb Mojsze-Pinchos patrzył na nich z pogardą, chociaż bardzo mu zależało na przekonaniu ich, że reb Szłojme jest nieukiem. Chciał w tym celu zabrać głos, ale ludzie zaczęli krzyczeć, dosyć, już dosyć mówiliście. On mimo to dalej chciał przemawiać, ale zakrzyczeli go. Wyrzucić go! Wyrzucić!

Już na samym początku, kiedy reb Mojsze-Pinchos zwrócił się do reb Szłojme per „panie Horowic”, ludzie w bóżnicy zdrżeli z oburzenia, albowiem nigdy jeszcze nie słyszeli, aby

Żyd, znawca Tory, zwracał się do uczonego w Piśmie po gojsku, czyli z nazwiska, i to w świętym miejscu. Stary siwowłosy gaon zerwał się ze swego miejsca i wyzywał go od łobuzów. Tłum zaczął krzyczeć: „Zuchwalec, chucpiarz”. Ale reb Mojsze-Pinchos nic sobie z tego nie robił, jeszcze mocniej wbił wzrok w reb Szłojme, aby „obdarzyć” go nową zniewagą. I gdyby reb Szłojme nie wstawił się za nim, wyrzucono by go z bóżnicy. Ale i jemu nie udało się uspokoić wzburzonego tłumu. Kiedy reb Mojsze-Pinchos przekonał się, że nie dadzą mu dalej mówić, że nawet grozi mu niebezpieczeństwo, zaczął powoli przepychać się do wyjścia. I gdyby nie dobre oczy reb Szłojme, nie wyszedłby cało z opresji. Reb Szłojme kontynuował kazanie, a reb Mojsze-Pinchos wrócił do domu. I bardziej od nieudanej próby podważania kazania reb Szłojme zabolowały jego dobre oczy i łagodna życzliwość, jaką okazał mu podczas dyskusji.

15

Reb Mojsze-Pinchos wszedł do bóżnicy i od razu wziął się do lektury ksiąg. W każdej znalazł potwierdzenie wywodów reb Szłojmy. A kiedy wpada mu w ręce książka, która wykazywała, że on miał rację, nie był wcale zadowolony, albowiem nie chodziło mu przecież o puste, choć błyskotliwe słowa, o jakie chodzi scholastykom, którzy potrafią z czarnego zrobić białe i z białego czarne. Martwiło go to, że znając prawdę, chce samego siebie zwieść. I ogarnął go smutek, i opanowała melancholia. I kiedy przemógł się wreszcie i wrócił do studiowania ksiąg, nie miał już tej radości, jakiej zawsze dostarczała mu Tora. Było mu zupełnie obojętne, czy uczy się, czy nie. Nauka nie dawała mu już przyjemności. Zaczął się zastanawiać nad sobą. Przypomnił sobie matkę. Zaczął robić sobie wyrzuty. Teraz, kiedy jej nie potrzebuje, przestała dla niego istnieć. Westchnął i postanowił udać się do

matki. Wziął tałas i tefilin i udał się na wieś, aby wypełnić przykazanie „czcij matkę swą”.

Matka bardzo się już postarzała, ale jej życie nie uległo zmianie. O świcie wraz z pianiem koguta wstawiała, myła ręce i twarz w korycie obok młyna. Poila kury i sprawdzała, która z nich zniosła jajko. Dawała jeść kotu i wytrzepując siennik zawsze powtarzała: wczoraj byłeś lekki, a dzisiaj jesteś ciężki, dzisiaj leżysz na moim łóżku i ja leżę na tobie, jutro zaś napalą twoją słomą w piekle, aby spalić moje ciało. Po zaścieleniu łóżka siadała na krześle i odmawiała modlitwę. Potem myła się i zabierała do śniadania, które składało się z kawałka chleba umoczonego w wodzie. Nie chciała twardym chlebem osłabić pozostałych w ustach dwóch pieńków, te potrzebne jej były w Pesach do gryzienia macy. Pomagała ludziom w potrzebie. A kiedy nie było potrzebujących, chodziła do sąsiadki i wymieniała jajko na szklanekę mleka albo łyżkę kaszy. Kolację spożywała zwykle za dnia, albowiem od śmierci męża i przeniesienia się syna Mojsze-Pinchosa do miasta nie zapalała świec, chyba że była sobota lub święto. Po spożyciu posiłku i odmówieniu błogosławieństwa wyjmowała śmiertelny całun, układała go przy łóżku i odmawiała modlitwę *Kriat Szema**.

16

Kiedy Mojsze-Pinchos przyszedł do domu, zastał matkę siedzącą przed drzwiami. Krajała właśnie jabłka na płatki, aby je wysuszyć na słońcu. Na widok syna odłożyła nóż, wstała i powiedziała: nie wiem właściwie, dlaczego dzisiaj wzięłam się do krajania jabłek. Chyba za dużo już ich zjadłam na tym świecie. Ach, ileż to dni, tygodni i miesięcy nie widziałam ciebie, synu. Dostrzegła na twarzy syna smutek.

* *Kriat Szema* — fragment modlitwy porannej i wieczornej przed snem. Zaczyna się od słów „Szema Israel” („Słuchaj, Izraelu”).

Czy nie daj Boże — zapytała — coś niedobrego ci się przydarzyło? Dlaczego tak sądzisz, mammo? — Gdybym miała pod ręką lustro, to bym ci pokazała, jak wyglądasz. Czy masz jakieś kłopoty z żoną, teściem albo teściową? Wyglądasz teraz zupełnie jak twój ojciec, kiedy zamartwiał się, że jakiś łobuz z miasta chciał zbudować parowy młyn. Biegał wtedy jak szalony, modlił się, aby Bóg do tego nie dopuścił. Podejź do rzeki i zobacz w wodzie twarz, sam się przekonasz, jak wyglądasz. Czy masz, dziecko moje, jakiegoś wroga? Powiedz mi, jak się nazywa jego matka. Dlaczego, powiada Mojsze-Pinchos, chcesz wiedzieć, jak on się nazywa i jak się nazywa jego matka? Pamiętasz, synu, Mikitę, który ukradł młyński kamień? Ten nieobrzezany w dzień ich Wszystkich Świętych po powrocie z cmentarza zaczął miotać gromy i pioruny. Ten goj, jeśli kogoś przeklął wymawiając jego imię razem z imieniem jego matki, to tylko garstka popiołu po nim została. Powiedz więc, dziecko moje, jak się ten twój wróg nazywa i jak ma na imię jego matka, to pójde do Mikity. Usłyszawszy takie słowa, Mojsze-Pinchos zadrżał. A że matka nie przestawała dalej do nagabywać, oświadczył: człowiek, którego nienawidzę, pragnie mego dobra. Skoro on pragnie twego dobra — powiada matka — to dlaczego go nienawidzisz? Nienawidzę go — odpowiada Mojsze-Pinchos — dlatego że wzbudza we mnie brzydkie uczucie nienawiści. Nie rozumiem — na to matka — tego, co mówisz. Ja również — odpowiada syn — tego nie rozumiem, ale tak jest, nie potrafię tego wytłumaczyć, ale nie martw się, matko, Bóg mi pomoże. Z całą pewnością, mówi matka, bo komu ma Bóg pomóc, jeśli nie tobie? Ty przecież bez przerwy studiujesz Torę. Zaczerwienił się Mojsze-Pinchos i powiedział: a czy ja doprawdy studiuje? Nic nie robię, tylko głupstwa plotę. Pozwól, mammo, że pójde do bóżnicy, może Bóg się nade mną zlituje.

Po spożyciu posiłku udał się w drogę powrotną, do miasta, żeby dalej studiować Torę. I jak wszedł do bóżnicy, tak z niej

nie wychodził. Jedzenie ludzie przynosili mu do bóżnicy. Gdyby szames nie przypomniał mu, że jest piątek i trzeba odprawić kidusz i coś zjeść, to by nawet na sobotę nie wracał do domu. Był tak pogrążony w nauce, że starzy ludzie ukuli przysłowie:

„Kto chce zobaczyć, jak człowiek umiera w namiocie Tory, niech przyjdzie do bóżnicy popatrzeć na Mojsze-Pinchosa”.

17

I oto pewnego dnia Mojsze-Pinchos zniknął z miasta. Wszyscy sądzili, że udał się do matki na wieś, ale wkrótce okazało się, że pojechał do swego pierwszego nauczyciela, rabiego Gabriela Rejnisha. Dlaczego nagle do niego? Zaraz się dowiemy. Kiedy przyszedł do rabiego, ten leżał właśnie w łóżku i czytał książkę. Czy rabi — zapytał — jest chory? A dlaczego mam być chory? — odpowiedział rabi pytaniem na pytanie. Ponieważ widzę, że rabi leży w łóżku — odpowiedział Mojsze-Pinchos. Na to rabi: Jestem już zbyt stary, żeby sobie sprawić nowe ubranie, a że nie chcę zużyć do reszty starego, położyłem się do łóżka. A teraz odwróć się, bo chcę wstać i ubrać się. Wstał rabi z łóżka i ubrał się. W ciągu zaledwie kilku minut przedstawił swemu uczniowi całą litanię znakomitych komentarzy, z których tylko część wystarczyłaby dzisiejszym rabinom do ułożenia kilku grubych ksiąg. Potem zaczął się zastanawiać nad miastem, w którym miał zostać rabinem, i po przenikliwej analizie doszedł do wniosku, że wątpliwe jest, aby w tym mieście można było przeprowadzić rozwód. I patrząc na słuchającego go ucznia zauważył, że nie wykazuje on najmniejszych oznak radości, mimo iż wyraźnie napisane jest, że Tora przynosi człowiekowi radość. Widząc, że uczeń siedzi jak na tureckim kazaniu, powiedział: Wiesz co, Mojsze-Pinchosie, trzeba cię znowu posłać do chederu. Spuścił Mojsze-Pinchos głowę

i rzekł, przecież dlatego tu przyszedłem. Poczul rabi litość do swego dawnego ucznia i ciepłym głosem zapytał: Co cię, synu, do mnie sprowadziło? Żle ze mną, rabi, zszedłem z dobrej drogi — odpowiedział cichym głosem Mojsze-Pinchos. Tora, synu, chroni — oświadcza rabi — Tora jest ratunkiem. Kiedy — pyta Mojsze-Pinchos — zostało powiedziane, że człowiek uczy się Tory ze względu na Prawdę w niej zawartą? Jak to jest możliwe, dziwi się rabi, żeby człowiek, który u mnie pobierał naukę Tory, robił to nie dla zawartej w niej Prawdy? Westchnął Mojsze-Pinchos i powiada: ale są takie komentarze, o których wiem, że zawierają prawdę i mimo to staram się je przekreślać. Powinieneś, mój uczniu, wyprostować serce, przeczytać kilka książek o etyce, jak na przykład: *Kaw Hejaszar**. Bóg, odpowiedział Mojsze-Pinchos — nie zagląda do małych książek. Na te słowa rabi uśmiechnął się i powiedział: jeśli tak, to sięgnij po duże książki. I zaraz przechodzi do wielkich ksiąg Miszny i Gemary, do Tosafot i innych dzieł napisanych po hebrajsku i po aramejsku, tak że nagle pokój rozrósł się do rozmiarów potężnego pałacu. I okazało się, że nie było kwestii, której by Mojsze-Pinchos nie poruszył i dogłębnie nie omówił, i nie było ani jednej halachy, z której by nie wyciągnął jasnego, przejrzystego i właściwego nakazu prawnego. Po trzech dniach reb Mojsze-Pinchos pożegnał się z rabim. Na odchodnym rabi powiedział do niego: mam już siedemdziesiąt lat i nigdy dotychczas nie przeżyłem takich pięknych chwil, jak te, które spędziłem z tobą. Usiądź, wypiszę ci dyplom rabina. Chociaż jestem rabinem w małym miasteczku, znają mnie wszędzie i wiedzą, że na moim dyplomie można polegać, gdyż upoważnił mnie do tego rabin z Buczacza, znany gaon Harszele Karo, o którym rabi Meszułam Igro powiedział, że „jest obkuty na wszystkie boki”. I wziął stary rabin luźną kartkę papieru, i napisał na niej słowa „jore, jore, jadin, jadin”**. Wręczając uczniowi kartkę oświad-

* *Kaw Hejaszar* — prosta (słuszna) linia postępowania.

** *Jore, jadin* — prawo nauczania i sądenia.

czył: oto masz talizman, który cię uwolni od melancholii. I patrząc na Mojsze-Pinchosa powiedział do osób znajdujących się w pokoju: tego ucznia nie powstydzę się przed „jesziwą szel maala”*. Pożegnał się Mojsze-Pinchos i wrócił do swego miasta, aby dalej studiować Torę.

18

Czy jest coś do opowiedzenia, o czym jeszcze nie mówiliśmy? Wróciwszy do domu, Mojsze-Pinchos zasiadł nad książkami i starał się więcej nie myśleć o tamtej sprawie. Wszystko wróciło do dawnego stanu. A gaon, który był dumny ze swego ulubionego ucznia, ogłosił wszem i wobec, że wystawił Mojsze-Pinchosowi dyplom rabina. W tamtych czasach rabini wydawali dyplomy tylko tym osobom, które mogły się wykazać dużą wiedzą. Dowiedział się o dyplomie teść Mojsze-Pinchosa i zaraz powiedział do swego zięcia: Dobrze, teraz siedzisz przy moim stole, co ja jem, ty jesz, ale co będzie po mojej, oby po stu dwudziestu latach, śmierci? Może byłoby słusznym, abyś postarał się o stanowisko rabina? Mojsze-Pinchos wzruszył tylko ramionami. Nie ma najmniejszego zamiaru. A kiedy teść ponowił rozmowę na ten temat, Mojsze-Pinchos oświadczył: jeśli teść chce zawracać mi głowę takimi głupstwami, to gotów jestem stać się amhaarecem**. Biedny teść, reb Meircze, tylko westchnął. Ze ściśniętym sercem wyszedł z pokoju zięcia.

19

Bóg uśmierca żywych i ożywia martwych. Jednego czyni królem, a drugiego osadza na właściwym dla niego miejscu.

* *Jesziwa szel maala* — jesziwa najwyższa w niebiosach.

** *Amhaarec* — prostak, nieuk.

W tym czasie umarł ojciec reb Szłojme. Pochowano go z należnym szacunkiem, ogłoszono stosowną mowę pogrzebową i pomyślano o następcy. Zwołano zebranie i postanowiono wyznaczyć na wakujące stanowisko rabina syna zmarłego, reb Szłojme. Po siedmiu dniach żałoby reb Szłojme wrócił do domu, aby zabrać do nowego miasta żonę i dzieci. Tu zapytano go, kogo widzi jako rabina na swoim miejscu. Pamiętacie chyba — oświadczył — tego uczonego w Piśmie męża, który chciał podważyć moje pierwsze kazanie, jakie wygłosiłem w tutejszej bóżnicy, zapewniam was, że lepszego rabina nigdzie nie znajdziecie. Ojcowie miasta, słysząc to, mocno się zdziwili. Jakże to? Tamtem człowiek obraził go i znieważył na oczach ludzi, a on rekomenduje go na swoje miejsce? Reb Szłojme pogłaskał się po brodzie i oświadczył: moi szanowni panowie, przyjmijcie do wiadomości, że reb Mojsze-Pinchos jest znakomitym znawcą Tory, należy do wielkich uczonych w Piśmie, jego wielkość objawiła się nawet w próbie podważenia mojego kazania. Mnie wtedy widocznie przyszyły w sukurs zasługi moich przodków, gdyż reb Mojsze-Pinchos oparł swoje argumenty na książce, która zawierała błędy. Z tego wyniknęły jego fałszywe wywody, bo kiedy człowiek daje się zwieść jednemu błędowi, to potem ulega już następny. Jestem pewny, że dzisiaj wie już, jakie to były błędy. Jedźcie więc do niego, bo stanowisko rabina jest, wypisz wymaluj, w sam raz dla niego. Również święta nasza Tora radować się będzie, kiedy jeden z jej uczonych synów zasiądzie na krześle rabina.

20

Wkrótce do naszego miasta przybyli dwaj szanowni wysłannicy z pismem powołującym na stanowisko rabina „wielkiego nauczyciela, znakomitego uczonego, świetnego znawcę całej Tory, sławnego gaona, reb Mojsze-Pinchosa, oby go Bóg miał w opiece”. Zatrzymali się w zajeździe i zaraz po umyciu się

i przebraniu udali się do reb Mojsze-Pinchosa. W tym czasie jego żona Szejndł siedziała w domu i karmiła piersią dziecko. Przy niej stała jej matka Elke, która z żalem w oczach patrzyła na smutne i zbyt małe jak na swój wiek dziecko. Sama Szejndł też była smutna z powodu siebie samej i smutna z powodu dzieci, które ciągle chorowały. Nim jedno zdążyło wyleźć z łóżka, już drugie do niego się kładło. Pełna goryczy Szejndł przeklinała swoje nieszczęsne życie. Bez przerwy powtarzała jedno zdanie: „Obym nigdy nie urodziła”. Obok siedzącej na ławce Szejndł wylegiwał się, oblizując sierść kot. Kiedy kot się myje, powiada Elke, znak, że przyjdą goście. Do kogo — pyta Szejndł — mogą przyjść goście, skoro w domu nie ma gospodarza? Nie mam, broń Boże, nic przeciwko mężowi, że przebywa w bóżnicy, bo prawdę mówiąc, gdzie ma przebywać? Może tu, w tej norze? Ale jedno ci powiem, mam, już nie mam sił i nie wiem, dlaczego Anioł Śmierci zwleka z odebraniem mi życia. Dzie sięć razy na dzień oglądam go. Co to jest, że ciągle oczy mnie bolą? Które oko — pyta matka, prawe czy lewe? Dziwna jesteś, mam, jaka to różnica prawe czy lewe? A właśnie — powiada matka — że jest różnica, jeśli lewe boli, to znak, że przyjdą goście. A mnie właśnie, mam, boli prawe oko. Znaczy to, że nie będzie gości, i przestań pleść głupstwa. Trzeba się zabrać do gotowania, bo pod fajerką bezużytecznie płonie ogień. Sąsiadka Dyniecowa już od dawna gotuje, a ja tu siedzę z założonymi rękami jak w sobotę po czulencie.

21

Obaj szanowni wysłannicy weszli w ulicę. Przechodzącą obok dziewczynkę spytali o dom reb Mojsze-Pinchosa. Dziewczynka pobiegła z krzykiem do domu. Mamusiu, mamusiu, jacyś dwaj Żydzi pytają o tatusia. Oj, gdybyś ty widziała, jak są ubrani! Wystrojeni, jakby się wybierali na wesele. A Szejndł słysząc to, krzyknęła: czego krzyczysz, myślisz, że m głucha?

No już dobrze, kto?, o kogo?, o co pytali? Mamusiu, żebym tak zdrowa była, że nie kłamię, odpowiedziała głośno dziewczynka. Dwaj rośli Żydzi, ubrani jak kumowie na weselu, zapytali mnie, gdzie mieszka reb Mojsze-Pinchos. Popatrz no na nią — zwraca się Szejndł do matki — stoi i krzyczy, i nie ma zamiaru przestać. Dziewczynka rozplakała się: ja nie krzyczę, ja nie krzyczę, ja mówię prawdę, tylko prawdę. Albo przestaniesz — podnosi na nią głos Szejndł — albo usuniesz się z moich oczu. Nie mogę znieść krzyku. Uciekłabym, gdzie oczy poniosą. Jak tu można żyć, jak można wytrzymać w domu, w którym bez przerwy ryczą?

Wychodzi Elke z domu i już na progu spotyka obu szanownych, ubranych w piękne szaty Żydów. Takich gości niecodziennie się widuje w naszym mieście. Od razu więc powiada do nich: proszę dalej, proszę wejść do środka, tak, tu mieszka reb Mojsze-Pinchos. Teraz nie ma go w domu, ale może panowie zechcą zaczekać, natychmiast poślę po niego dziewczynkę. Weszli goście do pokoju i usiedli. Szejndł na ich widok powiada do matki: uważaj, mamó, na dziecko, sama pójdę po niego, on dziewczynki nie posłucha. Okutała się szalem i poszła do bóżnicy. Wkrótce wróciła z mężem. Reb Mojsze-Pinchos przywitał się z gośćmi, zapytał, o co chodzi, i usiadł obok. Wziął ze stołu solniczkę i zaczął ją przesuwac po blacie od jednego do drugiego końca stołu. Podniósł się z krzesła jeden z gości i powiedział: przybyliśmy do was po to, aby... nie dokończył zdania, wyjął pisemną nominację na rabina i wręczył ją Mojsze-Pinchosowi. Ten pismo przeczytał i nominację przyjął. Teściowa, usłyszawszy jego zgodę, posłała po swego męża, który natychmiast przyszedł. Zaraz też gospodyni przyniosła wodę ze studni oraz konfitury z róży, żeby goście mieli się czym pokrzepić.

Siedzieli obaj wysłannicy razem ze swoim nowym rabinem, aż nastąpiła pora modlitwy mincha. Tymczasem co szacowniejsi obywatele miasta przybyli powitać gości i złożyć gratulacje Mojsze-Pinchosowi z okazji objęcia stanowiska rabina. Elke przygotowała kolację gościom. Następnego dnia zaprosiła ich

na obiad, a trzeciego dnia znowu na kolację. I podczas każdego posiłku przychodzili coraz nowi ludzie, aby złożyć hołd Torze, a Mojsze-Pinchos wygłosił przy tej okazji przemówienie obfitujące w świetne, nie znane dotychczas komentarze. Nigdy dotąd tego nie czynił, zazwyczaj bowiem z nikim nie prowadził rozmów, a jeśli zdarzyło się, że musiał komuś odpowiedzieć na pytanie, rozmowa była krótka. Kiedy goście poszli do zajazdu, teść Mojsze-Pinchosa, reb Meircze, wezwał krawca i szewca, u których zamówił ubranie i buty dla zięcia, albowiem wszystko, co Mojsze-Pinchos miał na sobie, pochodziło z czasu jego ślubu i mocno już było zużyte. Krawiec i szewc zabrali się pilnie do roboty, bo wiedzieli, że dopóki Mojsze-Pinchos nie będzie miał nowego ubrania i nowych butów, dopóty nie będzie mógł udać się do nowego miasta i nie ruszy się z miejsca niczym aguna — opuszczona żona czekająca na powrót męża. Zabrali się więc do pracy z zapalem i z przyjemnością stwierdzili, że ubranie i buty zostały dobrze wykonane. W nowym ubraniu reb Mojsze-Pinchos wyglądał jak zupełnie inny człowiek, jak prawdziwy rabin. Tymczasem teściowa przygotowała mu wszystko na drogę i Mojsze-Pinchos mógł wsiąść do powozu. Pół miasta przyszło go pożegnać. Ludzie cieszyli się, że ich ziomek, który przez wiele lat niestrudzenie pracował dla Tory, został uhonorowany godnością rabina w sąsiednim mieście. Również jego matka przyszła ze wsi, aby pożegnać syna. Szła opierając się jedną ręką na lasce. W drugiej ręce trzymała bochenek wiejskiego chleba, jaki zawsze dawała mu na drogę. Przyglądając się synowi z miłością powiedziała: synu mój, naprawdę wyglądasz jak rabin. Gdyby twój ojciec mógł to zobaczyć, nie rozstałby się z życiem. Bo widzisz, młynarz przez całe życie miele, bez przerwy miele, dopóki nie zmiele własnych kości i potem umiera. I ja także umrę i nie wiem, dokąd mnie powiodą. Uważaj, synu i pamiętaj, że to ja nosiłam cię w brzuchu, to ja cię urodziłam i ja cię wykarmiłam piersią. Masz nakrzyczeć na złych aniołów, żeby mi nic złego nie uczynili.

Wszedł więc reb Mojsze-Pinchos do powozu ubrany w nowe szaty, które dopiero co spod igły krawca wyszły, i dwaj szanowni wysłannicy z nowego miasta usiedli obok niego, jeden po prawej stronie i jeden po lewej. Po odmówieniu modlitwy „drogowej” wyłoniły się przed nowym rabinem dwie kwestie, na które po krótkim rozważeniu znalazł odpowiedź. Pierwsza kwestia, dlaczego rabi Majmonides nie wspomniał ani razu o modlitwie, którą należy odmówić przed wyruszeniem w drogę, a druga kwestia, dlaczego rabi Meir z Rothenburga, zwany Maharam, odmawiał tę modlitwę zazwyczaj w domu. Z powodu jednak zdarzenia, które potem nastąpiło, rozwiązanie obu tych kwestii nie zostało wyjaśnione. Szkoda, że w ten sposób przepadł wspaniały owoc ludzkiego umysłu.

22

Kiedy powóz dotarł do rozstajnych dróg, reb Mojsze-Pinchos skierował wzrok ku drodze prowadzącej do miasta, w którym miał pełnić funkcję rabina. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy pieszo udał się tam na dyskusję z rabinem. Przywiódł na pamięć wszystko, co się wydarzyło w bóżnicy. Po głowie chodzą mu myśli: Oto dzisiaj jadę w powozie do miasta, gdzie ludzie chcieli mnie kiedyś żywcem zjeść, dlatego że ośmieliłem się podważyć wywody ich rabina. Starał się uciszyć wzbierający w sercu gniew słowami Tory. Zaczął odmawiać komentarz do wersetu „al tirgezu baderech” — „nie złościć się w drodze”. Od tych rozmyślań przeszedł do spraw doczesnych tego świata. Towarzyszący mu wysłannicy wspomnieli w rozmowie między sobą, że to reb Szłojme przenosząc się do innego miasta zarekomendował na swoje miejsce reb Mojsze-Pinchosa. Chcieli w ten sposób podkreślić, że reb Szłojme cechowała miłość do człowieka. Po chwili zapytali reb Mojsze-Pinchosa: bardzo się dziwimy, że nie interesuje was, dlaczego właśnie was wybraliśmy

na rabina? Reb Mojsze-Pinchos na to odparł, że sam się zdziwił, ale miał głowę tak zaprzątniętą pewną kwestią naukową, że zupełnie zapomniał o to spytać. Jeśli tak, powiedział jeden z wysłanników — to ja wam powiem. Kiedy nasz rabin, gaon reb Szłojme, dostał propozycję objęcia stnowiska rabina po swoim wielkim ojcu, oby jego pamięć była błogosławiona, zapytaliśmy, kogo widzi jako swego następcę, kogo uważa za godnego objąć funkcję rabina w naszym mieście. Jego odpowiedź brzmiała tak: jeśli chcecie sprawić mi satysfakcję, to wybierzcie na rabina Mojsze-Pinchosa. To wielki uczony w Piśmie i wier-ny syn Tory. A że reb Szłojme cieszył się u nas szacunkiem i miłością, uczyniliśmy tak, jako rzekł. W jednej chwili twarz reb Mojsze-Pinchosa zmieniła się. Polecił woźnicy natychmiast zatrzymać konie. Myśleliśmy, że chce zejść za potrzebą naturalną. Powóz się zatrzymał. Mojsze-Pinchos zszedł, ale zabrał wszystkie swoje rzeczy. Co to ma znaczyć? Ja — odpowiada Mojsze-Pinchos — nie chcę korzystać z usług tamtego człowieka. Rabi — zawołali wysłannicy — co się z wami dzieje, chce-cie zmartwić całe miasto Żydów? Ale on machnął ręką i oświadczył: Jedźcie z Bogiem.

Co tu można powiedzieć? Co tu jest w ogóle do mówienia? Nie ma o czym gadać. Odwrócił się do nich tyłem i pomasze-rował z powrotem do swego miasta. Pobiegli za nim i krzyczeli, rabi, rabi. Przekonawszy się, że rabi Mojsze-Pinchos nie zmieni zdania, powiedzieli do niego: niech rabi wsiądzie do powozu, odwieziemy go do domu. On jeszcze raz machnął ręką i dalej maszerował. Zatrzymali się wysłannicy, niezdecydowani, co mają robić. Pobiec za nim i spróbować go namówić czy wrócić do swojego miasta? Tymczasem on oddalał się coraz bardziej i wkrótce zniknął im z oczu.

Przez jakiś czas stali bezradni z opuszczonymi rękami, po czym wsiedli do powozu i odjechali do siebie.

Mojsze-Pinchos zaś po powrocie do swego miasta od razu udał się do bóżnicy. Żona, usłyszawszy, co się stało, pobiegła natychmiast razem z teściem do bóżnicy i już na progu za-

pytała go: dlaczego wróciłeś? Odpowiedział jej tymi samymi słowami, jakimi odpowiedział tamtym dwóm Żydom. Rozpłakała się Szejndł i podniesionym głosem zawołała: cóżeś ty najlepszego zrobił? On nic nie powiedział, siedział i milczał. A kiedy teść wypomniął mu, ile kosztowało go nowe ubranie i buty, zerwał się z krzesła i zdjawszy kapotę powiedział: zostawcie mnie w spokoju.

Co było potem? Nic nie było. Reb Mojsze-Pinchos siedział jak dawniej w bóżnicy i studiował. Dzieci jego podrosły, teść rozchorował się i umarł. I kiedy umarł teść, nie miał Mojsze-Pinchos z czego żyć, więc był zmuszony poszukać sobie kilku uczniów. Obarczony liczną rodziną, nie mógł sobie pozwolić na przebieranie. Musiał zadowolić się pierwszym lepszym uczniem, który mu się trafił.

23

A teraz zabierzmy się do opłakiwania czasów, które minęły. W dawnych czasach, w okresie sprzed dwóch, trzech pokoleń nie było dla Żydów rzeczy droższej od Tory. Z biegiem czasu nauka Tory zaczęła podupadać. Uchowaj Boże, żeby nauka i rola Tory mogły upaść, to raczej wrogowie Izraela mogą upaść. Bóżnice są jeszcze pełne, ale uczący się w nich czynią to z wyrachowania, chodzi im o to, aby ludzie zwracali się do nich per „rabi”, aby sadzali ich na honorowych miejscach. Po prawdzie w naszym pokoleniu nie doszło jeszcze do takiego upadku, ale kiedy zaczyna się zarysowywać upadek, jest to zapowiedź czegoś niepożądanego. Wkrótce uczniowie zbrzydli Mojsze-Pinchosowi, a i on sam im obrzydł. Im nie zależało na uzyskaniu perfekcji w pustej scholastyce, a on chciał tą metodą przyswoić im prawdziwą Torę. Opowiadają, że nie udało mu się znaleźć ani jednego porządnego ucznia, a jeśli taki się trafił, był to z reguły biedak, który nie miał pieniędzy na opłacanie nauki.

Ludzie starej daty, którzy zajmowali się studiowaniem Tory, koprzystaliby z dawnych metod nauczania. Kiedy zmagali się z przedmiotem, myśleli, że ich świat jest wieczny. W istocie jednak ich świat przestał już istnieć, a metody studiów niepodobne były do dawnych. Im bardziej malały serca, tym bardziej mnożyły się książki. Kto tylko miał ręce i nogi, ten pisał nowe komentarze i wydawał je drukiem. W przeciwieństwie do tych, jakby to powiedzieć, worków z pustymi dyniami trafiają się niekiedy roślinki ostre i smakowite, jak na przykład książka prawdziwego gaona, rabiego Szłojme Halewi Horowica, który skomentował i objaśnił wiele halach i kwestii powstałych w ostatnich czasach. Księgi dawnych komentatorów wcale o nich nie wspominają. Co się tyczy reb Mojsze-Pinchosa, nic więcej nie mam do powiedzenia. Poza nauką niczym innym się nie zajmował. Ale ten, kto wspomina go dobrym słowem, zawsze dodaje: Mojsze-Pinchos jest jak rosnąca w górach palma, jak piękne drzewo nie rodzące owoców. Z funkcji rabinackiej sam zrezygnował, toteż żadne miasto potrzebujące rabina nie zwracało się do niego z ofertą. Wieść bowiem o tym, jak postąpił wobec bardzo zasłużonego miasta, które ofiarowało mu stanowisko rabina, szybko rozeszła się po całym kraju. Każde miasto wolało mieć za rabina mniej upartego i mniej twardego człowieka.

24

Kiedy rabin Szłojme zaproponował na swoje miejsce reb Mojsze-Pinchosa, ludzie w mieście wzruszyli się do łez. Nie bacząc na to, że reb Mojsze-Pinchos znieważył go publicznie, reb Szłojme nie poparł własnych członków rodziny, którzy ubiegali się o stanowisko rabina po nim, ale zarekomendował na nie swego jawnego wroga. W dzisiejszym świecie rzadko się zdarza taki sprawiedliwy mąż,

który, niepomny obrazy, nie tylko wybaczył swojemu wrogowi, ale odplacił mu dobrem za zło. Nie dziw więc, że mieszkańcy miasta długo się nie namyślali i natychmiast powołali reb Mojsze-Pinchosa na rabina. Teraz opowiem, co się wydarzyło po tym, jak reb Mojsze-Pinchos odprawił z kwitkiem wysłanników miasta, w którym miał objąć stanowisko rabina.

Reb Szłojme, dowiedziawszy się, że reb Mojsze-Pinchos odrzucił propozycję objęcia stanowiska rabina, dlatego że nie chciał skorzystać z jego protekcji, tak się przejął, że aż poszarzał na twarzy. Reb Mojsze-Pinchos posunął się tak daleko, że nie cofnął się przed znieważeniem całego miasta i skazaniem siebie samego na nędzę. Reb Szłojme zaczął wspominać czasy, kiedy razem mieszkali w jednym mieście. Teraz on, reb Szłojme, żyje w innym mieście otoczony szacunkiem i sławą, a reb Mojsze-Pinchos pędzi marny żywot, nie wie, co to radość, co to dostatek, jest samotny i oddany tylko jednej sprawie — Torze. On, Szłojme, kiedy Mojsze-Pinchos słusznie i w sposób naukowy skrytykował jego kazanie, miast przyznać mu rację, zbył go żartem i wykpił jako abnegata. Chodzą słuchy, że od tej chwili na twarzy reb Szłojme nie zagościł już uśmiech. Pewnego razu doszło w bóżnicy do rozmowy na temat owego kazania. Reb Szłojme oświadczył wówczas: byłoby może słuszniej, gdybym wtedy dopuścił do zwycięstwa reb Mojsze-Pinchosa, ale walczyłem przecież nie o zwycięstwo dla siebie, tylko dla Tory, jego samego zaś uchroniłem od potknięcia. A mimo to reb Szłojme nie mógł zaznać spokoju.

25

Musimy znowu przypomnieć to, co zwykle ulega zapomnieniu, tym razem chodzi o człowieka, co to nie sieje, a zbiera. W owym czasie zmarł nasz stary dajan, który pełnił

funkcję rabina w mieście. Po jego śmierci miasto nie mogło sobie dobrać rabina.

Sprowadzono wtedy rabina z małego miasteczka i powierzono mu tymczasowo funkcję dajana. Jednocześnie rozglądano się za odpowiednim dla rangi miasta rabinem, godnym następcą dawnych gaonów, którzy kiedyś piastowali to stanowisko w mieście. Minął rok, minęły dwa lata, a potem dziesięć, dwadzieścia i na koniec czterdzieści lat i stanowisko rabina wciąż wakowało. Działo się to po pierwsze dlatego, że kiedy taki kandydat już się znalazł, to notable miasta orzekli, iż kapelusz rabina jest dla niego za duży. Po drugie dlatego, że ludzie do tego stanu już się przyzwyczaili. Po trzecie zaś z szacunku dla starego rabina. Kiedy ten zmarł, przyszło na jego pogrzeb wielu rabinów, wśród których byli tacy, co chcieli objąć po nim stanowisko, ale notable miasta chcieli tylko reb Szłojmę. I chociaż miasto, w którym reb Szłojme pełni funkcję rabina, jest większe od naszego i ma dodatkowy walor, bo było miastem jego ojca gaona, to jednak nasze miasto ma większy tytuł do chwały, gdyż należy do najstarszych żydowskich gmin, opromienionych wielką sławą jeszcze sprzed 1648 roku, przed pogromami Chmielnickiego. Miasto wymienione jest w responsach Mahrszala*. Można powiedzieć, że w dawnych czasach funkcję rabina pełniło u nas wielu znakomitych uczonych. Co się zaś tyczy reb Szłojme, to już jego pradziadek, gaon Pinchos, zajmował w naszym mieście stanowisko rabina. Przed śmiercią miał oświadczyć, że po wielu latach jeden z jego prawnuków znajdzie wieczne odpocznienie w naszym mieście, i w związku z tym polecił, żeby nikogo w ciągu stu lat nie chowano obok jego grobu. Dopiero po upływie tych lat można będzie pochować obok niego potomka z tylko jego rodu.

* *Mahrszal* — Morenu-Rabena-Szlomo Luria, czyli Nasz Nauczyciel, nasz rabi Szlomo Luria, wybitny talmudysta i kabalista.

Kilku szanownych obywateli naszego miasta pojechało do reb Szłojme, żeby wręczyć mu kontrakt na rabina. Reb Szłojme serdecznie ich przyjął i w toku rozmowy przypomniał dobre czasy, jakie spędził w naszym mieście, wygłosił kilka pochwał pod adresem samego miasta i jego mieszkańców, a szczególnie pod adresem tych, którzy uzbrojeni w wiedzę i mądrość kierowali gminą. Nie omieszkał przy tym dodać, że jest to ogromny zaszczyt dla każdego rabina zasiadać w tak pięknej i wielkiej gminie, w której wielu rabinów zasłynęło jako luminarze Tory, dla niego zaś propozycja bycia rabinem w tym mieście jest szczytem zaszczytów. Po tych słowach ogarnęła wysłanników ogromna radość. Ze swojej strony oświadczyli: to dla nas będzie wielki zaszczyt, jeśli wy, reb Szłojme, zamieszkacie wśród nas. Rabini i gaoni w niebie również ucieszą się, że obejmiecie po nich krzesło rabina w naszym mieście. Najwięcej ze wszystkich ucieszyła się żona reb Szłojme, która od czasu opuszczenia swego rodzinnego miasta tęskniła za nim, a słysząc teraz o propozycji złożonej mężowi, z satysfakcją oświadczyła, że na tę chwilę czekała od dawna. Zamyślił się reb Szłojme i ciężko westchnąwszy oświadczył: z powodu, którego nie mogę ujawnić, zmuszony jestem rzeczyć się proponowanemu mi stanowisku rabina. Rabinowa, usłyszawszy to, zaczęła płakać. Reb Szłojme, dla którego żona zawsze była droższa niż własne życie, tym razem nie zważał na jej łzy. Widać było, że nic i nikt nie był w stanie zmienić jego postanowienia. Odezwali się zaniepokojeni jego odmową wysłannicy. Rabi — zawołali — czy jest na świecie piękniejsze od naszego miasto? Czy są na świecie lepsi niż nasi ludzie, słynni z wielkiego umiłowania Tory i ogromnego przywiązania do zgody i pokoju? Weźcie również pod uwagę, że nasi ludzie kochają was i, jak wiemy, wy również, nie mówiąc już o waszej żonie, kochacie nasze miasto. Dlatego na razie, zostawimy wam, rabi, trochę czasu do namysłu. Bardzo prosimy, żebyście nie odrzucili naszej propozycji. Popatrzył na

nich reb Szłojme wzrokiem pełnym dobroci, po czym ujął jednego z nich za rękę i potrząsnął ją jakby na zgodę, jeszcze raz powtórzył: jest ważny i tajny powód, dla którego nie mogę przyjąć waszej propozycji. Domyślili się wysłannicy, że tym powodem jest Mojsze-Pinchos, który jako jedyny wśród rabinów nie podpisał nominacji reb Szłojme na rabina. Pomyśleli wtedy, że jeśli powołają reb Mojsze-Pinchosa na stanowisko dajana, to reb Szłojme zgodzi się objąć stanowisko rabina. Jedziemy — oświadczyli wysłannicy — do domu, ale wkrótce do was wrócimy. Mamy nadzieję, że przez ten czas rabi przemyśli jeszcze raz sprawę i wyrazi zgodę. Wysłannicy wrócili do miasta i zwołano zebranie wszystkich mieszkańców, na którym postanowiono powołać na stanowisko dajana reb Mojsze-Pinchosa. Miał to być warunek wstępny do objęcia stanowiska rabina przez reb Szłojme. Reb Mojsze-Pinchos wstał wtedy i oświadczył: już raz wam powiedziałem, że nie chcę być w jednej zagrodzie z reb Szłojme ani na tym, ani na tamtym świecie. Reb Szłojme nie przyjął stanowiska rabina z powodu reb Mojsze-Pinchosa, tego ostatniego zaś nie zatwierdzono na stanowisku dajana z powodu jego oburzającego zachowania.

27

I z rezultacie reb Mojsze-Pinchos pozostał bez środków do życia. Ze spuścizny po teściu zostało trochę towaru. Po sprzedaniu go i wypłaceniu wdowie należnej jej według ślubnej intercyzy sumy reb Mojsze-Pinchosowi pozostało zaledwie kilka groszy. Nie wystarczyło to nawet na pokrycie kosztów jednego posiłku. U Żydów bywa tak, że nawet solidni, szanujący się obywatele, póki żyją, starają się zarobić na sobie i na dzieci, ale kiedy umierają, okazuje się, że wraz z nimi umarły też dochody. Reb Mojsze-Pinchosowi wystarczył do życia kawałek chleba z solą. Teraz jednak nastąpił czas, że i tego kawałka chleba nie miał. A tu dziecko chce

jeść albo potrzebuje ubrania, żeby przykryć gołe ciało, a w domu nie ma ani tego ani owego.

Wiekuiсты nie dał mu się długo męczyć. Pewnego dnia reb Mojsze-Pinchos zaniemógł. Na drugi dzień ludzie dowiedzieli się o jego chorobie. Trzeciego dnia rozeszła się wieść, że jest ciężko chory. Kiedy reb Mojsze-Pinchos spostrzegł, że ludzie się już przygotowywali na jego śmierć, wstał z łóżka i oświadczył: Nie, jeszcze nie umieram, jeszcze muszę przejrzeć kilka stron Gemary, których nie zdążyłem dobrze zgłębić. Po kilku dniach ubrał się i poszedł do bóżnicy, i tak długo w niej przebywał, póki nie przestudiował do końca wszystkich sześciu porządków Miszny. Gdyby odłożył te studia na później, żyłby dalej, ale dla człowieka nierozzerwalnie związanego z Torą jest nie do pomyślenia przeżycie choćby jednego dnia bez nauki Tory. Toteż zaraz potem pożegnał się z życiem. Kadisz rabanan, który odmawia człowiek po zakończeniu studiów nad Miszną, odmówił nad grobem już jego syn.

28

Reb Mojsze-Pinchos poświęcił całe swoje życie Torze, w której był wielkim erudytą. Zszedł z tego świata w chwale wielkiego uczonego. Gorąco i serdecznie oplakiwali go mieszkańcy miasta. Przemawiający nad jego grobem Żyd powiedział między innymi: Dobrze jest temu, który wstępuje do grobu wyposażony w Torę. Pochowaliśmy pisarza i wraz z nim wszystko, co go wypełniało, święte księgi, komentarze do *Księgi Wyjścia* i całą Misznę. Jego stara matka, oparta o kij, stała nad grobem i błyskając ślepymi oczami powiedziała: Kto by pomyślał, że mój Pinchosek zrobi mi taki kawał, sam pójdzie do raju, a matkę zostawi na świecie, który jest gorszy od piekła. Czy nie byłoby lepiej, gdybym ja umarła, a on żył? Kochani ludzie, proszę was, popatrzcie,

przecież nie mam już oczu do płaczu. Słowem, reb Mojsze-Pinchos zszedł z tego świata.

Potem, kiedy lody puściły i ziemia stwardniała, postawiono na grobie macewę. Taką samą jak macewy na grobach wielkich rabinów pochowanych na naszym cmentarzu.

29

Nic więcej nie mam w sprawie reb Mojsze-Pinchosa do powiedzenia. Za to, co się tyczy reb Szłojme, nawet dużo. Reb Szłojme żył w blasku chwały i ogólnego szacunku. Wydawał córki za mąż i żenił synów. Każdego roku spotykała go nowa radość i nowy sukces. Jego orzeczenia sądowe i komentarze przyjmowane były z uznaniem w całym kraju. Z każdą trudniejszą kwestią zwracano się do niego. Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że nasze miasto, które nadal nie miało rabina, zwracało się do niego w każdej sprawie po radę. A reb Szłojme, mimo iż był zawsze bardzo zajęty, nigdy nie zwlekał z odpowiedzią. Wszystkie prawie odpowiedzi na nasze pytania zaczynały się od takiego zwrotu: „Do tych, których miłuje moje serce i z którymi dusza moja jest zespolona”. Czasami w odpowiedzi dodawał jakieś nowe wyjaśnienie lub komentarz, który przyszedł mu do głowy podczas studiowania. Odpowiadał również zawsze na przysyłane mu przez młodych uczonych komentarze, albowiem w ten sposób starał się umocnić ich w nauce Tory.

30

Na razie więc stanowisko rabina w naszym mieście nie było obsadzone i za każdym razem, kiedy jakiemuś ważnemu obywatelowi naszego grodu wypadało pobyc w mieście reb

Szłojme, wstępował do niego i przypominał mu: Rabi, kiedy przyjedziesz do nas, krzesło rabina wciąż na Ciebie czeka. Niektórzy ludzie z naszej gminy w obawie przed zbyt długim trwaniem wakatu na stanowisku rabina zaczęli pertaktować z pewnym gaonem z sąsiedniego miasta. Ten jednak wiedząc, że przytłaczająca większość mieszkańców wciąż czeka na zgodę reb Szłojme, zbył ich żartem. Powiedział im mianowicie: „I tak przecież jestem już rabinem waszego miasta, gdyż wszyscy moi najważniejsi ludzie siedzą u was”. W tym miejscu musimy wyjaśnić słowa gaona. Siedzieć znaczy być aresztowanym, wielu bowiem szanownych obywateli miasta gaona siedziało w więzieniu naszego miasta za nadużycia i oszustwa. Więzienie naszego miasta obsługiwało bowiem całą okolicę.

31

Reb Szłojme, następca swego ojca na stanowisku rabina, prowadził swoją wierną trzódkę jak prawdziwy pasterz. Wprowadził wiele reform zarówno na rzecz ubogich, jak i bogatych, na rzecz dzieci i dorosłych, na rzecz kobiet i mężczyzn. Co na przykład uczynił dla bogatych? Są tacy bogacze, którzy udają, że nie wiedzą, jak żyją biedni, i nie chcą dawać jałmużny. Po ich śmierci ludzie zwykli przedstawiać ciało rachunek. Nie pozwalają pochować go, dopóki spadkobiercy nie zapłacą za miejsce na cmentarzu. Często bywa tak, że ciało tak długo leży nie pochowane, aż zaczyna się rozkładać. Reb Szłojme wprowadził zasadę, na mocy której każdy bogacz musiał za życia wykupić miejsce na grób i każdego roku wpłacać na rzecz biednych tyle, ile wynosiłby procent od sumy pieniędzy, którą zapłacił za miejsce na grób. W ten sposób biedny i bogaty w równej mierze na tej reformie skorzystali. A co zrobił dla dzieci i dorosłych? Są ludzie, którzy nie są w stanie opłacić kosztów nauki swoich dzieci,

a do szkoły Talmud Tory* wstydzą się posyłać dzieci — gdyż tam uczą się tylko dzieci biedaków, oni zaś nie chcą uchodzić w oczach ludzi za biednych. Zaangażował więc reb Szłojme dobrych nauczycieli do Talmud Tory i sam się też zajął uczniami. Wtedy wielu zamożniejszych obywateli posłało również swoje dzieci do tej szkoły i w ten sposób biedni zrównali się pod względem nauki z bogatymi. A co uczynił dla mężczyzn i kobiet? Panował w naszym mieście zwyczaj, że kiedy umarł jakiś ważny obywatel, zanurzano jego ciało w mykwie. Wskutek takiego postępowania wiele kobiet obawiało się korzystać z mykwy. Reb Szłojme zabronił tedy zanurzać ciało zmarłych w mykwie.

32

I tak toczyło się życie reb Szłojme. Przewodząc gminie wprowadził wiele poprawek do istniejących komentarzy i do obowiązujących reguł postępowania. Do każdego człowieka zawsze miał przyjazny stosunek. Jeśli jednak zauważył u kogoś najmniejszy bodaj przejaw bluźnierstwa, reagował szybko i ostro, nie oglądając się przy tym na pozycję społeczną sprawcy.

Żył w mieście pewien bogaty maskil, mąż z gatunku tych oświeconych Żydów, o których mówi porzekadło: „Czy maskil pyta, gdzie jest Bóg?” Pewnego razu, jeszcze za życia błogiej pamięci starego gaona, zdarzyło się, że ów maskil pojechał w drugi dzień świąt pociągiem. Ludzie rzecz jasna zbesztali go za to, ale on zamiast wytłumaczyć się i powiedzieć, że był w sytuacji przymusowej, starał się wszystkim udowodnić, że jazda pociągiem dozwolona jest nawet w sobotę. W ogóle maskile owego okresu, kiedy popełnili jakiś grzech, starali się znaleźć w Prawie uzasadnienie albo jakiś

* *Talmud Tora* („nauka Tory”) — męska podstawowa szkoła religijna dla biednych dzieci żydowskich, utrzymywana przez gminę.

przepis jakoby dopuszczający taki czyn. Kiedy reb Szłojme objął stanowisko rabina, ów maskil chciał się do niego zbliżyć. Wychodził bowiem z założenia, że jeśli rabin zna niemiecki, to z pewnością znajdzie w nim partnera. Reb Szłojme jednak, który dopuszczał do siebie każdego człowieka, nie nawidził mędrców, którzy sprowadzali ludzi na złą drogę. Ci mędracy lubili bowiem przekręcać słowa Tory, zwłaszcza kiedy chodziło o przestrzeganie świętości szabat, w którym tkwi załączek zbawienia Izraela. A im bardziej maskil starał się zbliżyć do niego, tym bardziej reb Szłojme go od siebie oddalał. Wtedy maskil zaczął obgadywać reb Szłojme i nawet zdołał przeciągnąć na swoją stronę takich ludzi jak on sam.

Żył w naszym mieście pewien stary lichwiarz, człowiek w Piśmie uczony, pobożny, skrupulatnie przestrzegający nakazów i zakazów Tory. Nazywał się Aszer. W tym czasie napisał książkę pod tytułem *Tłusty chleb* i chciał uzyskać od reb Szłojme zgodę na wydanie jej drukiem. Kiedy zbyt natarczywie nagabywał o to rabina, ten mu oświadczył: A kto wyrazi zgodę, na wydanie drugiej książki na przykład pod tytułem *Książka długów*? Aszer, jakby go kto oblał wrzątkiem, natychmiast się uspokoił i wyniósł z pokoju reb Szłojme. Zaczął więc odgadywać rabina i znowu pozyskał popleczników.

Istniało w naszym mieście Towarzystwo Dobroczynności pod nazwą „Małbisz arumim”^{*}. Pewnego razu gabe tego towarzystwa pobrał z kasy pieniądze, za które kupił biednemu chłopcu tefilin. Powiedział, że postąpił zgodnie z Pismem, w którym jest napisane: „I zrobił skórzaną koszulę, i ubrał ją”, to znaczy, że tefilin określił jako ubranko. Usłyszawszy o tym, reb Szłojme nakazał gabemu zapłacić za tefilin z własnej kieszeni. Rozzłościł się gabe na rabina i zaczął go obgadywać. I wygadując na reb Szłojme, znalazł sobie popleczników.

^{*} *Małbisz arumim* — ubierający nagich.

Był w mieście pewien rabi chasydzki. Pewnego dnia wnuczek tego rabiego zmarł. Chasydzi rabiego postanowili zgodnie ze starym zwyczajem zanurzyć ciało wnuczka w mykwie. Przeciwstawił się temu reb Szłojme i zagniewani chasydzi zaczęli go obmawiać. A kiedy zaczęli go obmawiać, znaleźli sobie popleczników.

Pracował w *beit din** rabina Szłojme stary dajan, który miał za zięcia Fiszla Tuena, człowieka z dyplomem sędziego. Do funkcji Fiszla należało przesłuchiwanie stron podczas rozprawy oraz rozstrzyganie sporów powstałych między sąsiadami. Kiedy stary dajan zmarł, Fiszel chciał objąć po nim krzesło sędziowskie. Reb Szłojme dobrze go przejrzał. Przekonał się, że to chytrus i oszust, który podczas rozprawy sądowej po cichu podpowiadał przegrywającej stronie, co ma mówić. Dlatego oświadczył mu bez ogródek: „odczep się od krzesła sędziowskiego. Póki ja tu jestem rabinem, ty sędzią nie będziesz”. Wyleciał Fiszel z trzaskiem z pokoju rabina i zaczął wygadywać na niego. I jak zaczął wygadywać, to zaraz znalazł sobie popleczników. Wkrótce wszyscy ci obgadywacze i wygadywacze zawarli sojusz przeciwko rabinowi. Każdy z innego powodu. Razem napisali do władz miasta donos, w którym określili rabina Szłojme jako nieuka i ciemniaka. Naczelnicy miasta doskonale znali reb Szłojme i otrzymawszy donos, od razu podarli go i wrzucili do kosza, po czym wezwali autorów i zbesztali ich jak wichrzycieli. Co więc ci wichrzyciele zrobili? Ci, którzy należeli do pobożnych, zaczęli opowiadać, że władze miasta trzymają sztamę z rabinem, bo to są goje, a reb Szłojme zna język gojski. Maskile zaś twierdzili, że rabin, ciesząc się względami gojów, stara się być bardziej surowy nawet wtedy, kiedy sprawa wymaga lżejszego potraktowania.

I zanim spór zdążył ostygnąć, reb Fiszel owdowiał i wkrótce potem wziął sobie drugą żonę z rodziny Fajwiszów. Fajwiszo-

* *Beit din* — izba sądowa.

wie wywodzą się od bogacza reb Uri Fajwisza, parnesa* gminy, który w swoim czasie rządził nią twardą ręką. Po nim władzę przejęła jego rodzina, tak że całe miasto znalazło się w jej rękach. Obecny Rosz-hakahał, czyli prezes gminy, reb Fajwisz zwany Wysokim pochodził z tychże Fajwiszów, a pisarz gminy Fajwisz zwany Małym był jego bratankiem. Reb Fajwisz zwany Starym był gabem w Chewra-Kadisza**. Fajwisz zwany Zachrypniętym miał pod swoją pieczęcią rytualną rzeźnię, a Fajwisz zwany Fabius miał nadzór nad pinkasem — księgą zawierającą spis urodzonych i zmarłych. Fabius popularnie zwany Fajwke oraz Fajwke zwany Febus kierowali wszystkimi sklepami tytoniowymi. Reb Fajwke, szwagier Fajwisza Wysokiego, miał w swoim ręku browar. Pola dziedzica trzymał w arendzie teść szwagra, wszyscy zaś razem byli współnikami w przedsiębiorstwie handlu alkoholem. Słowem, nie było takiego miejsca związanego zaszczytami i pieniędzmi, żeby nie było obsadzone przez kogoś z Fajwiszów. Kiedy reb Fiszel wszedł do rodziny Fajwiszów, z miejsca powstało pytanie, dlaczego Fiszel nie ma objąć stanowiska dajana? Należy mu się ono zarówno z tytułu dziedzictwa po pierwszym teściu, jak też z tytułu własnych zasług. Ci, którzy zależeli od Fajwiszów, raz trzymali stronę Fiszla, raz rabina Szłojme. Tymczasem, można powiedzieć, panowała w mieście „rodzinna” atmosfera.

33

Od czasu do czasu zamożniejsi obywatele naszego miasta jeździli do miasta reb Szłojme to w sprawach handlowych, to w urzędowych. Kiedy zaś obywatel naszego miasta przybywał do miasta reb Szłojme, zazwyczaj wstępował do niego do domu, aby mu złożyć uszanowanie, a małżon-

* *Parnes* — starosta, przełożony społeczności żydowskiej gminy.

** *Chewra-Kadisza* — bractwo pogrzebowe.

ce przekazać pozdrowienia od jej rodziny. Dla rabinowej dzień goszczenia kogoś z jej miasta był dniem świętecznym, albowiem swoich ziomków darzyła wielką miłością, dla niej wszyscy byli mili i kochani. Kiedy zaś w mieście rozgorzały spory wokół osoby reb Szłojme, a reb Mojsze-Pinchosa już wśród żywych nie było, rabinowa znowu zaczęła rozmyślać nad powrotem męża do jej rodzinnego miasta. Dla przybyłych gości urządzała wystawne obiady i kolacje, aby mogli prowadzić długie rozmowy z mężem, a ona przy tej sposobności dowiedziałyby się o najnowszych wydarzeniach, jakie zaszły w naszym mieście. Wprawdzie nic specjalnego się tam nie wydarzyło, ale jak wiemy, nie ma takiego miasta, w którym by się coś ważnego nie działo. O jednym właśnie takim wydarzeniu warto opowiedzieć, ponieważ świadczy ono o zamiłowaniu mieszkańców miasta do spokoju i zgody, o ich niechęci do wszelkich sporów i rozróbek. Oto bowiem członek nowo powstałego odłamu chasydzkiego, Wewe Zajweł Flaszke-drige, złamał zakaz i włożył na głowę w Szabat Chazon* sztrajmeł**. Całe miasto śmiało się z niego, a mimo to żadnych sporów i kłótni nie było. W tym miejscu musimy jeszcze raz podkreślić, że w naszym mieście wszyscy byli uczeni w Piśmie. I kiedy siedzieli przy stole i rozmawiali o Torze, zdawało się, że Ołtarz Boga stoi w naszym mieście. Od Tory przeszli do spraw pochodnych, czyli obsadzenia krzesła rabina w naszym mieście. Ze słów reb Szłojme nie wynikało, żeby był skłonny przejąć ten urząd. Przeciwnie. Bez przerwy starał się przekonać gości, żeby sobie wybrali innego rabina, bo nie wolno zostawić miasta bez duchowego przywódcy.

* *Szabat Chazon* — sobota przed Tisze b'Aw, dniem postu w związku ze spaleniem Świątyni Pańskiej w 586 r. p.n.e. i 70 r. n.e.

** *Sztrajmeł* — kapelusz z lisim otokiem noszony przez chasydów w uroczyste dni.

Pewnego razu przybył szwagier reb Szłojme, reb Szymon Eli, w towarzystwie trzech znakomitości naszego miasta. Był wśród nich wybitny mąż, reb Jehuda, teść mego dziadka reb Jehudy. Po wieczornej modlitwie, podczas kolacji doszło do rozmowy na temat sporów i rozdźwięków między Fajwiszami a całą społecznością gminną. Powiedział wtedy reb Szymon Eli do swego szwagra Szłojme: posłuchaj mnie, ucieknij z tego miasta, w którym ludzie bez przerwy się kłócą, i przyjedź do nas. Wpadł mu w słowa reb Jehuda, teść mego dziadka, również reb Jehuda: W jednym z dzieł rabiego Majmonidesa jest taki zwrot: „jeśli ktoś znajduje się w kraju, w którym ludzie krocą niewłaściwą drogą, to powinien udać się tam, gdzie ludzie prowadzą się dobrze”. Reb Szłojme przymknął oczy, jak czyni to człowiek, kiedy zastanawia się nad tym, co usłyszał, i przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu. Wtedy wszyscy naraz zapytali go: rabi, jaka jest wasza odpowiedź? Reb Szłojme otworzył oczy i oświadczył: doskonale przecież wiecie, że jestem człowiek nieskory do kłótni i sporów, nie jestem uparty, nikogo nie lubię krzywdzić i nie utrzymuję się z pensji rabina. Ale co mają robić rabini, którym żony nic nie wniosły w posagu, a teściowie nie zostawili w spadku majątku? Czy z tego powodu mają pozwalać, aby każdy poniżał ich publicznie? Jeśli rabin jest biedny i musi zabiegać o wsparcie, to nie dość, że ludzie, u których zabiega o pomoc, mało mu dają, to jeszcze dokuczają na każdym kroku. Jeśli zaś rabin jest zamożny, mają mu to za złe. U gaona reb Gabriela Rejnisha kapota do takiego stopnia wytarła się ze starości, że musiał ją skrócić, a wtedy całe miasto podniosło krzyk, że ubiera się jak Niemiec*. Gaon rabi Abraham Teomim, który był bardzo bogaty i całą otrzymywaną z gminy pensję rozdawał ubogim, musiał opuścić miasto, ponieważ bogacze zarzucali mu, iż zabiera im zarobki, bo udziela dzieciom pożyczek na mniejszy niż oni procent. A czy na mnie nie mówili, że oddałem pieniądze na procent i w ten sposób zabie-

* Tu: asymilator.

ram im zarobek? Wy zaś doskonale wiecie, że pieniądze, które zostawił mi w spadku teść, oby spoczywał w spokoju, oddałem w dobre ręce pod jednym warunkiem, że uzyskane z nich odsetki pójdą na bezprocentowe pożyczki dla biednych Żydów uganających się za lichym zarobkiem na rynku. I jeszcze coś wam powiem, drodzy moi bracia, całe życie spędziłem w spokoju, to teraz, kiedy zważyło się na mnie trochę zmartwień, mam podnieść gwałt i krzyczeć, że jestem wspaniałym Żydem i należą mi się tylko dobrodziejstwa? Pamiętam, że w waszym mieście żył wielki uczony w Piśmie, który całe życie poświęcił był Torze, a po jego śmierci żona i dzieci pozostały bez środków do życia. Ja zaś, dzięki Bogu, mam z czego żyć i śmiertelny całun mam już też przygotowany, to o co mam się martwić? Na śmieciarce mnie nie wywiozą, jak to kiedyś zrobili mieszkańcy Bełza ze swoim błogiej pamięci rabinem, pożyczkodawcą, którego wypędzili z miasta w piątek po południu. Nie, bracia, koniec, wybierzcie sobie innego rabina, bo w mieście pozbawionym rabina funkcję jego spełnia szatan. A my — przerywają mu goście — wybraliśmy już rabina. A kto nim jest? — pyta reb Szłojme. Uśmiechają się goście i ze słodyczą w głosie powiadają: jest nim nasz rabi Szłojme, oby długo żył. Reb Szłojme zerwał się z krzesła i oświadczył: słuchajcie, moi szanowni panowie, już raz wam powiedziałem, że nie przyjmę stanowiska rabina w naszym mieście, a ja nie mam w zwyczaju powtarzać dwa razy tego, co już raz powiedziałem. Ale my — powiada do niego szwagier Szymon Eli — wiemy również to, co kiedyś powiedział był wasz dziadek gaon Pinchos, oby jego zasługi były dla nas ochronną tarczą. Powiedział mianowicie, że ktoś z jego wnuków znajdzie swoje wieczne odpocznienie w naszym mieście. Mój dziadek, rabi Pinchos — odpowiedział reb Szłojme — był wielkim cadykiem, a słowo cadyka zawsze się spełnia. Mój błogostawionej pamięci dziadek zostawił po sobie dużo dzieci, a te zrodziły również wiele dzieci dla Tory. Ze względu na to, że są to moi krewni, nie wypada mi ich protegować, ale jeśli chcecie spełnić życzenie mego dziadka, weźcie

sobie za rabina jednego z jego wnuków, który spełnia wymagane warunki. Wtedy ludzie odpowiedzieli: otóż cadyk Pinchos wyraźnie podkreślił, że chodzi mu o najbardziej odpowiedniego ze wszystkich wnuków, a w naszym pokoleniu nie ma bardziej od was, reb Szłojme, odpowiedniego. Na podstawie nawet waszych słów — odpowiedział reb Szłojme — które ściśle mówiąc oparte są na błędzie, pytam, czy ja jestem jedynym z mego pokolenia odpowiednim kandydatem? Przecież mój dziadek nie powiedział, że właśnie ja mam zasiąść na jego rabinackim krześle. On powiedział, że jeden z jego wnuków spocznie obok niego w grobie. Kto wie, co ten cadyk miał na myśli?

Przez cały czas rabinowa nie odrywała wzroku od męża, w głębi serca modliła się, aby goście przekonali reb Szłojmę, ale on puścił ich słowa mimo uszu. Zdaje się, że Pan Bóg również nie wysłuchał jej cichej modlitwy. A kiedy zjedli i odmówili błogosławieństwo, rabin wstał od stołu i powiedział: posiedźcie jeszcze trochę z moją żoną, a ja w tym czasie przejdę do pokoju z książkami. Po jego wyjściu rabinowa zwróciła gościom uwagę, że jej mąż, choć ma wszystkiego czterdzieści siedem lat, już jest całkiem siwy. Wszystkie jego zmartwienia mają swoje źródło w trosce o los matki owego młodzieńca ze wsi. Słyszałam, że uprawia czary. I usłyszawszy kroki męża, natychmiast urwała. Rabin wszedł do pokoju trzymając w ręku książkę. Zawsze tak postępował, nie chciał bowiem, aby ludzie na jego widok powstawali z miejsc, wolał okazywaną cześć przypisywać nie sobie, tylko trzymanej w ręce książce. Zobaczywszy, że wszyscy mają twarze zachmurzone i nic nie mówią, uśmiechnął się i powiedział: byłem pewny, że żona poczęstowała was szklanką czegoś gorącego. Na te słowa rabinowa poderwała się z miejsca, weszła do kuchni i zaraz przyniosła gościom herbatę z cytryną, inaczej zwaną jabłkiem z Asyrii. Siedzieli więc goście dalej przy stole, pili herbatę i do poruszonego tematu już nie powrócili.

Zostawmy teraz miasto reb Szłojme i wróćmy do naszego miasta, żeby wskazując na dobroć mieszkańców, usunąć trochę w cień zmartwienia spowodowane kłótniami i niesnaskami.

Pewien bogacz z naszego miasta sporządził przed śmiercią testament, w którym zapisał znaczną sumę pieniędzy na cele dobroczynne. Stworzył w ten sposób fundusz, z którego dochodów miano po śmierci bogacza zakupić domy, pola uprawne i gospodarstwa rolne. Każdego roku, w rocznicę śmierci fundatora, zarządcy funduszu mieli za zadanie zebrać uzyskane za czynsz pieniądze od użytkowników tych domów, pól i gospodarstw rolnych i rozdzielić je wśród ubogich. Rozdział pieniędzy miał się odbyć pod nadzorem rabina i na podstawie opinii trzech kuratorów, których bogacz wyznaczył jeszcze za swego życia. Według zapisu w testamencie pierwszeństwo mieli biedacy wywodzący się z rodziny bogacza. Na wieść o tym zapisie zjawił się natychmiast brat zmarłego i zaraz po nim wielu innych krewnych spoza naszego miasta, żądając dla siebie olbrzymiej sumy. Powstała wtedy wątpliwość, czy brat ma prawo do takiego udziału, skoro w chwili sporządzania testamentu nie był biedakiem. Należało również określić, jak daleko sięga pokrewieństwo. Kuratorzy wzięli również pod uwagę zdanie uczonych w Piśmie, którzy orzekli, że jeśli toczy się rozprawa o rozdzielenie pieniędzy wśród ubogich, to sędziowie z tego samego miasta, skąd pochodzą ubodzy, nie mają prawa w niej uczestniczyć. Dlatego też, zgodnie z panującym zwyczajem, zwrócono się do gaona reb Szłojme, aby rzecz rozstrzygnął.

Minęło kilka dni i odpowiedź nie nadeszła. Tymczasem zbliżała się rocznica śmierci fundatora. Biedni krewni z niecierpliwością czekali na mające im przypaść pieniądze, a pozostali biedacy obijali progi kuratorów, którzy nie wiedzieli, jak postąpić. A tu panuje zima, poczta wskutek mrozu i zasp

śnieżnych pracuje z opóźnieniem. Nawet bałagudy, którzy choćby dla lichego zarobku gotowi są zawsze ryzykować, tym razem nie wyjeżdżają za miasto, albowiem drogi zawałone są śniegiem i łatwo w nim utknąć razem z końmi. Po długim oczekiwaniu nadszedł list od reb Szłojme, w którym pisze, że wybiera się na ślub siostrzenicy do miasta położonego niedaleko od naszego. Przy tej okazji wstąpi do nas i sprawę rozdzielania pieniędzy rozstrzygnie na miejscu. W mieście zapanowała ogólna radość. Ludzie zaczęli czynić przygotowania, aby godnie przywitać rabina. W tym miejscu godzi się opowiedzieć o cudownym wydarzeniu, które zaszło w naszym mieście. Mieszkał u nas stuletni staruszek, który urodził się był w tym samym roku, w którym umarł reb Pinchos. Po nim też otrzymał to samo imię. Staruszek nie mógł się już doczekać śmierci. Dotychczas codziennie modlił się o nią, ponieważ nie miał już sił do życia. Ledwo trzymał się na nogach. Teraz nagle jednak zachciało mu się żyć, na własne oczy zobaczyć wnuka owego Pinchosa-cadyka, po którym odziedziczył imię.

Tymczasem reb Szymon Eli zajął się przygotowaniem pokoju dla swego szwagra, rabina Szłojme. Poleciał wyremontować piec i dwa razy na dzień porządnie w nim napalić. Ze względu na nieprzerwanie padający śnieg wielu ludzi zwątpiło w przyjazd rabina. W tych warunkach jazda po drogach pełnych zasp była wielce niebezpieczna. Rabin, hanagid Jehuda, teść mego dziadka, ani przez chwilę nie wątpił w przyjazd rabina, bo jeśli — powiedział — reb Szłojme dał słowo, to go dotrzyma.

35

I oto pewnego dnia po południu, w czasie modlitwy mincha, wjechały do naszego miasta sanie, a w nich siedział człowiek okutany w kozuch niczym wielki dziedzic. Sanie

podjechały pod sklep reb Szymona Eli. Natychmiast wyskoczyli zatrudnieni w sklepie subiekci i podbiegli do sań. Maklerzy kręcący się na rynku nie pozostali w tyle i również skupili się wokół sań. Wszyscy myśleli, że do miasta zawitał jakiś wielki magnat. Nie przyszło im nawet do głowy, że tym przybyszem może być sam reb Szłojme, też wielki magnat, ale w dziedzinie Tory, która jest cenniejsza od wszelkich materialnych dóbr. Ze sklepu wyłonił się reb Szymon Eli razem z dwoma synami i kasjerem. Podeszli do sań i pomogli reb Szłojmie wysiąść. Żona reb Szymona Eli poleciła służącym dodać drew do pieca. Reb Szymon Eli i synowie wprowadzili rabiego do domu, zdjęli z niego ciężki kożuch oraz buty i posadzili na miękkim fotelu obok pieca, aby mógł ogrzać zmarznięte nogi. Na kolanach położyli mu ciepłe futerko i nie ustawiali w zabiegach, aby mu było wygodnie. Reb Szłojme był bardzo znużony drogą. Część śnieżnych płatków stajała w ciepłe, a część twardo trzymała się jego brody i głowy. Jednocześnie widać było, że włosy na głowie zdążyły już zbieleć, nie wskutek długich lat, ale zmartwień, jakich mu życie nie szczędziło. Nie bacząc na zmęczenie, reb Szłojme polecił natychmiast wezwać kuratorów funduszu, aby nie przedłużać biedakom czasu oczekiwania na pieniądze. Tymczasem rozpakowano jego bagaż. Reb Szłojme wziął torbę i wyjął z niej różnego rodzaju bułki i ciasta z weselnego stołu swojej siostrzenicy. Po kolei zaczął obdzielać pieczywem swoich krewnych i służących, a zwłaszcza tych ostatnich. Z zadowoleniem patrzył, jak jedli, a kiedy posilili się i odmówili błogosławieństwo, on powtórzył za nimi słowa amen. Każdego pytał, czy mu smakowało. Miał w tym cel. Siostrzenica była sierotą, a on, jako wujek, chciał się upewnić, czy jej opiekunowie postarali się o dobre pieczywo na wesele.

Pół miasta wyległo, aby przywitać rabina. Przyszli kuratorzy funduszu i znakomitości miasta. Ze względu na to, że do pokoju zważyło się dużo ludzi, nie można było podjąć

rozmowy na temat podziału pieniędzy. Nazajutrz, tuż po modlitwie porannej, zanim rabin zdążył cokolwiek przegryźć, zasiadł z kuratorami do rozpatrzenia sprawy podziału pieniędzy i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie wydał werdyktu zgodnego z Prawdą i Prawem, a mianowicie: połowę sumy polecił rozdać ubogim krewnym, drugą połowę biedakom z miasta. Połowa przeznaczona dla krewnych ma być rozdzielona według stopnia pokrewieństwa, zgodnie z nakazem Prawa, które powiada, że bliższy krewny ma większe prawo. Tym samym brat zmarłego powinien otrzymać jedną trzecią od tej połowy, pozostałe dwie trzecie należy rozdzielić wśród następnych krewnych. Między tymi zaś nie wolno czynić żadnej różnicy. Rozdzielić równo bez względu na miejsce zamieszkania. I wydawszy werdykt, reb Szłojme w obecności kuratorów natychmiast uzasadnił go ustnie opierając się na przepisach Gemary, po czym w sposób jasny i wyraźny utrwalił to na piśmie. A że pisząc werdykt, nie miał pod ręką potrzebnej księgi, zostawił kilka pustych miejsc, które miał później wypełnić cytatami. Ci, którzy potem wydali drukiem jego werdykt wraz z objaśnieniami, wypełnili puste miejsca odpowiednimi cytatami.

Po przekazaniu kuratorom swego werdyktu reb Szłojme położył się na krótko do łóżka. Odpocząwszy chwilę, wstał, coś przegryzł i do późna w nocy przyjmował interesantów. Rano chciał pójść do bóżnicy, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Odmówić modlitwę trzeba więc było w domu. Wielu Żydów chciało się pomodlić z rabinem, toteż szybko zebrał się minjan*. Po modlitwie szwagierka podała mu kawę i ciasto. Kawę wypił, ale ciasta nie tknął. Szwagierka poczuła się urażona. Dlaczego — zapytała — zawstydzasz moje pieczywo? Odłamał wtedy kawałeczek ciasta i zjadł. Opowiadając, że od wydarzenia z reb Mojsze-Pinchosem, który z jego po-

* *Minjan* — dziesięciu dorosłych Żydów, stanowiących niezbędne quorum do odprawiania zbiorowej modlitwy.

wodu odrzucił proponowane mu stanowisko rabina, reb Szłojme nie brał do ust żadnych Szinaim — resztek czy ostateków spożywanych po radosnej uczcie sobotniej. I tak siedząc podniósł kaszkiet i wytarł czoło. Musiał to kilka razy powtórzyć. Wtedy reb Jehuda, teść mego dziadka rabina Jehudy, popatrzył i dał wszystkim znak, aby pozwolili mu odpocząć. Ludzie zabrali się do wyjścia, to samo chciał uczynić rabin Jehuda, ale reb Szłojme poprosił go, aby został.

Siedział reb Szłojme i odmawiał błogosławieństwo na cześć Pana, który ożywia wszystko. Reb Jehuda i jeszcze dwaj szanowni Żydzi, którzy przyszli po tym, jak poprzedni Żydzi opuścili mieszkanie, stali i patrzyli na niego z nie skrywaną miłością. Reb Szłojme wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł pot z czoła i wstał z krzesła. Widać było, że ma zamiar dokądś pójść. Dokąd chce pójść i kto jest godny jego wizyty? Z szacunku nikt go o to nie zapytał. Przez chwilę stał, po czym znowu usiadł. Chciałem — powiedział — was zapytać, co porabia wdowa po Mojsze-Pinchosie? Odpowiedział mu reb Szymon Eli: no cóż, wdowa jak to wdowa, utrzymuje się z łaski nieba i trochę z łaski ludzi. Powiedziawszy to, reb Szymon Eli popatrzył najpierw na reb Szłojme, a potem przeniósł wzrok na reb Jehudę, teścia mego dziadka reb Jehudy. Pierwszy odezwał się reb Jehuda: ja daję jej tyle, żeby ona i jej dzieci nie umarły z głodu. A kto — powiada reb Szłojme — daje jej tyle, żeby mogła z dziećmi żyć? Mówiąc to, reb Szłojme ostrym wzrokiem zmierzył swego szwagra, który był wielkim bogaczem i którego majątek szacowano na jakieś dziesięć tysięcy reńskich. Reb Szymon Eli zaczął się mądrzyć: podobno minister Mojsze Montefiore powiedział kiedyś, że lepiej jest być wśród Żydów jedynym biedakiem aniżeli bogaczem. Wtedy reb Szłojme hamując gniew pogładził się po brodzie i oświadczył: Tak, rzeczywiście, Montefiore tak kiedyś powiedział. Daj nam jednak Panie, takich dobroczyńców jak on, bo...

Nie dokończył zdania, wstał z krzesła i ostro zapytał: gdzie ona mieszka? Zrozumieli, że chce pójść do wdowy po

Mojsze-Pinchosie. Zaczęli mu odradzać, że lepiej będzie, jeśli nie pójdzie, biedaczka mieszka bowiem w nie opalanej, zimnej i ciasnej izdebce. Z ust rabina wyrwało się westchnienie. Ludzie tu wiedzą — powiedział — że wdowa mieszka w ciasnej i zimnej izbie, i nic ich to nie obchodzi. Widząc, że reb Szłojme nie ma zamiaru zrezygnować z wizyty, chcieli mu towarzyszyć w drodze. On jednak machnął ręką i oświadczył z ironią: po co macie się trudzić? W piecu przecież nie napalicie. Ja też chyba nie napalę w piecu, a to z powodu moich pięknych szat, których nie chcę poplamić. Byłoby ich szkoda.

36

Tego dnia był wielki mróz. W izbie wdowy odczuwało się go bardziej niż na dworze. W piecu wprawdzie się paliło, ale jakby nie po to, by ogrzać mieszkanie. Kobieta i dzieci siedziały okutane w łachmany. Od podłogi wiało wilgotnym chłodem. Z kąta dochodził słodki, wdzięczny głos najstarszego chłopca reb Mojsze-Pinchosa, który uczył się Tory w domu, bo nie miał butów, żeby pójść do beit hamidraszu. Pogrążony w nauce nie zauważył gościa, ale rabin od razu go dostrzegł i po cichu przysłuchiwał się, jak chłopiec się uczy. Potem wdał się z nim w rozmowę na temat tego, czego się uczy. I rozmawiając z chłopcem nie czuł wcale chłodu ani drżenia ciała. Ludzie z naszego miasta opowiadają, że rabin w drodze powrotnej miał oświadczyć, że gdyby nie wydał wcześniej swoich córek za mąż i nie ożenił synów, to by ich związał węzłami małżeńskimi z dziećmi reb Mojsze-Pinchosa. I jeszcze do tego dodał: dlaczego Tora w naszym pokoleniu podupadła? Dlatego, że rabini żenią swoich synów z córkami bogaczy. Młodzi małżonkowie pewni, że za pieniądze dochrapią się stanowiska, nie przykładają się zbytnio do nauki. Potem, kiedy obejmują już stanowiska rabinów,

czekają, żeby zamożniejsi obywatele podtrzymywali ich darami, muszą bowiem utrzymywać swoje żony, córki bogaczy, na odpowiednim poziomie. To rodzi lizusostwo i wszelkie inne negatywne cechy. Zupełnie inaczej rzecz się ma, kiedy ktoś pojmie za żonę córkę biednego uczonego w Piśmie, która przez całe życie klepała biedę. W tym wypadku jej mąż nie musi się przed byle prostakiem poniżać, a Tora pozostaje Torą. O gaonie reb Szłojme nie można powiedzieć, żeby dołożył do swego ożenku z córką nobliwych i zamożnych rodziców, albowiem majątek jej dziadka, kupca tekstylnego, pomógł mu wypełnić bez przeszkód nakazy studiowania Tory, dawania jałmużny i uprawiania działalności dobroczynnej. Chodzą również słuchy, że miał również powiedzieć: wątpię, czy rabinowi przystoi zajmować się wypożyczaniem pieniędzy, nawet w wypadku, kiedy chodzi o dobry uczynek. Reb Szłojme jeszcze raz odwiedził wdowę. Mówią, że chciał się od niej dowiedzieć, czy po reb Mojsze-Pinchosie pozostały jakieś rękopisy. Przy tej okazji wręczył córkom wdowy okazałą sumę na posag. Tym razem niedługo u niej zabawił i nie rozmawiał z chłopcem o jego nauce. Wskutek bowiem duszącego kaszlu ciężko mu było wydobyć z piersi głos. Zaprosił chłopca do siebie do domu, a kiedy ten się zjawił, zostawił wszystkich notabli miasta, którzy byli u niego z wizytą, aby wdać się w dłuższą rozmowę z nim.

37

Był dwudziesty dzień miesiąca Tewet. W tym dniu, zgodnie ze zwyczajem, reb Szłojme studiował dzieła Majmonidesa, ponieważ ten wielki mędrzec żydowski tego właśnie dnia przed wiekami umarł. Pod koniec dnia zwykł był opowiadać, do jakich odkryć doszedł podczas wczytywania się w dzieła mędrca. Tego dnia jednak wielu ludzi go odwiedziło i nie mógł poświęcić się nauce, wskutek czego do nowych odkryw-

czych komentarzy nie doszedł. Kiedy notable miasta i miejscowi uczeni w Piśmie zjawili się w jego mieszkaniu, oświadczył: dzisiaj jest rocznica śmierci błogiej pamięci Majmonidesa i w związku z tym godziłoby się coś mądrego powiedzieć, ale wskutek zmęczenia ograniczę się tylko do przypomnienia jednego dzieła, jakiego dokonał był nasz wielki nauczyciel. Podobno relację o tym miał przekazać wybitnym osobistościom swej epoki bogobojny gaon, rabi Eliezer z Amsterdamu, podczas pielgrzymki do Erec Izrael.

W siódmym rozdziale dzieła o podstawowych zasadach Tory Majmonides powiada, że zdolnością prorokowania obdarzony może być tylko mędrzec doskonale znający Torę i czysty pod względem moralnym. Inny mędrzec postawił pytanie: Dlaczego Majmonides nie wymienia wśród tych warunków siły, bogactwa i skromności. Te cechy bowiem wymienił rabi Jonatan w traktacie *Nedarim* strona 80. Inny jeszcze mędrzec stawia pytanie, dlaczego Majmonides nie opiera się na rozdziale o skromności (strona 84 tego traktatu), gdzie jest mowa o tym, że Szechina* spoczywa tylko na mędrцу, który jest bogaty i skromny, i wysoki. Jak to więc jest?

Nasi mędrцы talmudyczni wyposażyli nas w argumenty, które umożliwiają uzasadnienie tezy Majmonidesa. W Gemarze jest napisane, że Szechina spoczywa na mędrцу niekoniecznie wysokim. Jeśli tak mówi Gemara, to twierdzenie rabiego Jonatana zawarte w traktacie *Sanherdin* odpada. Pewnego razu, kiedy mędrцы siedzieli na tarasie w mieście Jawne, usłyszeli głos z nieba. Tu siedzi jeden mędrzec, na którym Szechina może spoczywać. Ale pokolenie współczesne nie zasługuje na to. Wszyscy zaczęli wtedy patrzeć na Szmuela Hakatana (Małego). Innym razem podczas przebywania mędrców na tarasie rozległ się głos z nieba: jest wśród was jeden, na którym Szechina może spoczywać, ale dzisiejsze

* *Szechina* — Duch Boży, Obecność Boga.

pokolenie nie zasłużyło na to. Wtedy wszyscy skierowali wzrok na Hilela Starego. Z tego wynika, że Szechina spoczywa na biedaku, ponieważ w traktacie *Joma* strona 37 jest napisane, że Hilel Stary był biedakiem i utrzymywał się z rąbania drzewa. Znaczy to również, że Szechina spoczywa nawet na człowieku niskiego wzrostu, gdyż za pierwszym razem mędracy spojrzeli na Szmuela Małego. Prawda, że *Tosefta* na święta w czwartym rozdziale traktatu *Awot* wyjaśnia, dlaczego nazywano Szmuela Małym. Dlatego mianowicie, że starał się zawsze pomniejszyć siebie, my jednak słowo „mały” tłumaczymy zgodnie z jego prostym, dosłownym znaczeniem.

38

Opowiadanie nasze dobiega końca i nasz rabi Szłojme również zbliża się do końca. W sobotę polecił zawiadomić ludzi w bóżnicy, że w rocznicę śmierci Mojsze-Pinchosa wygłosi kazanie poświęcone jego pamięci. Kiedy szames podał to do wiadomości, wszyscy mieszkańcy miasta postanowili pójść i posłuchać przemówienia zarówno ze względu na nieboszczyka Mojsze-Pinchosa, jak i ze względu na mówcę. W tamtych czasach ludzie nie byli jeszcze tak przesyleni przemówieniami, jak dzisiaj. Każdy kaznodzieja mógł liczyć na tłumy słuchaczy. Ze względu na mróz reb Szłojme postanowił wygłosić przemówienie nie w wielkiej i zimnej synagodze, tylko w starym beit hamidraszu. Ci, którzy przychodzą się modlić do wielkiej synagogi, najpierw wkładają tefilin w starym beit hamidraszu, bo w wielkiej synagodze jest tak zimno, że nie można odstąpić ramienia do opasania rzemieniem. A że stary beit hamidrasz jest mały i nie może pomieścić wszystkich chętnych, ogłoszono, żeby ci, którzy mają ciepłe ubrania, stali na dworze i stamtąd słuchali słów mówcy. I tu sprawa przybrała dość dziwny obrót. Bogaci i notable

miasta mieli stać na dworze, na zewnątrz bóżnicy, a biedacy wewnątrz. Tymczasem gaon chorował. Leżał w łóżku i kaszel rozsadzał mu piersi. Niebieskie jego oczy były zaczerwienione i policzki na pięknej twarzy zapadły się. Zaniepokojonych jego stanem zdrowia ludzie reb Szłojme pocieszał mówiąc, że choroba wkrótce go opuści. I oto nadszedł dzień rocznicy śmierci reb Mojsze-Pinchosa. Gaon zerwał się z łóżka i chciał iść, ale siły go opuściły, w głowie mu się zakręciło i głos ochrypl do reszty. Nie mógł ustać na nogach. Pomodlił się więc trochę na siedząco i trochę na leżąco w łóżku. Potem, spojrzawszy na zegarek, powiedział: mamy przed sobą długi dzień i Bóg, oby Jego Imię było błogosławione, jeszcze mi pomoże. Przeplukał gardło, zjadł trochę miodu i napił się słodkiej herbaty. Zażył lekarstwa przepisane przez mędrców Gemary, chociaż teraz ich się nie używa, bo od tamtych czasów organizm człowieka uległ zmianie. Nalał do szklanki trochę wina, trochę octu i oliwy i duszkiem wypił. Miał wrażenie, że zrobiło mu się lepiej. Po południu, przed modlitwą mincha znowu wstał z łóżka, ubrał się, włożył futerko, a nie kozuch, ten sam, w którym przyjechał. Reb Szymon Eli i jego żona usiłowali go zatrzymać, gdyż doktor ostrzegał, że może nastąpić pogorszenie choroby, jeśli przedwcześnie wyjdzie na dwór. Reb Szłojme skinieniem głowy przytaknął im, że niby się zgadza, ale zaraz potem otworzył drzwi i wyszedł. Nie zdążył dojść do beit hamidraszu, kiedy zaśląbł i trzeba było zanieść go na noszach do domu.

W nocy trawiła go gorączka. Opowiadają, że przez cały czas poruszał wargami i coś tam szeptał. Burmistrz miasta, który wysoko cenił rodzinę Szajnerów, przysłał swego lekarza. Ten, przebadawszy go, stwierdził, że to nic groźnego, że za trzy do czterech dni wyzdrowieje, ale dalej będzie musiał uważać na siebie, bo może nastąpić nawrót choroby, a wtedy może się to źle skończyć.

Oprócz lekarstw zastosowano również inne środki. We wszystkich bóżnicach odmówiono psalmy, i to nie tylko te,

które w swoim czasie sławny w Judei gaon uznał na uzdra-
wiająca. Kobiety również nie siedziały z założonymi rękami.
Obchodziły wszystkie święte miejsca, otwierały Aron Hako-
desz i modliły się o zdrowie dla rabina. W czwartek podczas
czytania Tory w bóżnicy dodano mu jeszcze jedno imię,
Mojsze. Dodanie tego imienia choremu uczonemu w Piśmie
działa jak lekarstwo. Znany nam jest fakt, że gdy choremu
gaonowi Meszułam dodano imię Mojsze, zaraz potem wy-
zdrowiał. Następnie urządzono mu pidion hanefesz* i odmó-
wiono modlitwy, które w takich wypadkach należy odma-
wiać. Nie zachodzi potrzeba przytoczenia wszystkich szcze-
gółów, można je bowiem znaleźć w dziele *Tikun nefesz*.

39

Teraz opowiem o tym, jak cadyk Szłojme zakończył ży-
cie. Kiedy spostrzegł się, że przyszedł czas odejścia z tego
świata, zwrócił się do osób, które miały się zająć jego po-
grzebem, żeby go pochowano obok Mojsze-Pinchosa. Kazał
sobie podać *Szulchan Aruch*, żeby wiedzieć, jak postępować
w czasie agonii. Potem udzielił błogosławieństwa krewnym
oraz służącym. W następnej kolejności pobłogosławił miesz-
kańców miasta, po czym umywszy ręce, odmówił „widuj”
— przedśmiertną spowiedź. Po krótkiej przerwie odmówił
modlitwę Kriat Szema i dochodząc do słów „I będziesz mi-
łował Boga” wyzionął ducha.

Mówiłem już o tym, że w tym czasie spadło dużo śniegu,
u nas bowiem kiedy już zaczyna padać, to pada aż do wiosny.
Wszystkie drogi były zawałone śniegiem, a zwłaszcza te,
którymi się rzadziej jeździ. Powstały prawdziwe góry śniegu.
Należy teraz wspomnieć dobrym słowem obu naszych graba-
rzy — Chaima Długiego, którego zwano „długim życiem”,

* *Pidion hanefesz* — uroczystość wykupienia życia.

bo Chaim to po hebrajsku znaczy życie, oraz małego Lejba Kadisz, którego ze względu na niski wzrost nazywano „półkadisz”. Obaj podczas wiejącej śnieżycy wykopali na cmentarzu grób dla naszego rabina, gaona, oby jego pamięć była błogosławiona.

Spodziewano się, że reb Szłojme zdąży wskazać ludziom właściwą drogę życia i oto Bóg go nagle do Siebie powołał, aby świecił wiekuistym światłem. I co po nim teraz pozostało? Święte, na śniegu leżące ciało. Dopóki nie oddano go ziemi, ludzie stali nad nim i odmawiali modlitwy, hymny i prośby. I nagle rozległ się w ciszy głos, jakby słabego ptaka. Oczy zebranych skierowały się ku staremu reb Pinchosowi, który stał nad zmarłym i słabym głosem recytował *Pieśń nad pieśniami*. Recytował zwrotkę po zwrotce, tak jak wtedy, sto lat temu, kiedy gaon, rabi Pinchos-Cudotwórca leżał na ziemi, nim go złożyli do grobu. Wiemy o tym z relacji naszych ojców, oby odpoczywali w świetlanym raju. Otóż wtedy, podczas pogrzebu reb Pinchosa-Cudotwórcy, dziadka reb Szłojme, całe miasto stało nad ciałem zmarłego i recytowało *Pieśń nad pieśniami*. Tej nocy nikt nie spał. Ze wszystkich krańców miasta przyszli starcy i staruszki, aby głośno oplakiwać śmierć świątobliwego męża, reb Szłojme. Teraz też padał gęsty śnieg i czyste światło księżyca rozjaśniało noc. Śnieg z natury jest czysty, ale tej nocy był jakoś bardziej czysty, klarownie czysty. Ludzie twierdzili, że ani dotychczas, ani potem takiego czystego śniegu nie widzieli. Na dworze było jasno, lecz w sercu każdego z obecnych panowała ciemność. Rano wszyscy mieszkańcy, od starców do dzieci, szli w kondukcje pogrzebowym. W żadnym domu nie palono w piecu, nikt nie tknął jedzenia. Zabrano na cmentarz nawet dzieci w kołyskach. Chorzy wstali z łóżek. Wszyscy szli za trumną. Wszyscy mieli łzy w oczach. Nikt nie narzekał na mróz. Każdy szedł w milczeniu. Tylko jeden szames szedł z boku i głośno wołał: „sprawiedliwość przed cadykiem kroczy”.

Wkrótce kondukt zbliżył się do wielkiej bóżnicy. Tu na podwórzu postawili trumnę i siedem razy obeszli bóżnicę wokół. Ci, którzy obeszli bóżnicę, i ci, którzy umyli ciało zmarłego, przedtem wykąпали się w mykwie. Potem wzięli trumnę i ponieśli ją na cmentarz, gdzie pochowano zmarłego w zawczasu wykopanym grobie. Kiedy śniegi stajały, rabino-wa zebrała kilka minjanów Żydów i udała się z nimi na grób męża. Tu stwierdziła, że reb Szłojme spoczywa nie obok reb Mojsze-Pinchosa, ale obok swego dziadka reb Pinchosa. Myślicie zapewne, że grabarze się pomylili. Nic podobnego. To stary gaon zabrał go do siebie. Wielkość cadyków objawia się po śmierci. Tego bowiem dnia, kiedy go chowano, minęło właśnie sto lat i jeden dzień od śmierci jego dziadka. I chyba ręka Mojsze-Pinchosa również w tym była, ponieważ on nie chciał mieć obok siebie reb Szłojme.

A że reb Szłojme za życia był miłośnikiem pokoju i zgody, przeto i po śmierci przebaczył każdemu.

Opisując tę historię nie miałem zamiaru opowiedzieć o cudzie dokonanym przez cadyka albo o zawiści reb Mojsze-Pinchosa. Opisałem po prostu życie dwóch uczonych w Piśmie, którzy żyli w naszym mieście przed dwoma pokoleniami, w czasie, kiedy Tora była naszą koroną i kiedy wszyscy Żydzi kroczyli drogą wskazaną przez Nią. Tora bowiem jest źródłem naszej radości i twierdzą zapewniającą nasz byt do nadejścia zbawienia, kiedy znowu będziemy mieli szczęście usłyszeć słowa Tory z ust Mojżesza. Wtedy Mesjasz zasiądzie do wspólnej nauki Tory z tymi Żydami, którzy studio-wali ją z zamiłowaniem.

Przypowieść z morałem

1

Zanim zacznę opowiadać o notablach, którzy kolejno panowali w naszym mieście, wróćę myślami do naszego nauczyciela, bogobojnego chasyda, gaona, rabiego Mojsze, który za życia wstąpił do piekła, aby uwolnić agunę* od daremnego czekania na powrót zaginionego męża. Przy pisaniu tego opowiadania przyświecały mi dwa cele. Pierwszym była chęć utrwalenia na piśmie wielkości chasydzkiego gaona, drugim zaś chęć ostrzeżenia wszystkich ludzi, od dzieci do starców, przed rozmawianiem w czasie modłów i czytania Tory w bóżnicy. U nas w Buczaczu nie ma zwyczaju rozmawiać podczas modłów i czytania Biblii. Zdaję sobie jednak sprawę, że w każdym mieście może się znaleźć przybysz z innego grodu, który właśnie lubi sobie uciąć rozmówkę podczas czytania Tory. O takim właśnie przybyszu z innego miasta będzie niniejsze opowiadanie, w którym będzie mowa o tym, jak kara czeka amatora rozmów.

W naszym starym beit hamidraszu pełnił kiedyś służbę stary szames. Niektórzy twierdzą, że pracował w istocie w wielkiej synagodze, a nie w starym beit hamidraszu. Miał się nazywać Jerucham ben Tancham. Jemu również chcę poświęcić większą uwagę. Są tacy, którzy utrzymują, że ten szames wcale nie nazywał się Jerucham, ale ja znam imiona szamesów, którzy przewinęli się w naszym mieście w ciągu życia tylko dziesięciu pokoleń, i dlatego nie podejmuję się rozstrzygnięcia tej kwestii. Ja mogę tylko opowiedzieć samą historię tego szamesa. Imię jego nie ma tu większego znaczenia, aczkolwiek w samym imieniu zawarta jest zazwyczaj istota człowieka, a nawet jego metamorfoza.

* *Aguna* — żona, której mąż zaginął i która nie może powtórnie wyjść za mąż, dopóki nie dostanie jego świadectwa zgonu.

Pomijam w tej historii te wątki, których nie potrafię wyjaśnić, i opowiadam tylko to, co z całą pewnością wiem i rozumiem.

Otóż pewien bogacz z naszego miasta wziął sobie za zięcia młodzieńca z innego miasta. Był to młodzieniec z nobliwego domu, znawca Tory, który potrafił po nowemu wyjaśnić nie tylko co trudniejsze i bardziej zawile zdania z każdego dzieła, ale wyłowić nowy sens z pozornie łatwych, prostych i zrozumiałych wersetów. Zanim zdążył wgryźć się w temat, zanim uchwycił sens zadanego mu pytania, już zaczynał rozprawiać nie żałując słów. Nie mówię tu o jego komentarzach, które rzeczywiście bywały niekiedy nowatorskie, ale o jego niepoahamowanej ciągocie do ustawicznych rozwiązań i do komentowania wszystkiego po nowemu.

Tak wygląda to opowiadanie w ogólnym zarysie. Teraz przechodzę do szczegółów.

Pewnej soboty podczas czytania Tory zięć naszego bogacza siedział na krześle przy wschodniej, honorowej ścianie bóżnicy. Siedzisko to zakupił dla niego teść od pewnego człowieka, który na stare lata postanowił wyjechać do Erec Isroel. Siedział więc nasz młody żonkoś i pilnie przebiegał oczyma po stronicach Biblii wydanej w małym formacie.

Baal kore* czytał Torę i wszyscy obecni w bóżnicy z nabożnym lękiem przysłuchiwali się każdemu słowu. I oto śledzącemu biblijny tekst młodemu zięciowi wpada do głowy nowy komentarz. Wychyla spod tałesu głowę i nachyla się ku sąsiadowi, żeby mu przedstawić odkryty właśnie nowy sens przeczytanego zdania z Biblii. Sąsiad otwiera ze zdumienia oczy. Czytają Torę, a ten śmie rozmawiać. Czyżby uważał, że słowa człowieka są piękniejsze od słów Boga? Nie dziwcie się więc zdumieniu sąsiada, albowiem w naszym mieście, jak powiedziałem, ludzie nie mieli zwyczaju rozmawiać podczas nabożeństwa, a zwłaszcza w czasie czytania

* *Baal kore* — osoba czytająca w bóżnicy Torę.

Tory. Od wyniesienia zwojów Tory z arki aż do zakończenia czytania ludzie w bóżnicy z zapartym tchem wsłuchiwali się w każde słowo baal kore. Starsi ludzie opowiadają, że słyszeli od swoich ojców, a ci od swoich ojców, jak to w dawnych czasach tylko trzy razy w roku, podczas świąt, po zakończeniu czytania rozdziału Tory najbardziej szanowany obywatel w synagodze brał do ręki *rodały** i kiedy po kolei podchodzili do niego Żydzi pragnący błogosławieństwa dla siebie i swojej rodziny, odmawiał stosowną modlitwę, nie wymieniając przy tym ofiarowanej sumy na rzecz synagogi. Dopiero po święcie ci, co zostali pobłogosławieni, przynosili do synagogi ofiarowane pieniądze. W późniejszym okresie, kiedy synagoga potrzebowała coraz więcej pieniędzy, zaczęto udzielać błogosławieństw każdej soboty. Przy Torze jednak nadal nie mówiono o pieniądzach. Potem jednak, kiedy ludzie coraz więcej zaczęli dawać pieniędzy w sposób jawny i publiczny, wymieniano na głos ofiarowany grosz. A jeszcze później, kiedy zaczęto zbierać pieniądze na takie niepotrzebne cele, jak opłacanie kantorów, którzy swoim głośnym gardłowaniem zamienili poważną modlitwę w czystą komedię, zerwano z dawnym obyczajem, który nakazywał udzielać błogosławieństwa po całkowitym zakończeniu czytania całego rozdziału. W przerwach między odczytywaniem poszczególnych fragmentów Tory zaczęto udzielać błogosławieństwa każdemu chętnemu. Co więcej, czytany rozdział Tory, podzielony dotychczas na siedem fragmentów po jednym dla każdego wzywanego do czytania, podzielono teraz na większą liczbę mniejszych fragmencików, aby w ten sposób uzyskać więcej ofiarodawców. Z jednej strony wywołuje to uczucie zazdrości u ludzi, którzy nie dostali aliji**, a z drugiej całe czytanie zamienia się w wyliczankę imion, których w Torze nie ma.

* *Rodały* — zwoje Tory.

** *Alija* („podniesienie”) — zaproszenie do czytania Tory, wyróżnienie — także emigracja do Izraela.

Wracam do zięcia bogacza, który podczas czytania Tory nagle odkrył nowy komentarz. I kiedy nachylił się do ucha sąsiada, żeby się z nim podzielić nowym objaśnieniem odczytanego właśnie zdania, zauważył to szames i posłał mu gniewne spojrzenie. Nasz zięć nic sobie z tego nie robił i w oczach szamesa pojawiły się groźniejsze błyski gniewu. Odkrywca nowego komentarza nie zwraca na niego uwagi i dalej mówi. Szames pogroził mu palcem i wypomniął: no, no! I kiedy powtórzone upomnienie dalej nie odnosiło skutku, szames zszedł z bimy, podszedł do gaduły, wziął go za rękę i wyprowadził z bóżnicy.

I zakotłowało się w mieście. Od kiedy Buczacz Buczaczem, nie zdarzyło się, żeby w takim świętym przybytku jak synagoga kogoś znieważono, cóż dopiero wyrzucono, nie mówiąc już o tym, że tak mało znacząca osoba jak szames ośmieliła się postąpić w taki sposób z uczonym w Piśmie, człowiekiem szlachetnego rodu, zięciem miejscowego bogacza. I chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, że uczynił to dla chwały Niebios, nie zabrakło głosów wołających o ukaranie szamesa, a nawet żądających pozbawienia go posady.

Minęła sobota, przeminęła niedziela i nastał poniedziałek. Szames stanął przed sądem. Na wstępie rozprawy przewodniczący sądu rabi gaon oświadczył: nie nadaję się do prowadzenia tej sprawy, albowiem całym sercem miłuję uczonego w Piśmie, boję się, że nie ustrzegę się od subiektywnego orzeczenia na jego korzyść, dlatego należy powołać nowy skład sędziowski.

Skompletowano więc nowy skład sędziowski. Na wstępie sędzia zapytał szamesa, czy może powołać się na jakieś osobiste ważne zasługi dla miasta i bóżnicy. Czy nie wystarczy — odpowiedział z miejsca szames — że nikomu bez wyjątku, czy to wielki uczonego w Piśmie, czy to wielki pan, nie pozwoliłem i nie pozwalam rozmawiać podczas czytania Bożych słów?

Sędzia mu przerywa: przecież osoba, którą usunąłeś z bóżnicy, rozmawiała o Torze. Tak — odpowiada szames — rozmawiał o Torze, ale czynił to podczas czytania jej. Czy nie wystarczyło — powiada sędzia — żeś go upomniał? Dlaczego zawstydziliś go jeszcze na oczach ludzi? Zrobiłem to z litości — odpowiada szames. Wyprowadziłem go z bóżnicy, bo zdawałem sobie sprawę, jaka go może czekać kara za dalsze rozmawianie podczas modlitwy i czytania Tory. Tysiąc takich zawstydzeń na tym świecie jest niczym wobec kary na tamtym świecie. Jak to jest — powiada sędzia — że nikt tego nie widział, tylko ty? Przecież we wszystkich księgach jest mowa o tym grzechu, wszyscy autorzy tych dzieł przestrzegają przed popełnieniem go, niektórzy nawet utrzymują, że pogromy Chmielnickiego w 1648 r. były karą za rozmawianie podczas modłów.

Na to szames odpowiada: Księgi to księgi, ale wszystkie one są niczym w porównaniu z tym, co oczy widzą. Mierzy go sędzia wzrokiem i powiada: Co to znaczy, oczy widzą? Nikt inny mający oczy tego nie widział, tylko ty? I co to ma wspólnego ze strachem, który na nas rzucasz?

Spuszcza szames oczy i nic nie mówi. Sędzia przerywa jego milczenie: I co na to powiesz?

Podnosi szames oczy, ale zaraz je zamyka, jakby zobaczył coś strasznego. Przeraziłem się dlatego, że zobaczyłem przed sobą obrazy, o których chcę właśnie opowiedzieć.

Przenikliwe oczy sędziego dostrzegają na twarzy szamesa objawy strachu. Myśli sobie: w tym, co szames mówi, musi coś być. Powiada wtedy do niego: może zechcesz nam to dokładnie wyjaśnić.

Szames znowu spuszcza oczy i powiada: O jedno tylko proszę Boga, żebym niepotrzebnym słowem się nie wyrwał. Byłoby lepiej, gdyby cała ta sprawa się nie zdarzyła, nie musiałbym teraz o tym mówić. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zawsze lepiej jest milczeć. I rzekłszy to, zamilkł.

Sędzia nie daje mu jednak spokoju. Zdaje mi się — powiada — że chciałeś coś powiedzieć.

Przyciśnięty do muru szames spojrział na tych, co siedzieli za sędziowskim stołem, i przemówił tymi słowy: Nie chodzi mi o to, żebym znalazł uznanie w oczach ziemskiego sądu, nie chcę się również usprawiedliwiać przed wami, czcigodnymi panami. Jeśli zdecydowałem się puścić parę z ust, to nie po to, żeby opowiedzieć historię o wielkich i ważnych tajemnicach, ale po to, żebyście usłyszeli, jaka kara czeka tych, co lekceważą takie przewinienie, co na takie grzechy gotowi są machnąć ręką.

2

I przeniósłszy wzrok z sędziów na ludzi, którzy przyszli przysłuchiwać się rozprawie, oświadczył: Dzisiejsi starzy Żydzi słyszeli zapewne od swoich ojców, że to ja usługiwałem naszemu rabinowi, nauczycielowi i przewodniczącemu sądu religijnego, Mojsze, oby Bóg oświecił jego raj aż do nadejścia Mesjasza. Wierzę, że rabi Mojsze wstawi się u Boga za nami i za całym narodem żydowskim. Nie jestem godny, aby mówić o wielkości tego erudyty w Piśmie i chasydyzmie, ale o tym, co powszechnie jest znane i wiadome, powiem. Nasz nauczyciel, rabi Mojsze, był uczniem świętego rabiego Michela z Niemirowa, który wskutek naszych ciężkich grzechów poniósł męczeńską śmierć podczas pogromów Chmielnickiego w 1648 roku. Onże zdołał przekazać naszemu rabinowi Mojsze tajemnicę zawartą w pewnym słowie Tory i dzięki temu słowu nasz rabi Mojsze uniknął śmierci z rąk występnego Chmielnickiego, oby jego imię zostało wymazane z ludzkiej pamięci. Niektórzy twierdzą, że to słowo znaleźć można w rozdziale „Weele hamiszpatim” (A takie są przepisy prawa, II *Księga Mojżesza* rozdz. 21). Inni znów utrzymują, że słowo to znajduje się w rozdziale „Haazinu” (Słuchajcie), *Pieśń Mojżesza z V Księgi Mojżeszowej*. Są również tacy, którzy uważają, że rabi Michel przekazał mu nie jedno słowo,

ale jedną kropkę spośród ukrytych lub objawionych słów Tory. Zresztą, kto to może ustalić. Dla takiego jak ja człowieka wystarczy, że przeczyta ten rozdział Tory wraz z komentarzem Raszi.

Miał nasz rabi Mojsze krewną o imieniu Złate. Całą jej rodzinę wymordowali hajdamacy Chmielnickiego, oby go ziemia ze swego wnętrza wyrzuciła. Złate była wnuczką rabiego Naftalego Wajncijera, znanego działacza społecznego, który wiele dobrego uczynił dla społeczności żydowskiej, jak i dla poszczególnych jednostek. Traf jednak chciał, że wpadł w ręce pewnego dygnitarza państwowego, któremu dostarczył na kredyt czterysta beczek wina. Kiedy upomniał się o pieniądze, dygnitarz poszczuł go psami. Ucieczka nie zdała się na nic. Psy go dopadły i rozszarpały na strzępy. Oby Bóg pomścił jego krew.

Historia z reb Naftalim wydarzyła się tuż przed pogromem urządzonym przez watahy Chmielnickiego. Ofiarą tych pogromów padła cała jego rodzina. Jedni ponieśli śmierć w ogniu, drudzy w wodzie. Jedni zginęli uduszeni przez oprawców, inni zostali ukamienowani. Ci, którzy cudem uniknęli śmierci od ognia, wody, szubienicy i kamieni, umarli z głodu lub z pragnienia. Złate zaś, jedyna z rodziny z łaski Boga uratowana dziewczynka, znalazła schronienie w lesie. Jak zbłąkana owieczka żywiła się przez dłuższy czas jagodami i innymi leśnymi roślinami. Mało brakowało, żeby zapomniała ludzkiego języka.

Kiedy pogromy ustały, okazało się, że również niektórym innym Żydom udało się ujść zagładzie. Ci zaopiekowali się dziewczynką i razem z nią rozpoczęli wędrówkę od jednej gminy do drugiej. Niektórzy chcieli powrócić do swoich miast rodzinnych, ale okazało się, że zostały splądrowane i spalone tak, że ślad po nich nie pozostał. Niektórzy z ocalonych tak zasmakowali w tułaczce, że nie byli w stanie usiedzieć na jednym miejscu. I tak wędrując od miasta do miasta, dotarli do Buczacza. I tu wstąpili do domu naszego rabina.

Rabinowa, zobaczywszy dziewczynkę, zaczęła się zastanawiać, skąd i kim ta sierotka może być. Dziewczynka była urocza, pełna wdzięku i rabinowa pokochała ją od pierwszego wejrzenia. Zaraz ją nakarmiła, ubrała i obuła. Przez wszystkie lata ukrywania się w lesie i późniejszej wędrówki dziewczynka chodziła boso. Jej opiekunom rabinowa zaproponowała pieniądze za pozostawienie u niej sierotki. Opiekunowie wzięli pieniądze i opuścili dom. Wtedy rabinowa zaczęła wypytywać małą, skąd i z jakiej rodziny pochodzi. Dziewczynka opowiedziała jej wszystko, co zdołała zapamiętać.

Po tej rozmowie rabinowa poszła do męża i przekazała mu relację dziewczynki. Wysłuchał rabin i powiada: nie ulega wątpliwości, że dziewczynka pochodzi z naszej rodziny, jest wnuczką rabiego Naftalego. I wzniosłszy swoje święte ręce, powiedział, niechaj będzie błogosławiony Bóg, który w swojej łasce przywrócił wnuczce Naftalego rodzinę. I niech będzie błogosławiony Bóg, który obdarzył nas szczęściem wychowywania tej sierotki w naszym domu, ona bowiem ze wszystkich naszych krewnych jedna pozostała przy życiu.

I zaopiekował się nią rabi Mojsze jak własną córką. I nie poskąpił jej niczego. Jak najlepiej karmił i ubierał. On, który nigdy nie przykładał wagi do ubioru, który dbał tylko o tałes i tefilin, sam poszedł do sklepu, żeby wybrać dla sierotki materiał na sukienki, osobiście udał się do szewca, żeby zamówić dla niej buciki. Każdego piątku przed pójściem do mykwy wchodził do kuchni i pytał, czy została wykąpana, czy ją należycie uczesano. Nieraz asystował przy czesaniu i zwracał uwagę, żeby czasem grzebieniem nie zadano jej bólu, gdyż od długiego przebywania w lesie włosy skołtuniły się i stawiały opór grzebieniowi.

A kiedy przyszedł czas i dziewczynka osiągnęła stosowny wiek, rabi zatroszczył się o wydanie jej za mąż. Zawczasu upatrzył sobie odpowiedniego kandydata do jej ręki. Był nim jego ulubiony uczeń, świetny znawca Tory, nieźle władający

kilkoma gojskimi językami. Był to syn handlarza perfum Zewulona. Tenże Zewulon napisał był kiedyś książkę zawierającą modlitwy, które należało odmawiać przed wyruszeniem i w czasie podróży. W rękopisie tej książki, którą zostawił po sobie, były również zawarte myśli i poglądy na herezję wygłoszone przez niego w dysputach z heretykami podczas jego pobytu w Turcji. Podobno starał się kiedyś uzyskać zgodę naszego rabina na wydanie drukiem tego rękopisu, ale reb Mojsze odmówił mu.

I wkrótce wydał rabi Mojsze swoją krewniaczkę za mąż za Arona, syna handlarza perfum Zewulona. Przejęty miłością do wychowawcy, rabi Mojsze sam odmawiał podczas siedmiu weselnych dni stosowne błogosławieństwa. Pamiętam, jak siódmego dnia weselnego, kiedy wszyscy goście już siedzieli przy suto zastawionym stole, otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł młodzieniec z traktatem Miszny pt. *Kiduszin* w rękę i odmówił wszystkie siedem błogosławieństw. Wówczas jeden z uczonych w Piśmie, człowiek dowcipny, powiedział do Arona: Widzisz, młodzieńcze, traktat Gemary cię oświecił, żebyś w czasie weselnych siedmiu dni odmówił stosowne siedem błogosławieństw.

O młodzieńcu, który wszedł z traktatem *Kiduszin* w rękę, nie mam nic więcej do opowiedzenia, ale co się tyczy Gemary, to w dziele pt. *Kaftor uperach* (*Guzik i kwiat*) zetknąłem się z historią pewnego uczonego w Piśmie, który przez cały rok studiował traktat Gemary „Chagiga” (Święto) i kiedy umarł, nikt tego nie zauważył, dopóki nie zjawiała się jakaś kobieta, która zaczęła głośno lamentować. Lamentowała tak, jak wdowa oplakująca śmierć męża. I co się okazało? Nie była to wcale kobieta, ale traktat „Chagiga”, który przybrał wygląd kobiety. Z tym bowiem traktatem nieboszczyk żył przez wszystkie dni swego żywota.

Młodej parze małżeńskiej rabi Mojsze zapewnił mieszkanie i wikt w swoim domu. Z młodym Aronem zaś dwa razy dziennie przerabiał Pismo. Jedną lekcję odbywał z samego

rana, drugą po modlitwie wieczornej. Ten, kto nie widział, jak nasz rabi kształci swego ucznia, ten nie ma pojęcia, czym może być przywiązanie nauczyciela do ucznia. Kiedy poruszał najprostszą kwestią, nad którą zwykle nie warto było długo się rozwodzić, to swemu uczniowi robił ogromny wykład obfitujący w najdrobniejsze szczegóły. Rabi Mojsze żywił nadzieję, że z tego małżeństwa urodzi się potomstwo na chwałę Boga i ludzi, na chwałę rodziców zamordowanych przez okrutnego wroga.

Niełatwo jest znosić nieszczęście i ciężkie są jego następstwa. Wskutek nieszczęść spadłych na Żydów Aron pograżył się w rozmyślaniach na temat przyczyn, dla których Bóg tak ciężko doświadcza Izraela, dlaczego zapalał do Swego narodu gniewem tak wielkim, że wydał go gojom na pastwę i na... oby tego nie było... zagładę.

Zzerały go wątpliwości. Jedna wątpliwość pociąga za sobą drugą, a ta następne. Tak jak jedna mysz zwołuje inne myszy, które zbierane w kupę zaczynają gryźć wszystko, co się w promieniu ich działania znajduje. I zamiast dojść do wniosku, że Bóg zsyła na nas cierpienia z miłości, żeby poprzez cierpienia oczyścić nas i uszlachetnić, żeby uwolnić nasze serca od szatana, który uwił sobie w nich gniazdo, podczas naszej tułaczki po rozmaitych krajach diaspory, żeby w ten sposób przygotować nasze oczyszczone serca do przywitania dnia Zbawienia, Aron doszedł w swoich rozmyślaniach do fałszywego wyводу, że Bóg przestał nas miłować.

Kiedy człowiek głębiej zaczyna rzecz rozważać, spływa na niego łaska i wyraża wtedy skruchę, a Bóg ucisza jego serce i uwalnia od wątpliwości. Większą jeszcze łaskę zyskuje ten, co nie poddaje się w ogóle wątpliwościom, u którego wątpliwości w żadnej, nawet utajonej formie nie występują. Uczeń naszego rabiego tej łaski nie doznał. Nie tylko nie odpędził do siebie złych i pokrętnych myśli, ale z całą świadomością pozwolił im się lęgnąć i mnożyć w głowie. Wskutek tego zaczął coraz bardziej zaniedbywać Torę, coraz bar-

dziej nonszalancko odnosić się do nakazów i zakazów. Życie straciło dla niego wszelki sens. Kiedy przychodziło mu wypełnić jakiś nakaz Tory, nie czynił tego z bojaźnią, miłością i duchową radością. Czynił to nie dlatego, że Tora tak zakazywała, ale dlatego, że w swoich dociekliwych rozważaniach doszedł do wniosku, iż czyn ten pozostaje w zgodzie z nakazem. Jego studiowanie Tory nie wyływało z wewnętrznej potrzeby, ze świętej radości, z pragnienia oddania się Torze duszą i ciałem, ale z chęci szlifowania rozumu. Wstyd i hańba, że są tacy ludzie, którzy myślą, iż żywe słowo Boga wymaga wsparcia ludzkiego rozumu. Tacy ludzie mogą doprowadzić do wysunięcia wniosku, iż nie Tora jest najważniejszą rzeczą, ale rozum człowieka.

Kiedy człowiek studiuje Torę, znajduje w niej tarczę ochronną. Kiedy spełnia micwę*, to ten dobry uczynek chroni go przed grzechem. Kiedy jednak studiuje Torę bez wewnętrznej radości, to Tora również nie obdarza go radością. Taki człowiek nie odczuwa żadnego smaku ze studiowania, a nie mając satysfakcji z wypełniania micwy, szuka oparcia gdzie indziej. Nie zdaje sobie sprawy, że skutkiem niewłaściwego podejścia do Tory poddał się władzy złych duchów. Miłosierdzie Boga jest jednak wielkie, albowiem pozostaje mu pokuta. Jeśli się pokaja, znajdzie właściwą drogę. Niedobre myśli zaciemniają umysł i jeśli człowiek się ich nie pozbędzie, jest zgubiony.

3

Pewnego dnia skoro świt, kiedy na dworze było jeszcze szaro, przyszedł rabi Mojsze do beit hamidraszu i nie zastał w nim Arona. Na mój widok zapytał, co się stało. Odpowiedziałem, że zaraz pójde i sprawdzę. Nie — rzekł rabi — sam

* *Micwa* (l.mn. *micwot*) — nakaz, zbożny uczynek.

się pofatyguję. Usłyszała Złate zbliżające się do domu kroki rabiego, zerwała się z łóżka i wyszła mu naprzeciw. Rabi powiada do niej: Gdzie jest Aron? Zaniepokojona Złate wraca do domu, wchodzi do pokoju, rozgląda się, patrzy na łóżko Arona, a ono puste, od wczoraj widać nie używane. Znaczy, że Aron wcale tu nie nocował. Wychodzi na dwór do rabiego i powiada: Nie ma Arona. Kończy zdanie i pada zemdlona.

Usłyszała jej słowa rabinowa i wychodzi z domu. Zaraz po niej zaczynają wychodzić sąsiedzi. Wkrótce zebrano się niemal całe miasto. Ludzie zaczynają rozważać i zastanawiać się nad zniknięciem Arona. Snują różne przypuszczenia. Przypuszczenia przypuszczeniami, a Arona jak nie ma, tak nie ma.

A kiedy nadszedł kres rozważaniom i przypuszczeniom i sytuacja nie uległa zmianie na lepsze, w mieście zaszumiało. Takie nieszczęście. Jeszcze wczoraj go widziano w bóżnicy podczas modłów, a dzisiaj jak kamień w wodę. Czy przepadł od razu po modlitwie wczoraj, czy zniknął w nocy w drodze do domu? Nie ma to większego znaczenia. Patrząc na rabiego odnosi się wrażenie, że nic nie słyszy i nic nie widzi. Po chwili rabin opuścił głowę i powiedział: Ludzie, pora odmówić poranną modlitwę.

Tymczasem dni płyną i nadzieja na odnalezienie Arona maleje. Rabin zdążył wysłuchać wszystkich Żydów, którzy mieli coś w tej sprawie do powiedzenia. Każdego witał przyjaźnie i z uwagą słuchał jego relacji. Wiele czasu poświęcał też rozmowom z gojami na temat zniknięcia Arona, chociaż wiadomym było, że chłopcy przychodzili do niego tylko po to, żeby napić się wódki. Ale im bardziej fantastyczne i nieprawdopodobne były ich relacje, tym bardziej dawał im posłuch. Pewnego dnia jakiś goj w stanie upojenia opowiedział mu, że widział, jak Żyd spalił żydowską księgę. Rabin wykazał zainteresowanie i w skupieniu wysłuchał go.

Los biednej krewniaczki, która w 15 roku życia została aguną, nappełnił serce rabina bólem. Zostawił wszystkie cią-

zące na nim sprawy gminy, zaniedbał prowadzone przez siebie wykłady z dzieł Alfasiego i Majmonidesa i zaczął czynić starania na rzecz uwolnienia aguny od trwania we wdowieństwie, dopóki śmierć męża nie zostanie potwierdzona albo nie nadejdzie nie wiadomo skąd jego zgoda na rozwód. Widać było, że rabin stracił wiarę w możliwość powrotu męża Złaty, bo zaczął szukać świadków dla uzasadnienia decyzji o zwolnieniu jej od obowiązku bezterminowego czekania na Arona. Daremne jednak były jego poszukiwania.

Nasz rabin, oby błogosławiona była pamięć cadyka, był człowiekiem opromienionym blaskiem świętego ducha. Dzięki niemu widział więcej niż zwykły śmiertelnik. Oto bowiem oświadczył: Aron nie żyje, bo gdyby żył, to bym przyjął pogląd wyrażony w księdze *Poskim*^{*}, który jest zgodny z intencją Tory, i nie szukałbym uzasadnienia dla uwolnienia aguny tam, gdzie go znaleźć nie można. Na zakończenie zaś dodał: Kiedy zaczynam głęboko, od strony prawa analizować przypadek tej nieszczęśliwej niewiasty, wybucha w moim sercu walka między oczami a sercem, między tym, co widzę, a tym, co czuję. Oczy widzą księgę i w niej wyraźne przepisy prawa, a serce podpowiada mi, że być może prawo nie uzna jej za agunę. Dopóki jednak nie zjawi się człowiek, który oświadczył, że sam pochował Arona albo widział go martwego, Złate jest jego żoną i nie ma żadnych podstaw, żeby zwolnić ją z obowiązku aguny. Możesz więc sobie wyobrazić, jak nasz cadyk, rabi Mojsze cierpiał, jak bolał nad losem jedynej ocalałej krewniaczki, która w wieku 15 lat skazana już została na wdowieństwo do samej śmierci. Ból jego potęgowało jeszcze to, że w głębi duszy przekonany był, że Aron, jej mąż, nie żyje. Ale co mógł zrobić? Zwykły goj, prosty chłop, swoim oświadczeniem może uwolnić, wyzwolić agunę, a święty duch nie potrafi tego uczynić. Rabi nasz

^{*} *Poskim* — księga zawierająca rozstrzygnięcie diskutowanych w Talmudzie kwestii.

zwrócił się do największych gaonów w Polsce i na Litwie z pismem, w którym dokładnie całą rzecz wyłożył, a ci nie uwolnili Złaty z pęt aguny.

4

Kiedy podczas modlitwy poniedziałkowej pomagałem rabinowi wstąpić na bimę do odczytania rozdziału Tory, zauważyłem, że myślami przebywa w zupełnie innym świecie, z którego usiłuje się wyrwać. Zapewne, pomyślałem, rabin chce się oderwać myślami od nieszczęścia, które spotkało sierotę, żeby móc w pełnym skupieniu odmówić błogosławieństwa nad Torą.

Po odczytaniu fragmentu z rozdziału Tory pomogłem rabinowi zejść z bimy. Zauważyłem wtedy, że chce mi coś powiedzieć. Poczekalem, aż zdejmie tefilin, po czym nadstawiłem uszu. Rabin objął mnie wzrokiem i powiedział: Dobrze, że jesteś przy mnie. Włożył tefilin do woreczka i pozostał w tałasie na ramionach. Jeszcze raz mi się przypatrzył i powiedział: Wiem, że ty się nikogo i niczego nie boisz, idź teraz do domu, zjedz coś i przyjdź do mnie. Chciałem na niego poczekać, ale skoro polecił mi pójść do domu, zrobiłem, jak rzekł.

Udałem się do domu. Moja pierwsza żona, oby spoczywała w pokoju, wtedy jeszcze żyła. Podając mi jedzenie, powiedziała: Zdaje mi się, że jesteś trochę podenerwowany. Chciałem jej powiedzieć o tym, co się zdarzyło w beit hamidraszu, ale nie wszystko, co się tam wydarzy, należy opowiadać żonie. Zbyłem więc ją słowami: Spieszę się. A dlaczego się spieszę? Ano dlatego, że rabin na mnie czeka. Dlaczego czeka? Bo zamierza mnie wysłać dokądś z pewnym zadaniem. Popatrzyła na mnie i tylko zacisnęła usta. Kiedy zabrałem się do wyjścia, powiedziała do mnie: Czy pamiętasz historię z arendarzem i mełamedem? Takich rzeczy — odpo-

wiedziałem — nie zapomina się. Otóż — powiada do mnie żona — zapewne przyszli znowu ludzie do rabina z taką samą historią i on powierzył ci takie samo zadanie. Gdyby — odpowiadam — taka historia się wydarzyła u nas, to bym ja pierwszy, nawet przed tobą, o tym się dowiedział. Poza tym nie rzuca się na nikogo klątwy, dopóki po raz drugi nie stawiał się na wezwanie. Po tym, jak ów arendarz ukarany został na tym świecie, a sądzę, że na tamtym świecie czeka go również kara, nikt już nie waży się czegoś podobnego uczynić, a teraz, jeśli rabin posyła szamesa po kogoś, to wzywany przychodzi.

O co chodziło w tej historii z arendarzem? Otóż bogaty arendarz zaangażował mełameda dla swego syna. Przez całą zimę mełamed go uczył i na wiosnę, w miesiącu Nisan miał powrócić do domu, do żony. Ale kiedy mełamed poprosił arendarza o zapłatę za naukę, ten oświadczył: Zanim zapłacę, musimy sprawdzić, czy mój syn się czegoś nauczył. Wzywa syna i każe mu głośno odmówić kadisz, a ten ni be, ni me. Jak nie umie tego, czego uczył go mełamed, to tym bardziej nie umie tego, czego mełamed z nim nie przerabiał. Wściekł się arendarz i nie zapłacił mełamedowi ani grosza. Ten podniósł krzyk. Chcesz zapłaty — zawołał arendarz, no to ją masz, i dał mu w twarz. Wezwał mełamed arendarza przed sąd rabina, ale ten się nie stawiał. Posłał mnie rabin po niego, żebym go ostrzegł, że jeśli wykręci się od sądu na ziemi, nie ominie go sąd na tamtym świecie. Jeśli nie stawi się przed oblicze sądu rabinackiego, to zaprowadzony zostanie przed sąd w piekle.

Udałem się wtedy do arendarza. Nie odczuwałem strachu ani przed nim, ani przed jego psami, ani przed jego sługami. Widzisz — powiedziałem do mojej żony — z tej całej historii możesz wyciągnąć wniosek, że jeśli sam rabin spełnia nakaz „nie bójcie się nikogo oprócz”, to również jego szanesi nie boją się nikogo. Celowo użyłem słowa szames w liczbie mnogiej, nie chciałem, żeby się wbiła w dumę z mego powodu, bo często bywa tak, że kiedy żona zaczyna się chwalić mężem, to ten wpada w pychę i zaczyna się wywyższać.

Wróciłem do domu rabina. Właśnie podano mu szklanę mleka i obwarzanek. Rabin zdjął tefilin i dał je do włożenia do woreczka. Dotychczas sam je wkładał. Pomyślałem, że zapewne jest bardzo głodny, chce coś szybko przekąsić. On się jednak uśmiechnął i tak do nas powiada: Jacy zapominalscy są ci ludzie, że dzisiaj podają mi jedzenie. Chciałem wtrącić, że i ja zapomniałem, że dzisiaj jest poniedziałek, a rabin w poniedziałek i wtorek pości, ale zaraz się powstrzymałem, bo przez rabinem nie zwykło się wyrywać zbędnym słowem.

Odzywa się do mnie rabin: Mam zamiar dokądś pójść, czy chcesz mi towarzyszyć? Nie posiadamy się ze zdumienia. Rabin, przy którym każdy pragnie być, pyta mnie, czy chcę mu towarzyszyć. Gdyby mi nawet powiedział, żebym z nim poszedł do samych „gór ciemności”, ani przez chwilę nie zawahałbym się. Bardzo często zdawało mi się, że jednym spojrzeniem daje mi do zrozumienia, co chce powiedzieć. Zaraz potem rabin dodał: Tam, dokąd zamierzam iść, żywy człowiek nie ma prawa iść. Jeśli prawo jest nieubłagane, to musimy się zdać na miłosierdzie Boga.

Zauważył rabin, że nie pojmuję tego, co mówi. Spieszy więc z wyjaśnieniem: Włożyłem dużo trudu i wysiłków, żeby ulżyć dziewczynie, ale w świetle wszystkich przepisów prawa pozostaje ona aguną. A skoro nikt dotychczas nie stawiał się jako świadek śmierci jej męża, muszę sam się o tym przekonać. Muszę sam stwierdzić, czy żyje, czy umarł.

Słyszę te słowa i ciarki przebiegają mi po grzbiecie. Nie wiem, co się ze mną dzieje. A rabin dalej powiada: Jeśli żyje, musi odbyć pokutę, a jeśli umarł, poniewiera się w piekle, jest tam, gdzie wszyscy grzesznicy Izraela. Zamierzam tam właśnie się udać, chcę to sprawdzić na miejscu, czy pójdziesz ze mną?

Jaką — pytam — mam odmówić modlitwę? Patrzy na mnie rabin i oświadcza: Człowiek powinien zawsze być świadomy tego, że piekło stoi przed nim otworem. Kiedy stoisz

i modlisz się, niech ci się zdaje, że stoisz w drzwiach piekła. Niech ci się zdaje, że modlisz się po raz ostatni na tym świecie, bo może się zdarzyć, że nie dadzą ci jeszcze raz się pomodlić. Wielka to łaska, kiedy pozwalają człowiekowi raz w życiu modlić się i ten jeden raz jest teraz, kiedy stoi i modli się. Zapytałem go znowu: na jaką intencję mam się modlić? Patrzy na mnie rabin i powiada: Intencję masz wyrazić oczami. Jeśli mąż Złoty ukrywa się przede mną i ja go nie widzę, wtedy twoje oczy będą otwarte, abyś zobaczył, gdzie się ukrywa.

5

W piątek rano, w dzień poprzedzający Sobotę Pokutną, przyszedłem do rabina, żeby go zapytać, czy wygłosi kazanie. Jeśli potwierdzi, podam to do wiadomości. Właściwie pytanie o to rabina było zbędne, ponieważ od dawna było u nas w zwyczaju, że w Sobotę Pokutną zaraz po obiedzie zbierali się Żydzi w wielkiej synagodze, żeby najpierw odmówić psalmy, a potem wysłuchać kazania. W naszym mieście nie robiono zresztą niczego bez zasięgnięcia zdania rabina. Z początku myślałem, że idąc do rabina kierują się należnym szacunkiem, ale on mi wyjaśnił, że każda rzecz musi zawczasu być przygotowana, szczególnie zaś pokuta i kazanie o niej, albowiem należy dbać o to, żeby ludzie byli dobrze do niej przygotowani. Rabin określił też czas trwania pokuty. Kiedy opuściłem jego mieszkanie i byłem już za drzwiami, zawołał mnie z powrotem. Pomyślałem, że chce mi podać dzień naszego wymarszu do piekła, ale on mnie tylko zmierzył przenikliwym wzrokiem i oświadczył: Kiedy zapowiesz moje kazanie, dodaj w moim imieniu, żeby Żydzi wystrzegali się przed świętem Sukot stawiania szalasów w brudnych miejscach.

Dostrzegł moje zdziwienie. Żaden bowiem dotychczas rabin, ani też on sam, nigdy o tym nie wspominał.

Powiada wtedy do mnie: Wskutek naszego wielkiego grzechu tkwimy jeszcze tutaj, a teraz idziemy tam, gdzie mamy iść i człowiek nie wie nawet, gdzie stawia nogę i gdzie się znajduje. Ale szafas, będący tajemnicą obłoków niebios, które Bóg roztoczył nad Żydami na pustyni, powinien stanąć w czystym miejscu i należy tej czystości pilnie przestrzegać.

Podczas rozmowy o naszej wyprawie zaświtała mi w głowie myśl, że zaraz wyruszymy tam, gdzie znajduje się mąż nieszczęśliwej aguny. Rabin objął mnie wzrokiem pełnym przyjaźni i dał znak, że rozmowę uznał za zakończoną.

W drodze powrotnej do domu rozważałem w myślach każde jego słowo. Serce biło we mnie radością, że oto mamy takich przywódców, którzy wyraźnym i jasnym słowem prowadzą nas po słusznej drodze i są naszą opoką w świecie niewoli.

Poszedłem do domu, żeby przygotować wszystko na spotkanie soboty, żona bowiem, oby spoczywała w pokoju, była wówczas chora i ledwo się trzymała na nogach. Potem udałem się do bóżnicy, aby poczynić przygotowania do Jom Kipur. I Bóg okazał nam miłosierdzie. Dzień postu i pokuty minął szczęśliwie. Nikt nie zemdlał i kantor czytając Torę nie popełnił ani jednego błędu. Nie zgasła również ani jedna świeca. Ani ta za umarłych, ani ta za żyjących. A było tych świec bez liku, jedna przy drugiej, albowiem bez liku było ofiar wielkiej rzezi dokonanej przez hajdamaków. Każdy z ocalałych z pogromu zapalił świecę za duszę zamordowanego krewnego. Bardzo dużo świec zapalił nasz rabin, ponieważ z jego licznej rodziny pozostała przy życiu tylko Złate.

Następnego dnia po Jom Kipur zaniósłem rabinowi pudełko z cytronem*. Moja pierwsza żona, oby spoczywała w pokoju, korzystała z przywileju czyszczenia na święta srebrnego pudełka, w którym przechowywany był cytron. Każdego roku

* *Cytron* — owoc cytrusowy, nad którym odmawia się błogosławieństwa w święta Sukot. Właściwa nazwa tego owocu — *etrog*.

w czasie dziesięciu pokutnych dni czyściła to pudełko. W tym roku osłabiona chorobą postanowiła przełożyć czyszczenie pudełka na dzień po Jom Kipur. Rabin się zgodził, chociaż miał w zwyczaju od razu w wieczór kończący Jom Kipur po hawdali wkładać cytron do pudełka.

Wchodząc do domu rabina, zastałem ogólnie szanowanego bogacza reb Akiwę zwanego Szas*, bo kupił sobie kiedyś książkowe wydanie sześciu porządków Miszny, oraz reb Meszułama z Niemiec, człowieka równego Akiwie znaczeniem, ale ustępującego mu bogactwem. Reb Meszułam był potomkiem w prostej linii autora *Akdomot* — pieśni śpiewanych w święto Szawuot. Obaj z powodu podeszłego wieku przyszli do rabina nie w wieczór kończący Jom Kipur, ale następnego dnia, albowiem osłabieni byli wskutek odbytego postu.

Postawiłem pudełko na stole. Ogląda je rabin i powiada: Słyszałem, że twoja żona potrzebuje Boskiego miłosierdzia. Tak — odpowiadam — jest bardzo chora, a w domu, na psa urok, kupa dzieci. W skrytości ducha miałem nadzieję, że rabin udzieli mojej żonie błogosławieństwa, że złoży jej życzenia powrotu do zdrowia, ale nic takiego się nie stało. Po chwili zdziwienia zrozumiałem, dlaczego rabin milczał. On bowiem wiedział to, czego ja nie byłem w stanie wiedzieć. Nad moją żoną już zapadł wyrok Niebios. Nie minął rok i kobieta zeszła z tego świata. Tymczasem rabin włożył cytron do pudełka i zostawił je otwarte.

Cytron przyjemnie pachniał. Rabin wrócił do rozmowy z dwoma swoimi gośćmi o dawnych czasach. Treścią ich rozmowy było jakieś straszne wydarzenie. Było wtedy tak, że tutejsi ludzie przez dłuższy czas nie widzieli cytronu. Zaczęli się bać, że zapomną, jak wygląda. I oto pewnego dnia w okresie między Rosz Haszana a Jom Kipur zjawili się w mieście dwaj Żydzi handlujący cytronami przywiezionymi z dalekich krajów. Ludzie nie bacząc na to, że tkwili w dłu-

* Szas (Szisza sedarim) — sześć porządków Miszny.

gach po uszy, rzucili się do nabywania cytronów. Handlarze podyktowali wysokie ceny. Ludzie zapłacili za nie bająnskie sumy. Nie starczyło im potem pieniędzy na wykupienie z niewoli jeńców żydowskich. Aby zdobyć na to pieniądze, zaciągnęli pożyczki u księży. Co do cytronów, powstało wśród Żydów podejrzenie, że nie są prawdziwe, że nie nadają się do spełnienia micwy w święto Szalasów, że nie można nad nimi odmówić stosownego błogosławieństwa. Mimo tych podejrzeń postanowili jednak z cytronów skorzystać. Po świętach komuś wpadło do głowy zbadać je dokładnie.

Zebrał prawie wszystkich członków gminy i razem przystąpili do rozcinania cytronów. Okazało się, że to zwykłe cytryny. Wszystkie odmówione nad nimi błogosławieństwa były więc do niczego. Tuż przed świętem Pesach, kiedy śnieg stajał, odkryto w lesie dwa szkielety pomordowanych ludzi. Głodne wilki zdążyły ogołocić je z ciała. Po dokładnym obejrzeniu szkieletów i szczątków ubrań stwierdzono, że zamordowanymi są obaj handlarze. Ludzie w mieście nie sądzili, że handlarze świadomie sprzedali im cytryny zamiast cytronów. Nie myśleli również, że Bóg może się z nimi rozliczyć bez sądu i bez prawa. Powołali więc komplet sędziów, żeby orzec, czy żony zamordowanych stały się agunami i czy na podstawie znalezionych szczątków szkieletów i ubrań mogą uzyskać zezwolenie na powtórne zamążpójście. Sąd nie zdążył jeszcze wnikać we wszystkie szczegóły sprawy, kiedy kozacy Chmielnickiego napadli na Żydów i dokonawszy pogromu uprowadzili do niewoli wiele kobiet żydowskich. Wśród wziętych do niewoli kobiet znalazły się również obie wdowy po zamordowanych handlarzach cytronami.

Rozmowa dobiegła końca i obaj starzy Żydzi opuścili mieszkanie. Rabin otworzył przede mną traktat Gemary „Eruwin” i przeczytał zdanie o tym, że do piekła prowadzą troje drzwi, jedne znajdują się na pustyni, drugie w morzu, trzecie w Jerozolimie. Podał mi również siedem nazw poszczególnych kręgów piekła i określił różnice zachodzące między

nimi. Na koniec wyjaśnił, że po zniszczeniu Jerozolimy nie każdy grzesznik zasługuje na wstąpienie do piekła przez te drzwi. Dla większości grzeszników piekło otwiera się pod ich nogami, po prostu pod ich nogami. Potem rabin zapoznał mnie z niektórymi prawami rządzącymi w piekle. O tym, że mamy do piekła się udać, już nie wspomniał.

Po wieczornej modlitwie zauważyłem, że rabin mi się przygląda. Podeszedłem do niego, aby usłyszeć, co chce mi powiedzieć. On jednak milczał. Stałem i patrzyłem mu w twarz. Widzę, że płonie, a białe kędziory na głowie błyszczą od potu. Wskutek bólu głowy, w którą dostał kiedyś szablą, rabin nie strzygł włosów nawet na Jom Kipur.

Stałem dalej przy rabinie, mimo iż się do mnie nie odzywał. Serce mi podpowiadało, że czeka na mnie i sprawa, jaką do mnie ma, nie jest błaha. Po chwili powiada do mnie: weź latarkę, bo ruszamy w drogę. I chociaż nie powiedział, dokąd idziemy, wiedziałem, dokąd mamy iść. Nie muszę nadmienić, że przed wymarszem zwrócił się do Boga, w którego Imieniu mieliśmy wykonać zadanie. Wspominam o tym dlatego, że każdy uświadomiony człowiek przy podejmowaniu zadania zwraca się najpierw z prośbą o pomoc do Boga. Dobrze jest temu, który umie Boga prosić, i błogo jest temu, którego prośba zostaje wysłuchana.

Po tej dygresji wracam do rzeczy. Trzymałem w ręku świecę. Taką kapiącą woskiem świecę Żydzi zapalają na Jom Kipur w przedsionku wielkiej synagogi. Kilka takich świec zapalam w święto Szalasów, dokładnie w dzień Hoszana Raba*, i kilka takich świec zapalam również dwudziestego dnia miesiąca Siwan. Za czasów naszego rabina nikt nie kwapił się w wieczór po Jom Kipur do podchwytywania spadających grudek wosku z kapiących świec. Wszyscy bowiem zaraz po

* *Hoszana Raba* (Wielka Hosanna) — siódmy dzień święta Sukot (święta Szalasów), podczas którego procesja chodzi 7 razy wokół synagogi, po czym wierzbowymi gałązkami uderza o ziemię albo o jakiś sprzęt. Ceremonia z okresu II Świątyni Pańskiej towarzysząca modłom o deszcz.

wieczornej modlitwie pchali się do rabina, aby uzyskać błogosławieństwo. Cały wtedy wosk przypadł mnie w udziale. Zabrałem z sobą na drogę wszystkie świece, droga bowiem przed nami była długa i mogły na nas czyhać ciemności. Jak długo człowiek żyje, tak długo nie zdaje sobie sprawy, że piekło przed nim stoi otworem, nie dostrzega go i nie wyczuwa. Wstawiłem do latarki świecę, ale nie zapaliłem jej. Nie zachodziła jeszcze ku temu potrzeba. Był to bowiem czas między Jom Kipur a świętem Szałasów, kiedy noce są jasne.

Wyszliśmy na podwórze bóżnicy. Rabin zatrzymał się na chwilę, aby ustalić, skąd wiatr wieje. Wciągnął nosem powietrze i węchem wyczuł kierunek marszu. Obeszliśmy bóżnicę, skierowaliśmy się w stronę ulicy Rzeźniczej ciągnącej się po drugiej stronie Strypy i stamtąd ruszyliśmy ulicą Wołową, nazwaną tak, bo kiedyś wół na tej ulicy pokłął rogami jakąś kobietę. Obecnie Wołowa przemianowana została na Königstrasse. Stąd wzięliśmy kurs na zachód.

Dopóki byliśmy w granicach miasta, rabin po każdym kroku przystawał na chwilę. Jeden krok i przerwa. Sądziłem, że ma trudności z chodzeniem, bo od lat tylko dwa razy na rok wychodził z domu, raz na Tazlich* i raz do symbolicznego czerpania wody w święto Szałasów. Bywało również, że w pierwszy dzień Szawuot**, jeśli słońce świeciło, wychodził na dwór, żeby popatrzeć na wznoszące się niedaleko góry, które przypominały mu górę Synaj. Jeszcze dzisiaj leży tam kamień, na którym rabin odpoczywał.

Księżyc świecił i dookoła panowała zupełna cisza. Od czasu do czasu przerywał ją odgłos uderzeń młota. To Żydzi stawiali szałasy na święto. Rabin zatrzymał się kilka razy, żeby nasycić oczy widokiem budowanych szałasów. Myślał

* *Tazlich* (hebr. „wyrzucisz”) — pierwszego dnia Rosz Haszana Żydzi idą do rzeki i stojąc nad wodą wyrzucają okruchy, symbol grzechu.

** *Szawuot* — Święto Tygodni obchodzone w siódmym tygodniu po Pesach. Jest to również święto pierwszych plonów, upamiętniające objawienie Żydom Tory u stóp góry Synaj.

wtedy o strasznych czasach pogromów Chmielnickiego, kiedy Żydzi musieli ukrywać się i nie mogli spełniać micwy stawiania szałasów.

Wyszliśmy z granic miasta. Księżyc zniknął i droga stała się uciążliwa. Zapaliłem świecę w latarce, którą mocno trzymałem w ręku. Zdawało mi się, że ktoś chce mi ją wyrwać albo zgasić tkwiącą w niej świecę. Do moich uszy zaczęły docierać jakieś niewyraźne szepty bez treści. Od tych szeptów coś złego z moimi uszami po dziś dzień się dzieje. I ręce moje od mocnego trzymania wtedy latarki drżą nieprzerwanie.

Szliśmy obok siebie nic nie mówiąc. Skoro bowiem rabin milczał, ja również nie śmiałem się odezwać. Wy pływało to z wielkiej czci, jaką okazywaliśmy rabinowi. Nie wiem, jak długo tak kroczyliśmy. Straciłem zupełnie poczucie czasu. Odczuwałem tylko lęk. Gdyby rabin nie nakazał mi trzymać się poły jego kapoty, to bym umarł ze strachu. Z początku myślałem, że ten świątobliwy mąż zabrał z sobą na drogę wiele talizmanów, ale kiedy usłyszałem, że po cichu odmawia psalm „Kiedy pójdę doliną śmierci, nie będę się bał, albowiem Ty jesteś ze mną”, zrozumiałem, że powierzył nas Bogu.

6

Gdybym chciał opowiedzieć wszystko, co przeżyłem w drodze, nie starczyłoby czasu. Gdybym chciał wyliczyć wszystkie miejscowości, przez które przeszliśmy, pogubiłbym się w rachunku. W istocie rzeczy rabin pozbawił mnie nie tylko poczucia czasu, ale również miejsca. Po powrocie jednak z wyprawy wszystkie te miejscowości odżyły w mojej pamięci. Czasami mieszają się w niej. Czasami widzę je jako wznoszące się nad masywami gór, nad którymi niebo prawie wisi i o mały włos nie zderza się z nimi, czasami widzę je rozciągnięte na równinach, które pchają się do nieba, a cza-

sami wydaje mi się, że niektóre kładą się na ziemię. Kiedy stoję na górze, wydaje mi się, że jestem na dole, kiedy stoję na dole, wydaje mi się, że jestem na górze. Ale dosyć gadania o tym.

I szames wracając do rzeczy powiada, że mylą się ci, którzy sądzą, że każdego grzesznika wpuszczają do piekła. Mylą się, bo nie wiedzą, że istnieje coś znacznie gorszego od piekła. Tym gorszym jest oddział tortur opisany w książkach. Jest to miejsce, gdzie człowiek pokutujący za grzechy miotany jest w torturach bez końca. Korytarze jego są tak wielkie, że pragnie stąd uciec do piekła. I kiedy ma już wejść do piekła, odrzucają go do miejsca, gdzie popełnił lub chciał popełnić występki. Musi więc tułać się i szukać owych miejsc, a znaleźć ich nie potrafi, bo wskutek jego występków miejsca te uległy zmianie. Zbliża się do nich, a one się od niego oddalają. Odsuwają się od jego nóg i grzesznik zaczyna dreptać w miejscu. Wtedy przybiegają do niego złe psy i zaczynają go gryźć w pięty. Są tacy grzesznicy, pod którymi ziemia ucieka pozostawiając ich zawieszonymi w powietrzu. Są tacy grzesznicy, co wracają do bram piekła, i są tacy, co nigdy już tam nie wracają. Ciężka jest kara dla grzesznika, ale cięższa jest kara dla człowieka, który w myślach zgrzeszył. Człowiek, który zgrzeszył, może poprzez skruchę, pokutę i cierpienie w pewnej mierze się oczyścić, ale człowiek, który chciał popełnić grzech i nie dokonał go tylko dlatego, że nie miał okazji, zaczyna wmawiać sobie, że jest sprawiedliwym i prawym, zaczyna odczuwać dumę, a nawet pychę i wtedy ta pycha staje się przyczyną jego zguby. Gorszi od takiego są ci, którzy udają skruchę, co biją się w piersi strojąc minę pobożnisiów, a w sercu złe uczucia i w głowie niegodziwe myśli chowają. Co więcej, od takich uczuć i myśli robi im się przyjemnie na duszy. Odczuwają przyjemność na myśl o rozkoszy, jaką obiecuje im grzech.

Nikt chyba mnie nie posądzi o to, że miłuję grzeszników. Kiedym zobaczył ich wszystkich, straconych na dno piekła,

gotów byłem przystać tam na szamesa, żeby móc otwierać przed nimi bramy miejsca wiecznych mąk.

I dalej powiada: Są wśród wielkich ludzi tacy osobnicy, którzy myślą, że po śmierci natychmiast wpuszczą ich do raju. Wędrując z rabinem po piekle spotkałem tam wielu z nich. Dla ścisłości muszę jednak podać dokładnie, z jakimi to wielkimi ludźmi spotkałem się w piekle. Byli wśród nich tacy, co mieli za życia pewne zasługi. Ci zaś, którzy nie posiadają żadnych zasług, wtrąceni są od razu do najniższego kręgu piekła. Najniższy krąg, zwany Szeol Tachtija, ma się do zwykłego piekła, jak ono samo do raju. Przez wzgląd na szacunek dla ich rodzin nie wymieniam ich po nazwisku. Jest dla mnie jasne, że powodem, dla którego rabin ostatnio poświęcił się tylko studiom Miszny — czego dawniej nie czynił, albowiem zwykł był poza codziennymi lekcjami z dziedziny halachy zajmować się przede wszystkim zgłębieniem księgi *Zohar* i pism kabalisty Icchaka Lurii — była chęć uniesienia ku niebiosom dusz tych, co za życia uchodzili za cadyków, a po śmierci poszli do piekła. Ja również za każdy ofiarowany mi przez ich dzieci, wnuków czy krewnych grosz zapalam świecę za spokój ich dusz.

7

Po tej dygresji szames wrócił do właściwego tematu. Najpierw do historii z Aronem, potem do opisu wydarzeń na drodze, następnie do zrelacjonowania tego, co widzieli, i wreszcie do tego, co spowodowało, iż zdobył się na czyn dotychczas w Buczaczu nie spotykany, wyrzucił bowiem z bóżnicy człowieka uczonego w Piśmie, członka wielce nobliwej rodziny, dlatego że ten rozmawiał podczas czytania Tory.

Przestaję — powiedział szames — być sobą i wcielam się teraz w postać bohatera tej historii. I żeby każdy był przekonany, że jestem nim doprawdy, zaczynam przemawiać jego

językiem. Najpierw chcę zwrócić waszą uwagę na skromność cechującą naszego rabina, oby jego pamięć była błogosławiona. Rabin wziął mnie z sobą, abym mu pomógł dostrzec grzesznika, ale okazało się, że on go przede mną zobaczył. I kiedy ten grzesznik zobaczył rabina, z wrażenia aż podskoczył i zawołał: Rabi, dobrze że tu jesteś, wiedziałem, że przyjdiesz, jest przecież napisane, że kiedy uczonego w Piśmie idzie do niewoli, to w ślad za nim podąża rabi. Przytaknął mu rabin ruchem głowy i powiedział: Rzeczywiście, w traktacie Gemary „Makot” (Plagi) na dziesiątej stronie, w pierwszej kolumnie, nieco poniżej środka stronicy — nasz rabin był zawsze dokładny — jest takie zdanie.

Po tej wymianie zdań rabin zaczął po dobremu przekonywać Arona: Synu mój, jak mogłeś zostawić niewiastę, którą poślubiłeś według wszystkich zasad i prawa Mojżesza i Izraela? Jeśli ty zgrzeszyłeś, to przecież nie z jej winy. Dlaczego więc uczyniłeś z niej nieszczęśliwą agunę? Dlaczego nie wpadło ci do głowy, żeby coś zrobić dla uwolnienia jej od związku z tobą? Tym cięższy jest twój grzech, że nie stać cię na odrobinę miłosierdzia będącego podstawową cechą każdego Żyda.

Na te słowa Aron wybuchnął płaczem, po czym głosem pełnym goryczy zawołał: Nie dali mi, nie pozwolili mi przyjść i powiedzieć. Zakopali mnie w grobie w gojskiej mogile. Postawili nad moim grobem krzyż. Duży krzyż na całą długość i szerokość mogiły. Postawili w ten sposób przegrodę między mną a narodem Izraela, wskutek czego nie wolno mi wstępować do żydowskiego domu. Kiedy wyszedłem z grobu i chciałem pójść do żony, aby ją zawiadomić o mojej śmierci i powiedzieć, że jest wolna, krzyż zagroził mi drogę. Rabi, piekło jest straszne, ale cierpienia pozostawionej przeze mnie żony, aguny, są jeszcze straszniejsze.

Zauważyłem w oku rabina łzę. Usłyszałem, jak cichym głosem zapytał Arona: Synu, jak się tu dostałeś? Za jaki grzech poniosłeś śmierć? I doszła mnie odpowiedź Arona.

Wskutek ogromnego strachu, jaki mnie ogarnął, nie zapamiętałem wszystkich jego słów, ale treść zawartą w nich pamiętam doskonale. Jeśli zachodzi jakaś różnica między jego a moimi słowami, to nie dotyczy ona meritum sprawy. On mówił w pierwszej osobie, używając zaimka „ja”, tymczasem ja mówię w trzeciej osobie, używając zaimka „on”. Aron przemawiał przerywając słowa płaczem i weschnieniami, ja zaś opowiadam o tym tak, jak się mówi o sprawach odległych.

I kiedy Aron przekonał się, że na Żydów bez przerwy spadają nieszczęścia, zaczął się zastanawiać nad przyczyną tego zjawiska. Dlaczego — zadawał sobie pytanie — Bóg tak okrutnie postępuje ze Swoim narodem? Dlaczego tak wielkim pała do niego gniewem? Mimo długich rozmyślań nie znalazł odpowiedzi. Zaczął jej szukać w książkach. Przestudiował wiele dzieł na ten temat, przeczytał wszystkie niemal księgi kabalistyczne, wglębił się w sferę Boskich cudów. Cadyk, wnikający w tajemnice Kabały staje się bardziej świątobliwy, natomiast człowiek niedostatecznie ku temu dojrzały, jeśli wglębia się w Kabałę, wywołuje w swojej duszy niepokój i zamęt w głowie. Im więcej się nauczył, tym większy jest niepokój i zamęt. Oddając się kabale nie tylko nie uszlachetnia swojej duszy bogobożnością, ale wpada w sieć zastawioną przez szatana. Tak stało się z Aronem. Nie tylko przepełnił serce niepokojem, ale dał się opanować przez zgubną myśl, że Bóg opuścił Swoj naród, że Bóg stał się wrogiem Izraela.

Jeśli człowiek dąży ku Dobru, pomocne siły skierują go na dobrą drogę. Jeśli sam pragnie upaść, upadnie. Ten człowiek tak powiedział: Pójdę zobaczyć i posłuchać, co mówią mędrcy innych narodów. W tym celu zaczął się uczyć łaciny i w ciągu roku nauczył się więcej, niż wszyscy księża zdążyli się nauczyć w ciągu siedmiu lat. Przestudiował książki owych mędrców, ale zawarte w nich myśli nie zadowolily go. Człowiek bowiem, kiedy schodzi ze swej słusznej drogi, daje się prowadzić szatanowi. I zjawił się szatan, i zaprowadził go do

księdza. Księża mają książki, które traktują o tym, co na dole, i o tym, co na górze, o tym, co jest przed nami, i o tym, co jest za nami, zawierają teorie, które nie wyjaśniają jednak wszystkich wątpliwości o tym świecie. Można w nich znaleźć twierdzenia, że tak jak Stwórca rozdzielił wśród narody różne języki, tak też powołał do życia stworzenia o rękach jak miecze, które ryły litery dla ksiąg. Niektóre z nich wykonane zostały na planecie Mars i podobno anioł Gabriel sprawuje nad nimi pieczę. Jest to wierutne kłamstwo, albowiem Gabriel kocha Żydów i dobrze się o nich wypowiada. Niektóre zaś wykonane zostały na planecie Wenus i córki człowieka, które zgrzeszyły z synami Boga, sprawują nad nimi pieczę. Ta teza jest nieco bliższa prawdy, ale należy to dokładnie wyjaśnić, gdyż jedna z tych cór uciekła od grzechu, wstąpiła do nieba i wmontowana została w gwiazdozbiór Plejada. Książki oprawiają w świńską skórę i człowiek, który je czyta, zaciemnia swoją duszę, spycha ją w otchłań, jako że jest napisane: „I ciemność nad otchłanią”. To jest ta otchłań, w której znajdują się litery śmierci, otchłań zwana światem diabłów.

Aron wypożyczył od księdza te książki i wczytawszy się w nie, zboczył z właściwej drogi, wypił całą zawartą w nich jadovitą gorycz i tym zatrul sobie życie. Dwie dusze tkwią w człowieku, jedna zewnętrzna i druga wewnętrzna. I jeśli, nie daj Bóg, człowiek zgrzeszy, to jego wewnętrzna dusza spada w otchłań, zanim jeszcze umarł.

Pewnego razu, w wieczór piątkowy, Aron był sam w domu. Gdzie była wtedy jego żona? Pojechała szukać grobu swego ojca. Jak wam wiadomo, ojciec Złoty zniknął po tej historii ze swoim teściem Naftalim. Było to tuż przed wydarzeniami 1648 roku. Kiedy ziemia pokryła się ciałami ofiar pogromów, historia ta poszła w zapomnienie.

Pewien rzeźnik z naszego miasta pojechał w teren kupić bydło. Jakiś chłop pochwalił się przed nim, że jego woły i krowy są lepsze od wszystkich wystawionych na targ zwierząt, po-

nieważ pasą się na łące, w której zakopani zostali Żydzi. Nasz rzeźnik udaje, że nie wierzy. Chłop powołuje na świadka swoją matkę. Ta z miejsca zaczyna opowiadać. Służyłam w domu Naftalego Wojncijera, któremu w interesie pomagał zięć. Pewnego dnia zajechał on do wsi wozem załadowanym beczkami wina. Właśnie zapadała noc i zięć postanowił przespać się na dworze, obok wozu. W domu właściciela wsi, dziedzica, gościli młodzieńcy z okolicznych szlacheckich dworów. Węchem wyczuli zapach wina i nie namyślając się długo pobiegli do wozu, wybili czopy z beczek i upili się. Kiedy nieco oprzytomnieli, zrozumieli, że czeka ich kara ze strony dziedzica, który był odpowiedzialny przed cesarską władzą za spokój i bezpieczeństwo wędrownych kupców. Wiedzieli, że znany z poczucia honoru dziedzic nie puści ich wyczynu płazem, nie tolerował bowiem, żeby ktokolwiek bez jego wiedzy odważył się cośkolwiek w jego wsi uczynić. Postanowili więc usunąć świadka. Zabili kupca, zięcia Naftalego. Chłopi ze wsi natychmiast zdali sobie sprawę, że oskarżenie o zabójstwo kupca spadnie na nich. Szlachta zawsze rzucała oszczerstwa albo na Żydów, albo na chłopów. Czym prędzej więc zabrali ciało zabitego i zakopali w polu, gdzie pogrzebanych już było wielu Żydów. Złate coś niecoś o tym słyszała i wybrała się razem z żoną rzeźnika do tamtej wsi, aby odszukać grób ojca. Tu zastała ją sobota i podróż powrotną musiała odłożyć do następnego dnia.

Aron jadał przy stole rabina i po kolacji poszedł do siebie, zapomniawszy, że nie wolno spać w samotności. Rabin mu tego nie przypomniał, ponieważ sądził, że wziął sobie do towarzystwa jakiegoś młodzieńca. Przyszedłszy do domu zasiadł do studiowania *paraszy** tygodnia. Po przeczytaniu jej zabrał się do *haftary***.

* *Parasza* — fragment Tory odczytywany w przerwie między poranną i dodatkową modlitwą w poniedziałek, czwartek, sobotę i święta.

** *Haftara* — rozdział z *Księgi Proroków* czytany w bóżnicy w soboty i dni świąteczne po odczytaniu całego rozdziału Tory przeznaczonych na dany tydzień.

Pewien werset z czytanego tekstu proroka wzbudził jego wątpliwość. Postanowił znaleźć w księgach jakieś wyjaśnienie. Szukał i nie znalazł. Wtedy zapragnął zajrzeć do ksiąg gojowskich mędrców. Wyciągnął spod łóżka pożyczoną od księdza książkę i zaczął ją przeglądać. Czytanie mu jednak nie szło. Pomyślał, że z powodu zbyt nisko postawionej świecy litery są słabo widoczne. Nie wiedział, że żydowskie oko w sobotę nie może znieść gojskiego pisma. Człowiek, na którego mają spaść nieszczęścia, traci głowę i zapomina o sobie. Wziął świecę i postawił ją na jednej z gojskich książek. Czytał i czytał, i nie zauważył, kiedy świeca wypaliła się do końca. Zdążyła jednak przedtem wypalić w środkowej stronicy książki dziurę w kształcie koła. Kiedy zwrócił książkę księdzu, ten na widok wypalonej kartki oskarżył Arona o celowe jej zniszczenie. W owym czasie groziła mu za to śmierć. Rozszarpano by go na strzępy i rzucono psom na pożarcie. Aby tego uniknąć, ksiądz poradził mu przyjąć chrzest. Ocali życie i uwolni się od wszystkich żydowskich utrapień. Jeśli boi się reakcji ze strony Żydów, to zabierze go do takiego miejsca, gdzie ich nie ma i nikt niczego się nie będzie domyślał.

I wybrał sobie Aron życie gorsze od śmierci. I zamienił Aron życie wieczne na życie chwilowe. A w głębi duszy postanowił: ucieknę do innego kraju i wrócę do Boga Izraela. Z tamtego kraju dam znać żonie, żeby do mnie przyjechała.

W obawie, że goje mogą się domyślić, jakie plany w sercu knuje, zaczął postępować w życiu tak jak oni. Zbuntowała się przeciwko temu jego dusza. Dla uspokojenia duszy zaczął się umartwiać i coraz częściej pościć, aczkolwiek wiedział, że post bez pokuty nic nie znaczy. Od postów i umartwień schudł, a od wyrzutów sumienia i duchowych mąk do reszty zmizerniał. Wkrótce też zachorował i zmarł. Goje pochowali go na swoim cmentarzu i nad grobem postawili krzyż. W ten sposób powstała między Aronem a Żydami mechica, czyli przegroda nie pozwalająca mu przyjść do żony we śnie, żeby

ją zawiadomić o swojej śmierci i uwolnić od stanu aguny. Kiedy Żyd oddaje się bałwochwalstwu, Wszechmogący Bóg obdarza bałwochwalstwo mocą uczynienia Żydowi zła.

Ten rozdział poświęciłem Aronowi. Powinienem jeszcze do niego dodać jedną rzecz, gdyż lepiej będzie, jeśli ją przedtem niż później opiszę.

Tego roku w Szabat teszuwa, w Sobotę Pokuty, przed wyruszeniem w drogę do piekła nasz rabin rozpoczął kazanie tymi słowy: Zwykle kaznodzieje zaczynają od cytowania jakiegoś wersetu z paraszy tygodnia i kończą zdaniem „i przyszedł do Syjonu zbawiciel”, ja natomiast zacznę od końca, od zdania „i przyszedł do Syjonu zbawiciel”. W tym bowiem zdaniu zawarta jest istota wiary, istota skruchy i pokuty. Kiedy codziennie stykamy się z nieszczęściami i czekamy na zbawienie, i nie zatracamy się wśród narodów tego świata, nabieramy sił do odbywania całym sercem pokuty.

Mogę stwierdzić, że nasz rabin natchniony był świętym duchem. Zanim bowiem odbył rozmowę z Aronem w piekle, już wiedział, że jego grzech powstał z niewiary w Daleką Przyszłość.

Oto cała historia o Aronie, mężu Złoty, z którego powodu byłem świadkiem strasznej kary, jaka czeka tych, którzy rozmawiają podczas modlitwy i czytania Tory. Wstęp jest dłuższy od całej historii, ale sama historia okazała się wielce tragiczna. Byłoby lepiej, gdybym nie musiał jej opowiedzieć, ale kiedy już opowiadam o niej, życzylbym sobie, żeby ludzie nie potraktowali jej jak bajkę, ale żeby wyciągnęli z niej naukę, jak ustrzec się od rozmawiania podczas modlitwy i czytania Tory.

8

Z powodu historii z Aronem sędziowie zapomnieli o szamiesie. Ten jednak przypomniał im o swojej sprawie. Jeśli

— powiedział — chcecie słuchać, to wam opowiem. Przedtem jednak muszę poprzedzić to kilkoma słowami.

Szames uniósł głowę i wtedy zobaczyłem na jego twarzy ogromny smutek, który odgradził go niby murem od tłumu zebranych w bóżnicy Żydów. Napięcie rosło i gdyby szames nie zaczął kontynuować swojej relacji, Żydzi upomnieliby się o jej dalszy ciąg.

Biada mi — oświadczył szames — że nie wziąłem pod uwagę słów naszych mędrców, że „kto publicznie zawstydza bliźniego, ten traci udział w życiu wiecznym na tamtym świecie”. Ja zaś znieważylem i zawstydziłem człowieka uczonego w Piśmie, członka znakomitego rodu, zięcia wielce szanowanego bogacza, z którego dobroczynności korzysta połowa członków naszej synagogi. A uczyniłem to nie z powodu jakichś tam pustych jego słów, ale z powodu wyrzeczonych przez niego słów mających związek z Torą. Zawstydziłem go nie na jakimś tam targowisku, wypełnionym chłopami, ale w Świętym Przybytku, przed otwartą Księgą, na dodatek w świętą sobotę, kiedy Bóg rozciąga nad Izraelem dach pokoju. Powinienem odczuć skruchę, ale nie dość, że nie żałuję swego czynu, to jeszcze umacniam się w pewności, że po śmierci wyjdą mi na spotkanie aniołowie, którzy powiedzą: Łączymy się z tym człowiekiem, który dla ocalenia Żyda od Surowego Sądu i ciężkiej kary wyrzekł się udziału w życiu wiecznym. Mogę się tu powołać na świadectwo zapisane w księgach. Na szczęście nie brakuje nam też uczonych, którzy całą Torę mają w jednym palcu. Ja jednak nie powołałem się na księgi, ale na to, co sam na własne oczy widziałem. Król Salomon powiedział był: „lepsze jest to, co człowiek widzi oczami, niż to, co widzi duszą, albowiem dusza wstępuje na góry i schodzi w doliny, wnika w szczeliny, wdziera się w skały i twierdzi, że wszędzie jest jednako”.

Z przebiegu wydarzeń z Aronem dowiedzieliśmy się, że rabin, oby pamięć cadyka była błogosławiona, wziął mnie

z sobą w drogę. Nie mogę i nie chcę opowiedzieć wszystkiego, com tam zobaczył. Coś niecoś jednak z tego, co moje młode wówczas oczy widziały, chętnie wam przekażę.

Nie zważajcie na moje starcze postękiwania i wtrącane od czasu do czasu biadolenia, postaram się ograniczyć relację do samego tylko jądra wydarzeń. Niektóre wydarzenia opiszę dokładnie i szczegółowo, inne zaś streszczę w ogólnych zarysach. Niektórym faktom poświęcę dwa lub trzy słowa, ale w taki sposób, że wystarczy do trafienia w sedno rzeczy.

Tu muszę podkreślić, że szames rzeczywiście w dalszym ciągu swojej relacji dokonał wielkiego skrótu. Łatwiej jest opowiedzieć to, co usłyszało się od kogoś, niż to, co się własnymi oczami widziało. Staremu szamesowi łatwiej przychodziło opowiedzieć to, co usłyszał od Arona, niż to, co sam widział. Skrócona relacja jest jednak zawsze lepsza niż żadna. Aby zaznaczyć różnicę między tym, co ja mówię, a tym, co mówi szames, za każdym razem, kiedy ten ma zabrać głos, dodaję zwrot „powiada szames”. Sądzę zresztą, że z samego kontekstu domyślacie się, kto mówi.

9

Jeden krąg piekła nazywa się Calmawet — nieprzenikniona ciemność. Długi jest ten krąg jak diaspora żydowska. Podobnie duża też jest jego szerokość. Kryje w sobie same sprzeczności. Jest niby okrągły, a sprawia wrażenie czworokątnego. Kiedy zaś spojrzysz na ten czworokąt, wydaje ci się, że jest okrągły. Oczy widzą jedno, a myśl podsuwa ci coś innego. I gdy tak patrzysz, dopada cię taka melancholia, że odehciewa ci się wszystkiego.

W tym kręgu nie jest ani zimno, ani ciepło, ani letnio. Nie ma w nim prawdziwego powietrza. Zamiast niego jest jakaś zwiewna masa, trupio zimna i sucha. I sprawuje nad nim nadzór wysoki anioł, którego imienia nikt nie zna. Anioł ten

nic właściwie nie robi. Usta ma stale otwarte, jakby z nudów tylko ziewał i ziewał.

I przebywa w nim dwa razy tyle ludzi, ilu wyszło z Egiptu. Jest tych ludzi bez liku, a wszyscy są wielkości pudełek od tefilin noszonych przez rabina okręgowego albo przełożonego jesziwy. Siedzą pojedynczo. Między jednym a drugim odległość wynosi tyle, ile wolno Żydowi pokonać w sobotę, czyli *techum szabat**. Wszyscy tu są biegli w Talmudzie i każdy zajmuje się tylko sobą. Mają na sobie tałesy i tefilin i komentują Torę. Każdy przy tym stara się do Tory coś od siebie dodać. Każdy z nich co jakiś czas rozgląda się dookoła, ale nikogo nie dostrzega, albowiem od nieustannego ślęczenia nad księgami zmętniały mu oczy i nie widzi poza sobą pozostałych tysięcy wkuwających Torę. Pewny, że tylko on wkuwa Torę, nadyma się jak ropucha i powiada: jam jeden, jedyny na świecie, wraz ze mną zginą i przeminą mądrość i wiedza. Wstaje potem taki jeden i rozejrzawszy się wokół dostrzega malutkich, jak ziarenka maku, ludzików. Na głowie mają tefilin, co świadczy, że pochodzą od ludzi. Podejdę do nich — powiada — i wyłożę im zasady scholastyki. Ale w tej chwili ogarnia go sen. Natychmiast zasypia i śni mu się sen hermafrodyty. Sen bez przyjemności i bez zadowolenia. Słowem, ma niedobry sen. I kiedy nagle się zrywa ze snu, nie wie, czy się obudził, czy tylko się przewrócił na drugi bok. Zauważa, że ktoś tam chodzi. Wstaje więc i wychodzi mu naprzeciw. Zbliżają się do siebie. Powiada wtedy jeden do drugiego: wpadł mi do głowy doskonały wywód scholastyczny. Nikomu dotychczas taki wywód nie przyszedł do głowy. Na to drugi odpowiada: wyrwałeś go po prostu z moich ust. Miałem go właśnie na języku. Wiem, że byłbyś bardzo ciekawy go usłyszeć, ale skoro ty chcesz pierwszy zabrać głos, rezygnuję z mego głosu, a skoro ja pierwszy złożyłem rezyg-

* *Techum szabat* — odległość 2000 łokci, które wolno Żydowi przekroczyć w sobotę.

nację z głosu, pierwszeństwo przedstawienia wywodu należy się mnie... I nim zdążył wypowiedzieć pierwsze słowo, usta mu się rozwarły na szerokość dworu popa. Powiada drugi: taki wywód płacze mi się pod uchem, ale ono nie jest w stanie go wchłonąć. I natychmiast uszy mu się tak rozwarły i tak rozciągnęły, że przykryły całe jego ciało. Stoją więc obaj naprzeciw siebie przerażeni i skołowani i chcą podnieść krzyk. Ale krzyku nie słychać. U jednego krzyk uwiązł między wargami, a u drugiego widać tylko olbrzymie, całe ciało pokrywające uszy. Wtedy wysoki anioł zakołysał się tam i z powrotem. Jest to jedyny ruch, jaki przez cały czas wykonał. Patrzy na obu naraz. Patrzy nie oczami, ale ustami. Gdyby nie to, że zachciało mu się ziewnąć, to by ich zabił spojrzeniem swoich ust.

10

Aby oddzielić jedno nieszczęście do drugiego, przerywam na razie relację. Rozbijam ją na małe rozdziały. Sam zaś jej bohater szames, wyłączając przerywniki w rodzaju: biada mi, Boże mój, władco świata itp., nie przestał opowiadać.

On nie przestał opowiadać, a ludzie nie przestali się dziwować. Każdy wie, że cadyk po śmierci idzie do nieba, a złoczyńca do piekła. Są też tacy cadycy, którzy za życia wstępują do raju. Ale żeby żywy człowiek wstąpił do piekła i cały z niego powrócił, tego jeszcze nikt nie słyszał. Teraz usłyszeli z ust tego starca, że był w piekle, przechadzał się po nim jak u siebie w domu i nawet nie osmalił sobie skraju płaszczka. Myślicie zapewne, że był to człowiek uczony w Piśmie, znany z pobożności, mądrości i dobroczynności. Nic podobnego. Był to biedny szames, który niczym nie odbiegał od najzwyklejszego mieszkańca Buczacza. Jeśli już czymś się od nich wyróżniał, to chyba tym, że był zbyt popędliwy w gniewie. Może w jego wyprawie do piekła pomogły mu

zasługi ojców, którzy padli ofiarą pogromów. Ale i pod tym względem nie należał do wyjątków. Każdy niemal mieszkaniec Buczacza był świadkiem okrutnej śmierci swoich ojców i matek. Zaiste zdumiewająca rzecz.

Powiada szames: Takich zdumiewających, okrytych tajemnicą rzeczy jest wiele. Trudno je ogarnąć rozumem, dlatego postaram się w dalszym ciągu mojej relacji je wam przybliżyć.

11

Pod każdym kręgiem piekła — powiada szames — znajduje się jeszcze jeden krąg, zwany dachem na dachu. Ten krąg jest dłuższy i szerszy od pierwszego. Jest tak szeroki, że oko nie może objąć całości. Nie obejmuje w całości ani ścian, ani sufitu, ani podłogi. Wydaje się, że cały ten krąg wisi w próżni. Prawda, że świat również zawieszony jest w próżni. O tym mówi znany werset: „A ziemię Bóg ludziom dał”. Wiekuisty zaś, jeśli coś daje, to z głębi Swego miłosierdzia, żeby człowiek mógł żyć, a tu w piekle jest nicość, w której nie ma możliwości życia. Są tu ludzie o szerokich czołach, ludzie o wysokich czołach, pomarszczonych czołach, ludzie z oczami tak małymi, że wskutek natłoku myśli w głowach ledwo je można dostrzec między czołem a nosem. Niektórzy trzymają się stale za brody, niektórzy wyskubują z niej włos po włosie i podrzucają go w górę, żeby sobie fruwał. Oko tego człowieka nie widzi, co robi jego ręka. Słowem występuje między tymi kręgami duża różnica. W pierwszym, jak powiedziałem, każdy człowiek siedzi osobno. Jednego dzieli od drugiego odległość techum szabat, w tym drugim zaś siedzą wszyscy obok siebie. Razem siedzą i razem studiują Torę, i odkrywają bez przerwy nowe objaśnienia. Tak jak uprawiali scholastykę za życia, tak dalej ją uprawiają. Sprawujący nadzór nad tym kręgiem anioł nazywa

się Utam. I nie jest podobny do Gabriela, który oddala od Żydów grzechy. Jest to zły anioł. Kiedyś był dobrym aniołem, ale z powodu głoszenia fałszywych komentarzy stał się zły. Dowiedziałem się o tym od naszego rabina, oby jego pamięć była błogosławiona.

Ci ludzie postępują tutaj tak, jak postępowali za życia na tym świecie. Wciąż głoszą nowe objaśnienia i komentarze. Na tym świecie komentator, jeśli zauważy swój błąd, może go sprostować, może oświadczyć, że się pomylił. Może, jeśli ma tylko ochotę, powiedzieć, że nie miał racji, ale na tamym świecie każde wymówione przez cadyka słowo zostaje natychmiast wyrzeźbione na górze i zaopatrzone w podpis tego, co słowo to wyrzekł. Słowem zmarli nie są w stanie zaprzeczyć żywym.

Człowiek studiuje Gemarę. Czyta i rozumie, tak jak jest napisana. Im prostszy jest komentarz, tym prawdziwszy i komentator nie musi zabiegać o chwałę. Kiedy ktoś odkrywa jakiś nowy komentarz, to im jest bardziej bezsensowny, tym bardziej chce się nim pochwalić. Nachyla się nad uchem sąsiada, żeby go zapoznać ze swoim odkryciem. Wargi mu się wtedy rozchylają. Jedna warga chce od drugiej uciec. Wystawia więc język, żeby poszukać warg, a wtedy zęby przybierają kształt ostrych kolców, które wbijają się w język. Jestem starym człowiekiem i nie lubię przesadzać. Jeśli powiem, że język mu tak zgrubiał, że przypominał dzwon kościelny, nie odbiegnę daleko od prawdy. Dlaczego, zapytacie, porównałem go do dzwonu, odpowiem, że dlatego, iż dzwon dzwoni, a ja nie wiem, co on wydzwania. Tak samo rzecz się miała z jego językiem. Zauważył to sąsiad i zaczął krzyczeć, ale krzyk uwiązał mu wśród warg. Jestem, jak powiedziałem, stary i niejedno już w życiu widziałem, ale czegoś podobnego nigdy.

Ukryłem twarz w połach płaszcza rabina, żeby nie patrzeć na cierpienia tych ludzi. Udało mi się zakryć oczy, ale stłumić bólu nie. Nie mogłem się oderwać od nurtującego mnie pytania: Za co im się taka kara należy?

Przeglądałem wszystkie książki zawierające wykazy kar za wszystkie możliwe grzechy i nie znalazłem takiego grzechu, który zasługiwałby na taką karę. A przecież miłosierdzie Boga jest większe od miłosierdzia człowieka.

I ogarnął mnie strach, czy aby moje usta nie rozszerzyły się i wargi nie odbiegły jedna od drugiej. Bałem się podnieść rękę i sprawdzić. Drżałem również z obawy, czy moje uszy nie rozciągnęły się i nie przykryły ciała.

Kiedy strach ogarnia człowieka, przychodzi mu z pomocą natura. Kiedy zakryłem twarz połami płaszcza rabina, zdawało mi się, że to uszy przykryły mi całe ciało, i zacząłem dygotać. Jeśli powiem, że wszystkie członki mego ciała zaczęły dygotać, nie będę daleki od prawdy.

Rabin odwrócił głowę i objął mnie wzrokiem. Pod wpływem jego spojrzenia wszystko się we mnie poruszyło. Chciałem go zapytać, co to za stwory mamy przed sobą, ale nie mogłem otworzyć ust. Złożyłem w duchu ślubowanie, że jeśli Bóg przywróci mi dar mowy, strzec będę ust i języka przed używaniem zbędnych słów.

A rabin wciąż na mnie patrzył. Widocznie chciał sprawdzić, na ile jestem w stanie dokładnie go usłyszeć. Zawsze bowiem zwracał uwagę, żeby to, co mówi, było dostosowane do ucha słuchającego. Słyszałem od rabina Icchaka, który powtórzył słowa swego ojca reb Jedidia Libermana, siostrzeńca rabiego Michała z Niemirowa, oby Bóg pomścił niewinnie przelaną jego krew, który to usłyszał od świętego męczennika, rabiego Szimszona z Ostropola, oby Bóg pomścił jego niewinnie przelaną krew, że reb Mojsze z Buczacza, złotnikowi, powierzył był cesarz szlachetne kamienie ze swego skarbcza, żeby przerobił je na kolczyki dla swojej córki. Złotnik ustalił wagę kolczyków na podstawie rozmiarów uszu córki cesarza.

I wbiwszy we mnie wzrok, rabin powiedział: O co mnie pytałeś? Chciał wiedzieć, na ile ważne jest dla mnie pytanie, ponieważ często usta bardziej chcą wiedzieć aniżeli serce.

Nie śmiałem zadać pytania, chociaż serce we mnie mdlało z ciekawości. Jedynie oczami wyraziłem to, czego usta nie powiedziały.

Rabin przez chwilę milczał, po czym powiedział: Ci, których tutaj widzisz, to wielcy i znakomici ludzie. Są wśród nich rabini, przełożeni jeszybotów, przywódcy ludu i naczelnicy państw. Przez wzgląd na wielkie znaczenie utworzono dla tych ludzi specjalny krąg. Zwykli złoczyńcy karani są w piekle na miarę i zgodnie z ich grzechami, tym zaś wymierzono karę odwrotną do ich grzechu. Ci zgrzeszyli słowami, przeto zasądzeni zostali na milczenie.

Powiedziawszy to, rabin wskazał ręką na latarkę, którą trzymałem w ręku. Okazało się, że świeca w niej się prawie wypaliła. Wyjąłem więc nową świecę i, zapaliwszy ją od ognia dogasającej, wsadziłem w roztopiony wosk. Rabin przypatrując się mojej czynności zacytował werset: „Świeca Boga to dusza człowieka”. Zgodnie ze swoim zwyczajem milczał przez chwilę, żeby zostawić przerwę między cytatem a tym, co od siebie mówił. Od siebie zaś powiedział: Jest świeca, która gaśnie nie dopaliwszy się do końca, i jest świeca, która wypala się do końca. Dobrze jest temu, którego dusza świeci na tym świecie i jej świeca świeci na tamtym świecie. A co do tego pytania, to sprawa tak wygląda. Ci, którzy tu siedzą, każdy z osobna, za życia byli sobie bliscy. Wszyscy oni nauczali w synagogach i beit hamidraszach. Teraz nie są w stanie wydobyć słowa z ust. I to nie dlatego, że są martwi, ale dlatego, że podczas modlitwy i czytania Tory rozmawiali. Są ukarani w ten sposób, że nadal pozwala się każdemu z nich po nowemu interpretować w duchu Torę, ale w chwili, kiedy chce dać temu wyraz, wargi mu się rozbiegają i zęby wbijają w język. Widząc to pozostali postanawiają podnieść krzyk, ale kiedy tylko otwierają usta, krzyk więźnie im w gardle.

I kontynuując swoją opowieść, rabin powiada do mnie: Myślisz zapewne, że ci ludzie należą do naszych czasów,

więc ci wyjaśniam, że są to uczeni w Piśmie, którzy przebywają tu od bardzo dawnych czasów. Są tu tacy, co pokutują od czasów wygnania z Hiszpanii, niektórzy nawet od czasów powstania Gemary. Szczęśliwy jest człowiek, któremu Bóg puszcza grzech w niepamięć, ale bywają takie grzechy, nad którymi Bóg nie może przejść do porządku dziennego. Do nich należy grzech rozmawiania podczas modłów i czytania Tory. W istocie Bóg jest pełen miłosierdzia i tolerancyjny wobec grzechu człowieka, ale aniołowie, którzy rodzą się z grzechów, są rygorystyczni. Błogo jest człowiekowi, który nie rozmawia podczas czytania Tory i modłów, albowiem jego słowa modlitewne docierają do Bram Miłosierdzia i z nich powstaje korona dla Stwórcy Świata.

13

Bardziej przerażyły mnie słowa rabina aniżeli obrazy ujrzone w piekle. Wiedziałem, że rozmawianie podczas modlitwy jest grzechem, ale że aż takim, nigdy nie sądziłem. Dygotałem ze strachu. Któż bowiem z nas może twierdzić, że nie obciąża go taki grzech? Kto z nas potrafił ustrzec się od rozmawiania podczas modlitwy? Jeśli uczeni w Piśmie są tak surowo karani, to jak karani muszą być zwykli ludzie? Jeśli nawet odkrywczyste komentowanie Tory przez uczonych w Piśmie nie wypływa w całości z intencji przysporzenia Bogu chwały, to jednak w pewnej mierze, powiedzmy w jakiejś ósmej części, taką intencję zawiera. A co do mego strachu, lepiej nie pytajcie. Pogłębia go do reszty surowość kary, na którą skazani zostali ci ludzie. I mimo iż dowiedziałem się, że aniołowie mają dodatkową robotę, bo pracują nad odsiewaniem słów modlitwy od słów rozmawiających, sprawa niezupełnie jest dla mnie jasna.

Z wielkim przejęciem wyrecytowałem „I zabolalo we mnie serce ze smutku. Uchroń nas Boże, jako obiecałeś”.

Rabin spojrział na mnie i cichym głosem powiedział: Czas wrócić. Ze złamanym sercem podążyłem za nim.

Nagle szames przerwał swoją relację i zaczął się rozglądać. Spojrzał najpierw na obecną tu grupę większych uczonych, potem na mniejszych uczonych w Piśmie, którzy głośno dają o sobie znać w mieście. Patrząc na jednych i na drugich zawołał: Posłuchajcie, mieszkańcy Buczacza, z tego, co mówiłem, myślicie zapewne, że piekło zostało stworzone tylko dla uczonych w Piśmie. Otóż nie! Jest tam jeden krąg, wobec którego całe pozostałe piekło wygląda jak raj. Z początku nie zauważyłem tego kręgu, ponieważ pokryty był kurzem, ale z głosów, które z niego dochodziły, można było założyć, że przebywają w nim żywe stworzenia. Nie byłem jednak w stanie zorientować się, czy są to głosy ludzi, czy zwierząt lub ptaków. Musiałem wejść do środka, żeby się o tym przekonać. Ujrzałem przed sobą prawdziwy jarmark. Taki ogromny jarmark, jaki znamy z opowiadań naszych rodziców z czasów przed pogromami Chmielnickiego, oby jego pamięć szczyła. Byli tam kupcy i klienci, dziedzice i dziedziczki i niesłychanie dużo towarów. Takiej obfitości towarów ludzkie oko jeszcze nie widziało. I mnóstwo srebra, i wiele złota, i bardzo dużo drogich rzeczy. I oto nagle nad tym jarmarkiem rozszalała się burza. Najechali Tatarzy na rącznych koniach. Cwałowali z szybkością strzał wystrzelonych z łuku. Z wrzaskiem i krzykiem. Jeszcze teraz, kiedy sobie to przypominam, ciarki przebiegają mi po skórze. Nie, nie będę o tym mówił. Wolę wrócić do przerwanej wątku.

Szedłem, jak to już powiedziałem, za naszym rabinem, a serce ze strachu omal że z piersi mi nie wyskoczyło.

Ziemia pokryta była rosą, a niebo wilgotne od potu gwiazd, które zbyt mocno wysiliły się, żeby oświetlić świat. Przez całą drogę rabin nie wyrzekł ani jednego słowa. Jestem małym człowiekiem i nie mnie wyrokować, czy rabin myślał wtedy o Aronie albo o sposobie uwolnienia aguny Złoty. Kilka razy rabin podnosił głowę ku niebu i przyglądał się

gwiazdom. Usłyszałem, jak szeptem powiedział, że gwiazdy tulą się jedna do drugiej jak kurczęta do kwoki. Czy faktycznie tak się wyraził, nie jestem pewny. Może takie myśli chodziły mi po głowie? O świcie bowiem w wigilię Jom Kipur, kiedy wszedłem do kurnika, żeby wyjąć koguta na ofiarę dla mnie i kurę dla mojej żony, oby spoczywała w pokoju, na widok kurcząt przytulonych do swojej matki przypomniałem sobie słowa z księgi *Raziel hamalach* (Anioł Raziel). „Dużo gwiazd przytuliło się do siebie jak kurczęta do matki-kury”. Słowa te przypomniały mi się również dlatego, że rabin wpatrywał się w niebo i cichym głosem wypowiedział jakieś słowa. Zanim słońce wzeszło, dotarliśmy do podwórza bóżnicy. Rabin pocałował mezuzę przymocowaną do framugi drzwi wejściowych do bóżnicy i postawił laskę. Dlaczego ja nie zdążyłem wziąć od niego laski? Może dlatego, że nasi mędracy pochwalili rabiego Szimszona za to, iż przez dwadzieścia lat sprawował funkcję sędziego i nikomu nie polecał, żeby wziął od niego laskę. Nasz rabin poszedł w jego ślady. Kiedy rabin podszedł do umywalki, żeby umyć ręce, wziąłem jego laskę i postawiłem ją tak, aby w każdej chwili miał ją pod ręką.

Rabin umył ręce, wytarł je ręcznikiem, po czym ze słodyczą w głosie i pokorą w sercu odmówił błogosławieństwo. Nie należę do ludzi, którzy twierdzą, iż wiedzą o tym, co się dzieje w niebie, ale nie ulegało wątpliwości, że kiedy nasz rabin odmawia błogosławieństwo, to w niebie powtarzają za nim słowo „amen”.

Kiedy rabin usiadł, podszedłem do niego i zapytałem, kto ma stanąć przed pulpitem i przewodniczyć modlitwie. U nas nie było zwyczaju, żeby ktoś bez polecenia rabina przewodniczył modlitwie.

Rabin chciał się dowiedzieć, czy w bóżnicy jest Żyd, który obchodzi właśnie rocznicę śmierci po ojcu lub matce, albo taki, co z innego jakiegoś ważnego powodu ma pierwszeństwo do przewodniczenia modlitwie. Zanim zdążyłem

cokolwiek mu odpowiedzieć, polecił mi stanąć przed pulpitem. Włożyłem tałas i tefilin i stanąłem przed pulpitem. Jestem starym człowiekiem i nie lubię przesadzać, ale stojąc przed pulpitem odniosłem wrażenie, że stoję na pokrywie prowadzącej do piekła i modlitwa, którą mam odmówić, jest moją ostatnią w życiu. Prawdziwy zaiste cud, że po jej zakończeniu nie straciłem życia.

Tego samego dnia udałem się do sofera*, żeby przegłądał zwitek pergaminu w tefilin, czy czasem jakaś litera nie uległa zniekształceniu, ponieważ ze strachu spociłem się i tefilin nasiąkły wilgocią. Dzięki Bogu wszystko było w porządku. Ani jedna litera, ani jeden apostrof nie uległ zamazaniu.

Po zakończeniu modlitwy podałem rabinowi księgę Gemary „Jewamot”. Popatrzył na mnie rabin i powiedział: Zbliża się święto Szalasów. Z okazji tego radosnego święta powinniśmy się nacieszyć traktatem „Suko”. Poszedłem więc i przyniosłem mu traktat „Suko” (Szalas). Nie odchodzę od niego, bo czekam na dalsze polecenia. Niech widzą — myślę sobie — że jestem gotów je spełniać. Wtedy rabin skinął na mnie głową i powiedział: Możesz iść do domu.

W drodze do domu ogarnęło mnie zwątpienie, czy to, co widziałem tej nocy, nie było czasem snem. Jeśli rabin wbrew swemu zwyczajowi odłożył dzisiaj na bok traktat „Jewamot”, który zawsze trzymał przy sobie na stole, i wziął traktat „Suko”, świadczyło o tym, że coś tu nie jest w porządku. Dlatego ja zwątpiłem, czy to wszystko, co widziałem, działo się na jawie. Jeśli to miało być piekło, to dlaczego nie zobaczyłem w nim ognia? Jeśli mówimy, że w piekle sędzi się i karze złoczyńców nieprzerwanie przez dwanaście miesięcy w roku, to ogień piekielny nie powinien nawet na jedną chwilę tam zgasnąć. Nie zauważyłem w nim również śniegu, a przecież wiadomo, że złoczyńcy za karę tarzają się w nim. Śnieg sprawia im znacznie więcej cierpień niż słońce.

* *Sofer* — pisarz, kopista Tory.

W domu również nie zaznałem spokoju. Bałem się, że żona zacznie mnie wypytywać, gdzie byłem w nocy. Ona jednak milczała. Zachowywała się tak, jakbym w ogóle nie wychodził z domu. Potem się okazało, że doznała ataku ciężkiej choroby, wskutek czego straciła mowę.

14

Moje wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście widziałem piekło, potęgowały się coraz bardziej. Kiedy nad ranem wróciłem do bóżnicy, znowu odniosłem wrażenie, że jednak widziałem w piekle wielu spośród znakomitych Żydów naszego miasta. Byłem oczywiście świadomy tego, że widziałem tam nie tych współczesnych Żydów, ale ich przodków. Podobieństwo bowiem między potomkami a przodkami na ogół zostaje zachowane. Z wielkiego zdenerwowania odmówiłem modlitwę w sposób raczej machinalny niż intencjonalny.

Usiłowałem wymazać z pamięci wszystko, co widziałem, ale nie dałem rady. Gdyby nie to, że cierpienia żony odwróciły moją uwagę, nie wiem, co by się ze mną stało.

Nasz rabin, mimo iż spotkał się w piekle ze zmarłym Aro-nem, na razie nie dał znaku, że gotów jest uwolnić nieszczęsną Złatę od losu aguny. W duchu powiedziałem sobie, że skoro rabin nadal milczy, to cała ta wyprawa do piekła była daremna.

Cadycy postępują według swoich zwyczajów i Wszemogący według swoich reguł. Pewnego dnia w okresie przed świętem Chanuki zjawił się w naszym mieście Żyd z dalekiego kraju. Miał na sobie nieco dziwny strój. Twarz okalała mu broda, głowę zaś zdobiły starannie zaczesane ciemnobrązowe włosy, bez pejsów. Spotkanych na ulicy mieszkańców zapytał po hebrajsku o adres tutejszego chachama*. Z początku nikt się nie połapał, że mówi po hebrajsku, ponieważ jego

* *Chacham* — mędrzec, przywódca duchowy.

wymowa brzmiała zupełnie inaczej niż używana u nas hebrajszczyzna. Kiedy wreszcie zrozumieliśmy, że jednak mówi po hebrajsku, domyśliliśmy się, że chodzi mu o rabina. W jego bowiem kraju rabin nazywa się „chacham”.

Nie będę się nad tym długo rozwodził. Człowiek ten przyniósł list rozwodowy dla Złoty. Fakt ten był zupełnie sprzeczny ze słowami Arona, który przecież opowiedział nam podczas pobytu w piekle, że umarł, i przedstawił okoliczności, w jakich doszło do jego śmierci. Postaram się jak najszybciej dojść do końca tego ze wszech miar zasługującego na zrelacjonowanie wydarzenia. Człowiek, który przyniósł list rozwodowy dla Złoty, był wielkim uczonym w Piśmie, który oprócz głębokiej wiedzy we wszystkich dziedzinach Tory znał również języki grecki i arabski. Pamiętam, że nasz rabin usłyszał od niego wyjaśnienie wielu zawartych w księgach słów, których sam dokładnie nie rozumiał. Oświadczył, że gdyby mógł, to by chętnie sporządził z nich słownik na potrzeby swoich uczniów, a nawet urzędowych rabinów. Co do słownika na potrzeby urzędowych rabinów nie jestem pewien, czy usłyszałem to z jego ust, czy też z ust ludzi, na których śmiało można polegać. Znam tych ludzi i wiem, że nie mówiliby tego, czego na własne uszy nie słyszeli. Słowem, te trzy omówione przeze mnie kręgi piekła widziałem nie we śnie, ale na jawie. Widziałem, jaką karę ponoszą ci, którzy rozmawiali podczas modłów i czytania Tory. Czym wytłumaczyć można surowość tej kary? Otóż wytłumaczenie jej znalazłem w przypowieści, którą nasz rabin kiedyś przytoczył w kazaniu. Przypowieść ta dopasowana jest do każdego człowieka, każdego miejsca i każdego czasu. Sądzę, że warto przypomnieć miejsce i czas, o których mowa jest w przypowieści rabina.

Dwudziestego dnia miesiąca Siwan, w godzinę mniej więcej po modlitwie porannej szacharit i po omówieniu selichot* całe miasto wyruszyło na cmentarz. Wyruszyli starzy i młodzi, chłopcy i dziewczęta. Nawet karmiące matki zabrały z sobą niemowlęta. Jedni wybrali się na groby rodziców i krewnych, drudzy przyszli na cmentarz błagać zmarłych o pomoc.

Tego roku miejscowi goje nie zaczepiali nas. Nawet ci, którzy zagarnęli nasze mieszkania, odstąpili od swego dawnego zwyczaju, który polegał na tym, że stojąc w drzwiach zagrabionych domów szydzili i naigrywali się z nas. Tłumiąc śmiech i udając zatroskanych o nasze zdrowie wołali: Żydzi, pościecie dzisiaj, a więc jesteście głodni, no to damy wam trochę wieprzowiny. Zapewne chcecie pić, no to damy popić trochę ciepłej krwi. Chodźcie do nas i pokrząpcie się, dobrzy sąsiedzi! I faktycznie wielu gojów wyniosło nam wiadra z wodą do umycia rąk w drodze powrotnej z cmentarza. Skorzystaliśmy z ich wody, umyliśmy ręce i po przyjeździe do domu znowu umyliśmy ręce. Znaleźli się wśród nas tacy, którzy stwierdzili, że świat zmienia się na lepsze, ale zaraz poprawili ich inni, którzy orzekli, że goje po prostu tak zmęczyli się dokonywanymi na nas pogromami, że chcą teraz zażyć trochę odpoczynku i dlatego zostawiają nas w spokoju. Inni znowu doszli do wniosku, że gojom nie opłaca się teraz nas bić.

Dawniej nasz rabin odmawiał hesped** na cmentarzu. Tam żegnał ofiary mordów, ale ostatnio zdarzyło się, że pewien kohen*** w ścisku, wypchnięty został na miejsce, na którym nie wolno mu stać. W związku z tym wydarzeniem nasz

* *Selichot* — błagalne modlitwy o przebaczenie.

** *Hesped* — ceremonia pogrzebowa połączona z mową o zmarłym.

*** Kohenowi nie wolno przebywać na cmentarzu.

rabin zaczął odprawiać hespedy w dużej synagodze po modlitwie mincha. Pod koniec zaś życia przestał chodzić na cmentarz. Miał podobno powiedzieć, że po co ma chodzić do zmarłych, skoro zmarli przychodzą do niego. Chodzi o to, że w naszym mieście, gdziekolwiek zaczynają kopać, natrafiają na ciała pomordowanych Żydów. Nasz rabin zwątpił już, czy w ogóle w Buczaczu wolno kohenowi mieszkać. Sam tego z jego ust nie słyszałem, ale ci, co mi to powiedzieli, powołali się na niego. Nie mam powodu im nie wierzyć.

Po powrocie z cmentarza wstąpiliśmy do wielkiej synagogi, żeby odmówić modlitwę mincha. Odczytaliśmy, tak jak to się czyni w czasie ogólnego postu, rozdział z *Księgi Proroków*. Nasz błogiej pamięci rabin wszedł wtedy na bimę i odczytał z właściwym zaśpiewem fragment z Proroków, który zakończył werselem „Mój Bóg przygarnia rozproszonych synów Izraela”. Byłem wtedy pewny, że proroctwo Izajasza wkrótce się spełni. Odniosłem również wrażenie, że rabin mocno w to wierzył.

16

Po odmówieniu błogosławieństwa na zakończenie czytania fragmentu z *Księgi Izajasza* rabin wziął do ręki modlitewnik i odmówił za duszę swego nauczyciela świętego rabiego Jechiela-Michała z Niemirowa, męczennika, ofiarę pogromu, modlitwę „El male rachamim”^{*}.

Kiedy doszedł do słów „Był koroną na niebie i na ziemi i ucięli mu głowę połyskującym mieczem. Wejrzyj Boże na naszą hańbę”, wybuchnął płaczem.

Odłożywszy modlitewnik, pochylił się na stołem. Głowa mu opadła na leżący modlitewnik. Po chwili wyprostował się. Siwe loczki wystające spod jarmułki świeciły czystym sre-

^{*} *El male rachamim* („Bóg pełen miłosierdzia”) — modlitwa za zmarłych.

brem. Ludzie twierdzili, że rabin zanurzył głowę w źródle Łaski i umył ją w Krynicy Miłosierdzia. I twarz jaśniała mu czerwienią słońca przed zachodem dnia. Oczy miał przymknięte. Wyglądał, jakby przybył z daleka. Ludzie znający się na rzeczy orzekli, że wraca z krańca świata, z miejsca, gdzie przebywa Szechina. Ujrzał tam Wielkie Światło — swego nauczyciela, rabiego Michała z Niemirowa zasiadającego razem ze wszystkimi świętymi męczennikami w niebie. Było to zgromadzenie aniołów i dusz cadyków opromienionych Szechiną. Nie jestem człowiekiem wprowadzonym w tajemnice tamtego bytu. Zdolny jestem dostrzegać tylko to, co widzę na własne oczy, ale w jednym punkcie zgadzam się z tymi ludźmi, którzy wytłumaczyli zjawisko siwych loczków rabina. Każdy srebrny lok na głowie rabina wyglądał rzeczywiście jak srebrny puchar wyjęty dopiero co z czystego źródła. Pamiętam, jak w przeddzień święta Pesach przynieśli rabinowi srebrny puchar. Obejrzawszy go dokładnie, rabin powiedział do mnie: Przyda się dla proroka Eliasza, idź i zanurz go w czystej mykwie. Poszedłem i zamoczyłem go w wodzie mykwy. Kiedym go wyciągnął, lśnił od wody.

Po cichu ludzie zaczęli mówić, że rabin na tyle zasłabł, że nie będzie w stanie dokończyć modlitwy. Zawołali więc *baał-tefila*^{*}, reb Chizkijaha, i polecili mu przejąć kierowanie modlitwą. Reb Chizkijah podszedł do głównego pulpitu. Zauważył to rabin i znowu wziął do ręki modlitewnik. Kruszącym serce głosem wyrecytował werset kończący się słowami: „Bóg jest jeden i jedno jest Imię Jego”. Widać było, że od tej chwili ogarnął go strach. Dygocąc położył modlitewnik na stole, po czym oparł na nim głowę. Po chwili znowu sięgnął po modlitewnik, przeczytał na głos kilka zdań, po czym wręczył go reb Chizkijahowi. Ten nie wiedział, czy rabin dał mu modlitewnik na chwilę, bo chce odpocząć, czy też po to, żeby on, Chizkijah, poprowadził dalej modły. Ale

* *Baał-tefila* — osoba przewodząca modlitwie, kantor.

rabin jeszcze raz zebrał ostatnie siły i akcentując wyraźnie każde słowo, odczytał do końca tekst modlitwy ze stronicy otwartego modlitewnika, trzymanego przez Chizkijaha.

Po modłach ludzie zaczęli się skupiać wokół rabina. Ucięli mi głowę — powtórzył rabin — polerowanym mieczem. Może powiedział nie polerowanym, ale rozżarzonym mieczem. Mnie się jednak zdaje, że użył słowa „polerowanym”, tak jak kopista napisał był na stronicy, z której rabin przeczytał tekst. Źle się stało, że ktoś wymazał słowo „polerowany” i zastąpił je słowem „rozżarzony”.

Na koniec rabin polecił starcowi reb Meszułamowi odmówić kadisz, ponieważ reb Meszułam jest potomkiem rabiego Meira, syna Icchaka, autora hymnów na święto Szawuot, Akdomot. Uratował on kiedyś od zagłady wielkie żydowskie miasto. Przybył z Niemiec, z kraju, w którym prześladowano Żydów.

Po odmówieniu kadisz rabin polecił Chizkijahowi odczytać na głos hymn, który reb Meszułam napisał dla uczczenia postu Estery. Niektórzy twierdzą, że intencją naszego rabina było przypomnienie Bogu, że z liczego narodu zostało nas bardzo mało. Inni znów twierdzili, że kiedyś podczas odmawiania hymnu reb Meszułama na cześć Jom Kipur nasz rabin zdrzemnął się na chwilę i dlatego teraz polecił odmówić jego hymn z okazji postu Estery. Ja zaś skłaniam się przyznać rację tym, którzy uważali, że rabin postąpił w ten sposób dlatego, że żywił głęboki respekt dla reb Meszułama. Potwierdzeniem tego jest fakt, że następnego dnia posłał mnie rabin do reb Akiwy Szasa po gemarę „Zewachim” (Ofiary). Reb Akiwa zapytał mnie, czy być może zauważyłem, żeby rabin zaglądał do gemary „Gitin” (Rozwody). Dlaczego — zapytałem — rabiego to interesuje? Ano dlatego — odpowiedział rabi Akiwa — że w komentarzu Raszi do gemary „Zewachim” i w Tosaftot (Suplementy) do gemary „Gitin” wspomniany jest rabi Meszułam. I na dowód, że tak jest, pokazał mi rabi Akiwa ów komentarz Raszi w gemarze „Zewachim”. Jest tam napisane: „Tak skomentował to rabi Me-

szułam syn gaona rabiego Klonimusa przed śmiercią”. Tego komentarza w Tosaftot już mi nie pokazał. Kiedy to potem opowiedziałem w bóżnicy, ludzie wyrazili zdziwienie, że rabi Akiwa nie pokazał mi stronicy w Tosaftot, gdzie wspomniany jest rabi Meszułam.

Pozwolę sobie przy okazji przypomnieć rzecz, która nie ma związku z całą sprawą. Nasz rabin, jeśli pożyczał od kogoś Gemarę, to zawsze oddawał w zastaw pożyczającemu szabasowe świeczniki. Miał przy tym dwie intencje. Jedną jawną i jedną skrytą. Jawną, bo w piątek, kiedy trzeba przygotować świeczniki do zapalenia świec sobotnich, od razu sobie przypomni o potrzebie zwrócenia Gemary. Skryta intencja kojarzyła mu się z Torą, która nasycona jest światłem, a Gemara jest fundamentem Tory. Przypomnę też rzecz, która ma związek z całą sprawą. Przed modlitwą mincha rabin ogłosił, że ten, kto nie wytrzymuje postu i mdleje z głodu, powinien pójść do domu i coś zjeść. Przede wszystkim — oświadczył — chodzi o kobiety karmiące i kobiety w ciąży. Im wolno przerwać post. Zaraz też posłał małego chłopca do swego domu, do żony, aby ta powiedziała Złate, że powinna natychmiast coś zjeść i wypić. Mnie zaś polecił zawiadomić moją żonę, że z jego rozkazu też powinna pokrzepić się jadłem i napojem. Pora do zawiadomienia mojej żony, oby spoczywała w pokoju, była najodpowiedniejsza, gdyż w tym czasie wskutek postu mdlała z głodu. To, że pościła, było zupełnie naturalne, albowiem na własne oczy widziała tragiczną śmierć swoich rodziców, trzech braci i czterech sióstr. Czy można po tym, co się działo, jeść i pić w dzień wspomnienia ofiar zbrodni? Jednak rozkaz rabina obowiązuje, więc coś niecoś przegryzła. Nasz rabin bowiem cieszył się wielkim szacunkiem. Mówiono, że nawet dzieci w brzuchu matki słuchały tego, co rabin kazał. Z tymi dziećmi w brzuchu to oczywiście przesada, ale jeśli chodzi o kobiety i małe dzieci, to wszystko się zgadza.

Potem rabin podszedł do Aron Hakodesz. Z obu stron podtrzymywali go reb Akiwa Szas i reb Meszułam. Rabin

pocałował parochet i drzwi Aron Hakodesz, po czym przez chwilę trwał w skupieniu. Następnie zaczął odprawiać hesped nad ofiarami pogromów 1648 roku. Przypomniawszy wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, które męczeńską śmiercią uświęciły Imię Boga. Wymienił też wszystkie miasta i wsie, które w czasie pogromów uległy zagładzie. Nie pominął ani jednego miasteczka, ani jednej wioski, ani jednej gminy żydowskiej. Podał dokładną liczbę zamordowanych w nich Żydów. Opowiadają, że porobił w jednej księdze Tory znaki pod poszczególnymi wersetami. Jakie wersety zostały przez niego oznaczone i w jakiej księdze, nikt nie wie. Są tacy, co twierdzą, że chodzi tu o *Księgi Malachiasza*. Ja przychyliam się do ich zdania. Skąd ja o tym wiem? Ano stąd, że na dzień przed dwudziestym Siwan zastałem naszego rabina powtarzającego w samotności werset „Pamiętajcie o Torze Mojżesza”.

Słońce — jako rzekł szames — czerwone było od barw kwiatów i krzemieni raju. Tak jest napisane w księdze *Anioł Razel*: „I słońce wieczorem czerwone jest od barw kwiatów i krzemieni raju”. Jednym słowem słońce faktycznie świeciło czerwienią, znak, że nastąpiła pora modlitwy mincha.

Ludzie umyli ręce i przystąpili do modlitwy popołudniowej. Kiedy się ściemniło, stanęli do wieczornej modlitwy maariw. Odmówiwszy kadisz otoczyli szamesa, żeby słuchać dalej jego relacji.

Szames upewniwszy się, że dalej ciekawi są go słuchać, oświadczył: Jeśli tak skorzy jesteście słuchać mojej relacji, to co zrobicie z uszami, kiedy rozlegną się dźwięki szofaru* Mesjasza? Na co wam się przyda koniec mojej relacji? Ważniejszy od końca jej początek. Na samym bowiem początku powiedziałem wam, że trzeba pilnie wystrzegać się gadania podczas modłów i czytania Tory.

* *Szofar* — róg, zazwyczaj barani, używany do ostrzegania ludzi przed niebezpieczeństwem oraz do celów kultowych w Świątyni.

Ostatnie słowa szames podkreślił z taką mocą, że ludzie zadrżeli ze strachu. O nic więcej go już nie spytali. Sam jednak nie zrezygnował z kontynuowania relacji. I słowa jego tak głęboko zapadły w serca słuchaczy, że do końca swoich dni je pamiętali. Towarzyszyły im nawet za grobem.

18

Ze względu na to — powiedział szames — że słowa rabina są mi drogie, pragnę je przed wami powtórzyć. Jeśli chodzi o same wydarzenia, przedstawiają się one tak, jak je przed wami opisałem. Co zaś się tyczy refleksji i myśli rabina, wątpię, czy po upływie czterdziestu już lat od chwili, kiedy zostały wypowiedziane, ktoś potrafi zgłębić ich tajemnicę.

Jesteśmy teraz w miejscu, gdzie rabin stoi przy Aron Hakodesz twarzą zwróconą do ludzi, a dwaj starcy, rabi Akiwa Szas i rabi Meszulam z Niemiec, stoją po obu jego bokach. Ja zaś stoję przy schodkach do Aron Hakodesz obrócony plecami do tłumu wiernych. Gdyby ktoś chciał przepchnąć się do naszego rabina stojącego na podwyższeniu przed Aron Hakodesz, nie dopuszczę go. Patrzę w twarz rabina i czekam na jego polecenia.

Hesped rabina dobiegł końca. Zadawało mi się, że tałas spadł mu z lewego ramienia. Tak zawsze zdarzało mu się pod koniec kazania. Zgoła inaczej rzecz się miała po modlitwie. Wtedy tałas nie spadał mu z ramienia. Słyszałem wtedy od sofera, reb Szmuela, który powołując się na słowa reb Józefa Halewi, autora dwóch książek: *Zewach hajamim* (*Ofiara obecných dni*) poświęconej ofiarom pogromów Chmielnickiego oraz *Teruat hametech* (*Dźwięki rogu Króla*), książki o szofarze Mesjasza, powiedział, że dusza naszego rabina wywodzi się z gatunku dusz, które miał na myśli rabi Jochanan, jeden z mędrców Gemary, bo temu, który cały dzień się modli, i po modlitwie tałas nie spada z ramion. Inaczej rzecz się ma

z kazaniem. Głównym bowiem celem kazania jest dzisiaj nauczanie moralności, w czym tkwi oskarżenie pod adresem Żydów. Nie chcę się dłużej rozwodzić nad tą kwestią, ponieważ mogą się tu nasuwać różne komentarze. W pewnej chwili zdawało mi się, że rabin przywołuje mnie oczami. Szybko wspiąłem się na podwyższenie i stanąłem przed nim. Na mój widok rabin okazał zdziwienie. Dziwił się zapewne nie temu, że znalazłem się przy nim, bo przecież wzrokiem mnie przywołał. To chyba myśli o tamtym świecie, w których był pogrążony, wywołały na jego twarzy wyraz zdumienia. Zresztą to, co nam się wydaje dziwne, może zupełnie coś innego oznaczać. Popatrzawszy na mnie, po hebrajsku szepnął: „Stań przy mnie”. Zaraz też powrócił do przerwane go kazania: „Prawdę rzeczy ustala się na podstawie zeznań dwóch albo trzech świadków”. Nie wiem, czy ktoś ze słuchaczy zrozumiał, co miał na myśli. Ja zrozumiałem to dopiero w środku kazania. I dumny jestem z tego, że zawsze po początkowych trudnościach ze zrozumieniem czegoś w końcu dochodzę do sedna sprawy. Słyszałem, że chasyd reb Icchak Moralista, syn rabiego Jedidii Libermana, siostrzeniec świętego męczennika rabiego Michała z Niemirowa, oby Bóg pomścił niewinnie przelaną jego krew, miał powiedzieć: „U cadyków czyny odpowiadają myślom i dlatego wszystko się u nich zgadza. Od początku do końca”.

19

Dalszy ciąg kazania nasz rabin zaczął tymi słowami: Drodzy bracia! Umiłowani synowie Boga, oby Jego Imię było błogosławione. Nie chcę wam grozić karami, Pan Bóg bowiem w dwójnasób już nas pokarał za grzechy. I obróciwszy się twarzą do Aron Hakodesz zawołał: Ty, Boże, wiesz, że mam na myśli te grzechy, które popełniliśmy świadomie. Natomiast grzechy nieświadomie przez nas popełnione tylko Ty

znasz. Przytoczył przy tym cytat z *Księgi Ezry*, którego niestety nie zapamiętałem, ponieważ z braku kompletu Tanachu* nie mogłem go sprawdzić. Potem rabin obrócił się twarzą do wiernych mówiąc: Bóg jest sprawiedliwy, a naszą rzeczą błagać Go o to, żeby dał nam siły znieść wszystkie cierpienia aż do chwili, kiedy powie „dosyć”. Trzeba nam więc czekać. Czekać aż do końca. Przy tych słowach rabin wytarł tałesem łzę. Zdumieli się ludzie. Dotychczas rabin na oczach ludzi nie płakał. Jeśli już, to chyba wtedy, kiedy wspominał swego nauczyciela, świętego męczennika. W samotności zapewne nieraz ronił łzy. Z tego powodu właśnie miał w oczach jakąś świetlistą jasność. Tę jasność w oczach zachował nawet w chwili śmierci.

I mówiąc dalej oświadczył: Nie będę również rozprawiał o Torze. Słowa o Torze wymagają gorącego serca i jasnego umysłu, a my wszyscy jesteśmy dzisiaj wyczerpani postem i żałobą. A że dzień jest długi i znajdujemy się w przybytku poświęconym Torą i modlitwą, powiem kilka słów na temat Tory i modlitwy. W istocie nie należy w świętym miejscu mówić o rzeczach powszednich, ale skoro chcemy powiedzieć coś na temat milczenia, znajdują się dla niego odpowiednie słowa.

Tu rabin przerwał i przez dłuższą chwilę milczał. Ja, stojąc przy nim, również milczałem. I wszyscy zebrani w bóżnicy ludzie stali w ciszy i skupieniu. Nie słychać było najmniejszego szmeru, nie widać było najmniejszego ruchu. Jedynie śnieżnobiałe loki rabina lekko się poruszały. Od ciosu zadanego mu szablą w głowę rabin odczuwał stale ból i z tego powodu nie strzygł włosów nawet na Szawuot. Podniósłszy głowę, rabin zmierzył tłum wzrokiem. Zapragnął stwierdzić, o ile każdy z obecnych jest w stanie go wysłuchać do końca. Potem zamknął oczy i oświadczył: Sam tego nie widziałem, ale wiem, że są ludzie, którzy nie mogą się po-

* *Tanach* — skrót oznaczający wszystkie księgi Starego Testamentu.

wstrzymać od nierozmawiania podczas modłów i czytania Tory. Nie chodzi mi o tych, którzy słowami reagują na jakiś sporadyczny incydent. Mam na myśli tych, którym usta nigdy się nie zamykają. Czy trzeba, czy nie trzeba, zawsze miały jęzorem. Kiedy się im zwraca uwagę, że to nie wypada, natychmiast odpowiadają, ależ oczywiście, że nie wypada rozmawiać podczas modlitwy. Ich uszy nie słyszą tego, co usta mówią. Ale są również tacy ludzie, którzy na zwróconą uwagę odpowiadają pytaniem: czy z powodu kilku marnych słów należy od razu podnosić wielki szum?

Drodzy moi bracia! Jak już powiedziałem, nie przyszedłem was straszyć karami za rozmawianie podczas modłów i czytania Tory. Karę ponosi tylko ten, co popełnia grzech, wy zaś, moi bracia, dalecy jesteście od tego grzechu. Znajdujemy się jednak w świętym miejscu, w Przybytku Tory i Modlitwy, i cały świat potępia tego rodzaju grzech. Dlatego też postanowiłem również o nim mówić. Nie będę więc sypał gromów, ale posłużę się przypowieścią. W midraszu* *Szir haszirim (Pieśń nad pieśniami)* jest taka przypowieść. Nie należy lekceważyć przypowieści. Za pomocą przypowieści człowiek może dojść do zrozumienia wielkich problemów. I ta przypowieść, o której chcę mówić, zawiera morał. Mowa w niej o królu, który zgubił złotą monetę albo jakąś drogą perłę. Żeby odnaleźć tę cenną zgubę, wystarczyła mu jedna skromna, groszowa świeczka. Tak się rzecz ma z przypowieścią. Niech wam się nie wydaje, że jest mało ważna.

W tym miejscu szames zrobił małą pauzę, po czym powiedział: Dzisiaj wszyscy już znają tę przypowieść. Dawniej, w czasach naszego rabina, kiedy trudno było znaleźć inne midrasze poza tymi, które zawarte są w zbiorze Tanchuma, każde słowo z przypowieści tego zbioru midraszy było odkryciem. Chciałbym od siebie coś do tego dodać. Ilekroć nasz rabin opowiadał jakąś przypowieść z Gemary lub midraszu,

* *Midrasze* — komentarze do ksiąg biblijnych w formie przypowieści.

nie streszczał jej swoimi słowami, ale przytaczał żywcem według tekstu napisanego przez autora. Zawsze zaczynał od słów: „Oto przypowieść króla”. Kiedy zaś podawał własną, przez siebie ułożoną przypowieść, nie powoływał się na króla. Dlaczego mówimy o królu?

W dawnych czasach, kiedy światem rządili wielcy królowie, ludzie uważali za stosowne układać o nich przypowieści lub bajki. Dzisiaj natomiast, kiedy ranga i znaczenie królów upadły, kiedy okazali się bezradni w obliczu dokonywanych gwałtów i pogromów, nie należy do chwalebnych rzeczy pisać o nich przypowieści. Po tej dygresji, drodzy moi bracia, nawiązuję do słów naszego rabina, oby jego pamięć była błogosławiona.

20

Przytoczyłem historię o przypowieściach nie po to, żeby mówić o Torze, ale po to, żeby słowa Tory były przestrzegane. Błogosławionej pamięci Rambam w książce *Halachot* pisze, że modlić się codziennie jest nakazem Bożym, jako że jest napisane: „I będziesz służył Twojemu Bogu”. Z tego nakazu wysnuto wniosek, że służyć oznacza modlić się, albowiem dalej jest napisane „I będziesz służył całym sercem”. Mędracy powiadają, że słowa „służyć sercem” mogą oznaczać tylko modlitwę.

Nasz rabin, ilekroć cytował jakiś werset, słyhać było, że wymawia go z wielką przyjemnością. Z taką przyjemnością dobrzy nauczyciele zwykli dzieci uczyć Tory.

Słowem rabin cytował każdy werset Pisma z jakąś słodyczą w głosie. Ponadto objaśniał go w tak przystępny sposób, że każdy na miarę swoich możliwości przyswajał sobie zawarty w nim sens.

W czasach naszego rabina żyło w naszym mieście około dwustu zamożniejszych gospodarzy, ponadto wielu służących

i wędrownych handlarzy. Wszyscy oni z ogromnym zainteresowaniem przychodzili słuchać jego kazań. Chłonęli każde jego słowo.

Przypomniawszy słuchaczom styl i szkołę Majmonidesa, według której modlitwa jest nakazem Bożym, wskazał również na to, co ten mędrzec napisał w drugiej swojej księdze *Micwot*. Píše w niej o tym, że modlitwa wywodzi się z Tory. Przypomniał również w tym dziele polemikę z przeciwnikiem Majmonidesa Rambanem (Nachmanidesem). Następnie zwrócił się do rabiego Akiwy Szasa z pytaniem: Czy nie tak, rabi Akiwa? Ten z miejsca odpowiedział: Oczywiście, pewnie, że tak, po czym nieco przestraszony dodał: „Czy rabin naprawdę musi u mnie uzyskać potwierdzenie?” Ludzie znający się na rzeczy w dążeniu do wyjaśnienia tej kwestii zadali sobie pytanie: Dlaczego rabin chciał zasięgnąć opinii rabiego Akiwy Szasa? Po przemyśleniu sprawy tak orzekli: Nachmanides daleko odszedł od szkoły talmudycznego tanaity rabiego Akiwy i nasz rabin jako przeciwnik Nachmanidesa szukał potwierdzenia dla swego stanowiska u sławnego imiennika tanaity, rabiego Akiwy Szasa. W związku z tym, że ja nie bardzo znam się na tych rzeczach, nie będę się dłużej nad nimi rozwodził. Obym był tylko w stanie zrozumieć coś niecoś z przystępnej, jawnej części Tory.

Podkreślił znowu wielkie znaczenie modlitwy, dzięki której mały robaczek, jakim jest człowiek, uzyskuje możliwość opiewania chwały Wiekuistego. Przez modlitwę człowiek może również wyrazić swoje głębokie pragnienia i uzyskać dla nich spełnienie.

Potem rabin omówił zalety świętego języka hebrajskiego, w którym ułożone zostały modlitwy. Dzięki modlitwie człowiek może się wznieść do wyżyn, do miejsca, skąd wyrastają jego korzenie, może odzyskać swoją pradawną osobowość, duchową czystość z okresu poprzedzającego rozproszone pokolenie, które zabrało się do zbudowania wieży Babel. Do tego pokolenia wieży Babel, zwanego „Dor-Haflaga” — po-

kolenie rozproszone, Bóg przyłączył wszystkie ludy i niektórych aniołów, jak o tym napisane jest w księdze *Bramy Światta*.

Żydów natomiast Bóg przyłączył do boskości, aby uczynić z nich część Samego Siebie. Tu rabin przerwał i objął wzrokiem wszystkich obecnych gospodarzy, rzemieślników, służących i wędrownych handlarzy. Tałas opuścił na czoło i wtedy w dziurce utworzonej przez noszone na czole tefilin pokazały się jego śnieżnobiałe loki. A dookoła wszystkie światła jaśniały blaskiem niebios i ziemi. Światło zachodzącego słońca i światło świec za dusze zmarłych, które ludzie zapalili w bóżnicy, jakby to był Jom Kipur. Nie było bowiem w mieście człowieka, który by nie zapalił tego dnia świecy za dusze zgładzonych bliskich. Nie zabrakło nawet świec od biedaków, którzy chodzą po prośbie. Żebracy żyjący przez cały rok z jałmużny postarali się zdobyć choćby najmniejszą świeczkę. Rabin, stojąc między Aron Hakodesz a tłumem modlących się Żydów, w pewnej chwili podniósł głos oświadczając, że zanim jeszcze powstał świat, Żydzi już myśleli o tym, jak Bóg ich stworzy. Zanim aniołowie zostali stworzeni, już z miłości Ojca w niebie czekało na Żydów Imię Boskie Izrael.

Rabin znowu przerwał kazanie i objawszy wzrokiem wszystkich słuchaczy, gospodarzy, rzemieślników, służących i wędrownych handlarzy, słodkim głosem oświadczył: „Izrael jest częścią boskości. Tej, która jest w niebie, boskości”. Nie pamiętam, czy to zdanie powtórzył dwukrotnie. Może mi się tak zdawało. Jeszcze teraz mam w uszach i w sercu jego słowa. Są to słowa niezwykle ważne i nie każdy umysł potrafi je ogarnąć.

21

Rabin obiema rękami podciągnął do góry tałas, po czym opuścił go na ramiona. Przez chwilę stał nieporuszony, jakby

zastygły w milczeniu. Nikt nie wiedział, czy znaczyło to koniec kazania, czy tylko chwilową przerwę. Wszyscy, nawet ci, co osłabli od postu, włączając w to i mnie, chcieli, żeby dalej mówił. W synagodze onego czasu nie było ławek. Stały tam tylko dwa krzesła. Jedno dla rabina i drugie dla proroka Eliasza.

Serce zawsze wyczuwa to, co ma nastąpić. Serca zebranych Żydów wyczuły, że jest to ostatnie kazanie naszego rabina. Oto bowiem podczas odmawiania modlitwy w święto Hoszana Raba rabin zaciął się i zaraz potem umarł. Nie chcę przerywać toku dalszej relacji, ale muszę w tym miejscu podkreślić, że tak jak za życia był uosobieniem skromności, tak również w chwili śmierci zachował jej wdzięk.

Mówiłem przedtem, że wszyscy chcieliśmy, aby dalej kazał. I tak też było. Nawet mali chłopcy, którzy ledwo trzymali się na nogach, trwali w oczekiwaniu na dalsze słowa rabina. Nie jestem pewny, czy wszystko zrozumieli. Słów jednak tchnących prawdą pragnie się słuchać nawet wtedy, kiedy się je niezupełnie rozumie.

Rabin podniósł w modlitewnym geście obie ręce do góry i objąwszy wszystkich promiennym spojrzeniem, cichym głosem powiedział: Nasi praojcowie uczynili nam wielką łaskę przez to, że dali nam modlitwy. Odczuwamy również wdzięczność wobec członków Wielkiego Zgromadzenia, którzy uporządkowali te modlitwy. Jeszcze większa wdzięczność należy się Mojżeszowi, który nakazał nam czytanie Tory. On to bowiem wprowadził obowiązek czytania Tory w sobotę, święta Rosz Chodesz* i Chol Hamoed**. Ezra natomiast wprowadził nakaz czytania Tory również w poniedziałek i czwartek oraz w sobotę podczas modlitwy mincha. Wszystkie te reformy rabin nasz uzasadnił wywodami z Talmudu Babiloń-

* *Rosz Chodesz* — początek miesiąca.

** *Chol Hamoed* — powszednie dni między początkowymi a ostatnimi świątecznymi dniami Pesach i Sukot.

skiego i Jerozolimskiego, z Tosafrot, z dzieł Alfasiego i Majmonidesa. Wszystko to cytował z pamięci, albowiem po opuszczeniu swego nauczyciela z Niemirowa rabin tych ksiąg nie miał już w ręku. Słyszałem, że pamięć pochodzi z męskiego pierwiastka w człowieku, a zapomnienie z żeńskiego pierwiastka. Ten, kto wzmacnia w sobie męski pierwiastek, ten ma lepszą pamięć. Dzisiaj są u nas tacy ludzie, którzy mają w domu więcej ksiązek, niż ich było kiedyś w całym mieście. Znałem pewnego uczonego w Piśmie, który sprawował funkcję rabina w kilku gminach naraz. Na chwilę przed śmiercią oświadczył, że ciężko mu opuścić świat, w którym jest tak wiele ksiązek, wiele micwot i dobrych uczynków, ale w niebiańskiej jesziwie uzupełni swoją wiedzę. Zagłądanie do traktatu *Eruwim* (*Mieszanie, Łączenie*), którego za życia nie zdążył przeczytać.

Pamiętam również, że pewnego dnia zawitali do naszego miasta dwaj młodzińcy uczeni w Piśmie, żeby dotrzeć do człowieka, który był w posiadaniu kompletu Miszny.

Wróćmy jednak do kazania naszego rabina. Po objaśnieniu micwy czytania Tory zakrył głowę tałasem i oświadczył: Prawdziwą łaskę uczynił nam Bóg, bo oto jesteśmy w synagodze i mamy możliwość słuchania słów Jego Tory. Po tym oświadczeniu opuścił tałas na ramiona, położył ręce na pulpicie i przytoczył przykład o dwóch starcach, co podczas odmawiania modlitwy wzniesli się do poziomu owych Żydów, którzy odbierali u stóp góry Synaj Torę Boga z rąk Mojżesza.

Po tej dygresji rabin przeszedł do dalszego ciągu kazania. Kiedy — oświadczył — studiowałem w jesziwie pod kierunkiem wielkiego nauczyciela, zwanego „światłem swego czasu”, zjawił się w mieście pewien kaznodzieja, który poprosił rabina o pozwolenie wygłoszenia w sobotę kazania w wielkiej synagodze. Rabin go wówczas zapytał: O czym masz zamiar mówić? Tamtej soboty miano odczytać z Tory rozdział „Jetro” (tak nazywał się teść Mojżesza). Będę mówił

— odpowiedział kaznodzieja — o dziesięciu przykazaniach. A konkretnie? — zapytał rabin. O tym — wyjaśnił kaznodzieja — że te przykazania kierowane są do tego świata, natomiast księga *Dewarim* (V Księga Mojżeszowa) ma na myśli tamten świat. Ja — odpowiedział rabin — nie wiem, co to znaczy ten świat, a co tamtem świat. Ja rozumiem proste, jasne wersety. I dla przykładu od razu przytoczył werset, z którego wynikało, że Dobro, które Bóg wyświadczył Izraelowi, polega na tym, że my, Żydzi, pozostaliśmy wierni Jego Imieniu, że zawsze i wszędzie przestrzegać będziemy Jego nakazów i zakazów.

22

A skoro — kontynuował rabin — przekonaliśmy się, że modlitwa jest niesłuchanie ważna i że w Torze zawarta jest najwyższa świętość, pozwolę sobie przejść do głównego wątku mego kazania. Chcę mianowicie wskazać, jak wielki jest grzech człowieka, który rozmawia podczas modłów i czytania Tory.

Swego czasu błogosławionej pamięci reb Zewulon opowiedział mi zasłyszaną od pustynnych wędrowców wieść, że w kraju Kusz* znajduje się puszcza, w której żyją podobne do psów małpy żywiące się mrówkami. Wędruje taka małpa po puszczy w nieustannym poszukiwaniu jadła i natrafiwszy na mrowisko i zarywszy się w piasku obok niego, udaje śpiącą. Małpa pokryta piaskiem tworzącym pagórek na zewnątrz trzyma tylko łapę gotową do schwytania mrówek. Leży cierpliwie i czeka. Mrówki dostrzegłszy przed swoim gniazdem miękki, zachęcający do spacerów pagórek, wślazą na niego i urządzają sobie spacer. Spacerują, baraszkują, nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Nie

* *Kraj Kusz* — Etiopia.

wiedzą, że wystająca z piasku łapa czyha na nie, że pod pagórkiem piasku leży zwierzę gotowe je połknąć. Pozostałe mrówki widząc, że ich bracia i siostry znakomicie się bawią, opuszczają gniazdo i zwartą ławą puszczają się w ślad za nimi. Spacerują po pagórku i włączają na wystającą łapę. Do głowy im nie przychodzi, że mogą paść ofiarą dzikiej bestii. I oto w jednej chwili łapa małpy chwytając skłębione na sobie mrówki i jednym haustem wszystkie je połyka.

I tak jak na tej puszczy przebiega również życie na świecie. I taką rolę, jaką małpa wobec mrówek, odgrywa szatan wobec Żydów. My, niedobitki Izraela, szczątkowe pozostałości Jakubowego domu, jakże słabi i bezbronni jesteśmy. Jesteśmy jak owe mrówki, o których hebrajskie porzekadło powiada: „mrówki to lud słaby”. Jest również napisane: „Idź do mrówek, leniuchu, od nich ucz się, jak postępować”. A one, okazuje się, przy całej swojej mądrości, łatwo wpadają w łapy małpy.

Drodzy bracia! Mam wrażenie, że przez wzgląd na nieskomplikowaną i prostą treść poruszonego przeze mnie tematu nie przedstawiłem go wam w sposób dostatecznie jasny i zrozumiały. Dlatego pozwólcie, że jeszcze raz do niego wrócę.

Powszechnie wiadomo, że dom modlitwy nazywany jest często przez Żydów gniazdem. W hymnie pieśni *Mizmor Jedidut* recytowanej we wszystkich bóżnicach jest takie zdanie: „Dusza moja usycha z tęsknoty do Boga Zastępów, a ciało moje śpiewa pieśń w Przybytku Boga”. Tak jak ptak, który znalazł domek, jak jaskółka, która w znalezionym gnieździe umieściła swoje pisklęta, żeby je poświęcić na ofiarę Bogu, tak my, Żydzi, możemy sobie wytłumaczyć sens słów „szczęśliwi są ci, którzy siedzą w Twoich przybytkach”. Łatwo nam teraz zrozumieć słowa Hioba, który powiedział: „I powiem, iż razem z moim gniazdem uschnę z tęsknoty”. Oby spełnione zostały modlitwy pobożnego człowieka, dlatego do końca moich dni będę siedział w Domu Boga. Obym doznał szczę-

ścia umrzeć w nim. Obym wyzionął duszę w tęsknej modlitwie do Boga.

Rabin przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na świecach zapalonych ku pamięci zmarłych. Świece coraz mocniej płonęły, jak to zwykle bywa o zmroku, kiedy robi się coraz ciemniej. Słońce — powiedział — ma się już ku zachodowi, dzień dobiega końca, dlatego postaram się skrócić i ograniczyć do niezbędnych słów. Ibn Ezra, powołując się na innego komentatora, tak objaśnia werset z jaskółką w gnieździe. „Jest taki ptak, który ucieka od ludzkich siedzib i buduje sobie gniazdo w pobliżu Świętego Przybytku, w którym składa się ofiary Bogu. Jeśli ptak zasłuży się i znajdzie łaskę w oczach Pana, jego piskłeta znajdą się w pobliżu ołtarza”. Jak wiemy, w Świątyni Pańskiej żaden ptak nie uwił sobie gniazda. Wyraźnie mówi o tym uczony w Piśmie Radak — rabi Dawid Kimchi, komentator i gramatyk (1160—1235). Mimo to warto przytoczyć przypowieść, w której Żydzi podobni są do ptaka, który swoje piskłeta umieszcza w pobliżu ołtarza Boga Zastępów.

Zanim wrócę do głównego wątku, chcę zrobić małą dygresję. Wiadomo, że pałac Mesjasza nazywany jest „gniazdem ptaka”. Nie każdy jednak wie, że to gniazdo trzyma się w modlitwach Żydów. Jakże więc nie wystrzegać się rozmów podczas modlitwy? W każdej przecież chwili gniazdo Mesjasza może się zawalić.

Z powodu zbyt krótkiego czasu i zbyt obfitego materiału nie udało mi się w sposób klarowny wyciągnąć z tej przypowieści właściwego morału. Nie udało mi się jasno skorelować morału z samą przypowieścią. Mimo to jednak wyraźnie widać, że myśl zawarta w przypowieści z małą koreluje z morałem o szatanie. Małpa i szatan mają te same zamiary, myślą o tym samym. Chodzi im o to, żeby zapełnić brzuch. Małpa wyciąga łapę, żeby pożreć mrówki, a szatan wyciąga rękę, żeby wyłapać modlitwy Żydów i słowa Tory. Chce nimi napęłnić własny brzuch.

Chwała Najwyższemu, który wysłuchuje modlitwy Żydów. Nic u Niego nie przepada. Nie ginie żadna modlitwa. Każde słowo modlitwy trafia do Jego uszu. Niech jednak każdy z was ma świadomość, że jeśli będzie rozmawiał podczas modlitwy i czytania Tory, słowa jego mogą trafić tam, gdzie nie trzeba.

Wypowiedziawszy te słowa, rabin wsadził ręce za pleciony sznurek opasający jego biodra. Nie pamiętam, czy wsadził również za pas skraje tałesu, ale z całą pewnością pamiętam, że cycesy swobodnie zwisały z tałesu. Dlaczego wspominam o tym? Dlatego, że ostatnio wprowadzono u nas nowe zwyczaje, o których przedtem nie mieliśmy pojęcia. Ludzie wsadzają, wzorem robotników zakładających podczas pracy poły swoich ubrań za pas, skraje tałesu za pleciony sznurek opasający ich biodra.

23

W dalszym ciągu kazania rabin powiedział po hebrajsku: „Wszystkie nasze dni przemijają szybko jak cień, ale każdy dzień z osobna długo się ciągnie”.

Wyjaśnijmy to sobie za pomocą onej przypowieści, siedzimy bowiem w bóżnicy pogrążeni w smutku w dzień odprawianego przez nas postu.

W świecie znane jest porzekadło: „Nie ma człowieka wolnego od nieszczęść”. Nikt chyba lepiej od Żydów nie przekonał się o jego prawdziwości. O takim Żydzie chcę właśnie wam przytoczyć przypowieść. Otóż pewnego dnia Żyd ten nagle zauważył, że nad jego głową zawisło nieszczęście. Zdawało mu się, że widzi czarne chmury nad sobą. Był bezradny. Zaczął szukać pomocy. Za wszelką cenę chciał ocalić siebie, ale nie wiedział jak. I oto dowiaduje się, że gdzieś daleko od miasta, w którym mieszka, żyje w pięknym pałacu bogaty i wpływowy władca, który obok innych zalet

słynie z dobrego serca i gotowości do niesienia pomocy potrzebującym. Długo się Żyd nie zastanawiał i w te pędy udał się do owego władcy. Ten przez okno zobaczył, że jakiś Żyd kręci się po dziedzińcu. Polecił sługom zawołać go. Wchodzi Żyd do pałacu, staje przed obliczem władcy i z miejsca chce opowiadać o swoim zmartwieniu. Wysłuchał go władca i serce wezbrało mu litością. A władca ma wpływy. Potrafi, jeśli chce, wiele dobrego zrobić. Wtem Żyd ze wzruszenia zaczyna się plątać. Zaczyna pleść o rzeczach, które nie mają związku z jego nieszczęściem. Słowem, zaczyna opowiadać bzdury. Takich głupot nie opowiada się nikomu, cóż dopiero takiemu panu. Słucha władca i dziwi się. Czego ten Żyd chce ode mnie? Jeśli przyszedł po to tylko, żeby mi pleść androny, to nie ma co tu robić.

Wyobraźcie sobie teraz, moi drodzy, że tym władcą jest Władca Wszystkich Światów, którego łaskawa ręka skora jest do niesienia nam pomocy. Do tego władcy przychodzi Żyd, żeby pomodlić się o łaskę dla swojej duszy. Jest rzeczą zrozumiałą, że Żyd powinien wtedy rozważyć każde słowo. Powinien uważać, żeby wszystkie jego słowa posiadały sens, żeby nie wypełniły uszu Boga bzdurami. Bóg przybliżył się do tych, którzy Mu ufają, którzy szczerze, z głębi serca do Niego się modlą. Oddala się natomiast od tych, którzy gadają głupstwa. Ich modłów nie słucha.

To, co wam powiedziałem, odnosi się do znaczenia modlitwy. Teraz chcę zwrócić waszą uwagę na znaczenie czytania Tory. Jeśli biedny nieszczęśliwy człowiek znajduje łaskę w oczach władcy, ten obdarza go miłością, pozwala mu przebywać w swojej posiadłości. Oprócz tego daje mu dokument, na mocy którego nikt nie może go z tej posiadłości usunąć. Co więcej, poleca podać treść dokumentu do wiadomości publicznej, żeby wszyscy wiedzieli, co się temu człowiekowi należy. Jest rzeczą jasną, że człowiek ten powinien wsłuchiwać się w każde słowo tego dokumentu, albowiem tylko na jego podstawie ma prawo przebywania w posiadłości władcy.

Człowiek ten jednak nie tylko nie wsłuchuje się w treść czytanego dokumentu, ale co gorsza, gada w tym czasie. Wynika z tego, że działa na własną szkodę, bo machnął ręką na to, co mu w nagrodę dali.

Drodzy moi bracia! Pan Bóg, obdarzywszy nas Torą, okazał nam wielką miłość. Tora właśnie jest tym dokumentem, na mocy którego zabezpieczone zostało istnienie naszego narodu. Dzięki Torze żyjemy na tym świecie. Kiedy otwieramy zwoje Tory w bóżnicy i czytamy na głos jej słowa, powinniśmy się w nie włuchiwać z bojaźnią, radością i dumą. A co my robimy? Wpadamy w jej słowa czczą naszą gadaniną. W ten sposób nie tylko lekceważymy dar Boga, ale obracamy w niwecz Jego słowa.

Niepotrzebne gadanie, jak wiadomo, niczego dobrego nie przynosi. Przez wzgląd na to, że post nas dzisiaj wyczerpał, że jesteśmy przytłoczeni bólem i nie czujemy już własnych rąk i nóg, postanowiłem zakończyć kazanie. My Żydzi, wybrany przez Boga naród, który pod Jego skrzydłami znalazł ochronę, powinniśmy dbać o cześć i honor synagogi. Ona bowiem zastępuje dawną naszą Świątynię Pańską. Szanujmy więc nasze modlitwy, które są serdeczną rozmową między nami a Wiekuistym, oby Jego imię było błogosławione. Wsłuchujmy się uważnie w słowa Tory, które są słowami Boga skierowanymi do Izraela. Ten, który czuwa nad modlitwą płynącą z ust każdego poszczególnego Żyda, przyjmie w swojej łaskawości nasze próby. Życzę wam i mnie, żebyśmy mogli wypełnić wszystkie nakazy Tory, amen.

I kiedy pocałowałwszy parochet, rabin obrócił się twarzą do tłumu, zauważyłem na niej smutek. Dwa chyba były powody jego smutku. Pierwszy, żeby tak rzec, był taki, że po każdym kazaniu rabin zawsze wpadał w stan depresji. Zawsze zdawało mu się, że jako znany i znakomity kaznodzieja mógł wygłosić lepsze i piękniejsze kazanie. Drugi powód był taki: na myśl o tym, że mógł użyć zbędnych

i niepotrzebnych słów, nie wypływających z miłości do Boga, ogarniał go smutek. W wiele lat potem dowiedziałem się od mojej drugiej żony, oby spoczywała w pokoju, że rabin po każdym kazaniu zwykł był ogłaszać powszechny post.

Słowo „post” przypomniało mi historię, którą usłyszałem od kantora, reb Chizkijaha. Otóż rodzice reb Chizkijaha przybyli do nas z kraju Aram Cowa*. Przedtem zaś mieszkali w Babilonii. Z jakiegoś tam powodu zmuszeni byli wędrować z jednego kraju do drugiego, zanim dotarli do Polski. Reb Chizkijah opowiedział mi, iż słyszał od swoich rodziców, że w tamtych krajach, skąd pochodzili, żyli wielcy mędracy, którzy w ciągu całego życia nie wypowiadali ani jednego zbędnego słowa. Podkreślałem z całym naciskiem, że mowa jest o całym życiu, a nie o dziesięciu dniach pokuty. W dni pokuty bywa i u nas w Polsce, że niektóre pojedyncze osoby trwają w milczeniu. Pozostali Żydzi z drzeniem w sercu starają się wtedy odgadywać i spełniać ich życzenia.

Szames opowiedział również jeszcze jedną historię zasłyszaną od reb Chizkijaha. W kraju Aram był mianowicie pewien tragarz imieniem Benjamin, który podczas pracy, nawet kiedy zachodziła potrzeba, nie wymawiał ani jednego zbędnego słowa. Zasłużył sobie ten Benjamin po śmierci na większą świecę pamięci niż najwięksi mędracy w kraju. Nad jego grobem człowiek, który odprawił hesped, powiedział, że zmarły spoczywać będzie w Bogu, że w Jego ramionach znajdzie przystań. Na te słowa rabin miejski wpadł w gniew. Tejże nocy usłyszał we śnie, że ciało Beniamina zostanie pożarte przez wilka. Przerażony, zebrał dziesięciu Żydów, udał się na grób Beniamina i poprosił go o wybaczenie.

* *Aram Cowa* — starożytna nazwa krainy w północnej części Izraela.

Słowa szamesa wywołały zdumienie wśród mieszkańców Buczacza. Rozmowy mają tę zaletę, że zbliżają ludzi i odganiają troski. Zupełnie inaczej ma się rzecz, kiedy ludzie milczą. Milczenie jest oznaką smutku.

I zaraz ludzie zaczęli rozmawiać, dyskutować. Każdy na swój sposób i według własnego stylu. Doszło do tego, że mogli zapomnieć o całej historii. Może samą historię zapamiętaliby, ale o morale z niej wynikającym na pewno by zapomnieli.

W serce szamesa wkradł się niepokój. On, który zawsze miał usta zamknięte, otworzył je teraz szeroko. Dał słowom upust. Karcącym wzrokiem zmierzył rozgadanych Żydów, ale ci nie zwrócili na to żadnej uwagi i dalej gadali. Szames energicznie przerwał ich rozkołysane gadulstwo oświadczając: po tym, coście ode mnie usłyszeli, chyba rozumiecie już, że wyprasząc z synagogi tamtego człowieka, kierowałem się nie brakiem szacunku dla niego, ale litością. Świadomie bowiem wziąłem na siebie grzech „znieważenia bliźniego na oczach ludzi”. Jeśli uważacie, że należy mi się kara za to, proszę mnie osądzić, ja zaś każdy wasz wyrok uznam na sprawiedliwy i przyjmę go.

Ludzie po tych słowach na nowo zaczęli sprawę rozważać. Chcieli wyciągnąć z niej właściwy morał. Morał zaś sam się nasuwa: jeśli modlitwa płynie z głębi serca, Bóg ją w swoim wielkim miłosierdziu zawsze przyjmie. Jeśli dzisiejszy Żyd z całą powagą i szacunkiem odniesie się do czytania Tory, osiągnie poziom duchowy owych Żydów, którzy u stóp góry Synaj ją przyjęli. W takim razie mam pytanie: Jak my postępujemy? Usta człowieka stworzone zostały do głoszenia chwały Boga i co się okazuje? Usta wasze mówią głupstwa, uszy zaś stworzone do słuchania słów Tory odbierają bzdury.

Z serc słuchaczy wyrwały się westchnienia. Jedne przepojone były bólem, drugie strachem. Ludzie zdawali sobie spra-

wę, że jakkolwiek by się wystrzegali rozmów podczas modlitwy i czytania Tory, to zawsze zdarzy się tak, że przy najlepszej woli człowiek nie potrafi się powstrzymać od niepotrzebnego odezwania się. Czasami zdarza się, że wybuchnie śmiechem w chwili, kiedy kantor fałszywie zaśpiewa albo baal kore niewłaściwie zaakcentuje jakieś słowo. Bywa też, że ludzie z fałszywie pojmowanej bojaźni Boga żądają od baal kore powtórzenia już raz przeczytanego słowa. A potem często wybucha spór na temat, czy słusznie zlecono mu powtórzenie słowa.

A kiedy baal kore czyta słowo po raz drugi, wcale go nie słuchają. Dalej się sprzecniają i przeszkadzają innym w słuchaniu. Prawo nasze nakazuje odczytać następnej soboty obok właściwego fragmentu również ten fragment Tory, który został pominięty w poprzednim tygodniu. Wypływa z tego wniosek, że należy bardzo dokładnie uważać przy czytaniu Tory, żeby niczego z jej słów nie przepuścić. W rzeczywistości jednak nie ma soboty, żeby wskutek rozgadania się ludzi wiele słów Tory nie poszło na marne.

25

Ostatnie słowa wryły się głęboko w umysły wielu obecnych w synagodze. Oświadczyli, że chociaż wiedzieli, że jest grzechem rozmawiać podczas modlitwy i czytania Tory, ale nie zdawali sobie sprawy, że grzech ten jest aż tak ciężki. Zobowiązali się w przyszłości więcej go nie popełniać. Poszli nawet dalej, gdyż postanowili, iż po przekroczeniu progu synagogi nie będą rozmawiali przez cały czas trwania nabożeństwa. Muszę przyznać, że powzięte zobowiązanie wypełnili. Co więcej, niektórzy nawet na ulicy i w domu przestali mleć ozorem po próżnicy. Nie ma bowiem większego dla człowieka wroga od własnego niewyparzonego języka. Człowiek, który mówi niepotrzebne rzeczy, musi je potem odwo-

łać albo zaprzeczyć i wtedy grzęźnie w kłamstwie. I kto jest winien temu, że dał folgę językowi?

Tymczasem ze względu na to, że głównym moim celem jest podkreślenie wagi Tory i modlitwy, wróć do sprawy, o której mówił szames.

Ludzie otoczywszy szamesa zwartym kołem, zasypali go gradem pytań. Różne były pytania. Mądre i głupie. Padło na przykład pytanie, czy jeśli zbyt dużo ludzi pójdzie naraz do piekła, zmniejszy się powierzchnia oddzielająca jednego do drugiego. Zapytano go również, czy był w piekle nazajutrz po Jom Kipur i czy po twarzach grzeszników poznał, że zostali oczyszczeni, wiadomo bowiem, że po odbytej w Jom Kipur pokucie oba światy zostają oczyszczone. Ktoś zapytał go, czy widział w piekle anioły, jest bowiem napisane, że Bóg nie toleruje aniołów, którzy zgrzeszyli. Jeśli tak jest, ktoś inny chciałby wiedzieć, czy odebrano aniołom skrzydła. Skoro mowa o skrzydłach, to ciekawe, czy ogień piekielny władny jest je spalić. Jednym słowem, pytań było mnóstwo, albowiem ludzie w synagodze nie zdążyli się jeszcze uwolnić od nadmiernego gadulstwa.

Jak to jest — padło pytanie — że w piekle sąd nad grzesznikami odbywa się na okrągło w ciągu dwunastu miesięcy roku? Przecież uczono nas, że po upływie dwunastu miesięcy od chwili śmierci ciało człowieka rozpada się, przestaje istnieć, a jego dusza ulatuje ku niebiosom, żeby już więcej na dół nie wracać. Jakże więc można wytłumaczyć fakt, że grzesznicy stojący przed sądem mają tałesy na ciele? Może dlatego, że światło piekielne nie ma władzy nad uczonymi w Piśmie? Słowem, pytania sypały się jak z rogu obfitości. Ludzie, jak widać, nie przyswoili sobie jeszcze cnoty oszczędzania słów.

Nie na wszystkie pytania szames miał gotową odpowiedź i nie ze wszystkiego, co widział w piekle, zdał relację. Zresztą człowiek nie powinien powierzać ustom tego wszystkiego, co oczy widziały. A jeśli już powiedzieć wszystko, to jednak nie

do końca. Chyba, że w grę wchodzi jakiś wzniosły szlachetny cel, jak na przykład namawianie człowieka do skruchy i pokuty. W takim wypadku namawianie jest zbożnym uczynkiem, jest micwą. Słowem, jeśli nie ma naglącej potrzeby, nie należy dużo gadać. Nasi mędracy zresztą zdążyli nam dokładnie wyjaśnić, co jest dobre i czego chce od nas Bóg, my zaś, naród Boga, chętnie spełniamy to, czego On chce. W każdym pokoleniu pojawiają się siły, które starają się powstrzymać nas od spełnienia dobrych uczynków, zwłaszcza zaś takich uczynków, jakie danemu pokoleniu są najbardziej potrzebne. I gdyby Wiekuisty w porę nie otwierał nam oczu, to byśmy utracili grunt pod nogami, fundament, na którym trzyma się nasze życie. Czasem Bóg udziela nam wskazówek za pomocą znaków, a czasami poprzez konkretne czyny. Czasami wskazuje nam drogę w prostym świetle, a czasami w załamany światło. Gaon, przewodniczący Sądu, błogosławionej pamięci rabi Mojsze postanowił udać się do piekła po to, żeby uzyskać zwolnienie swojej krewnej od ciężaru aguny. Szamesa zaś wziął z sobą po to, żeby mu latarką oświetlał drogę. W końcu okazało się, że wyzwolenie aguny przyszło z zupełnie innej strony. Szames zrelacjonował nam to dość dokładnie. Dodatkowo opowiedział nam również, jaka piekielna kara czeka człowieka, który za życia rozmawiał podczas modlitwy i czytania Tory.

Chciałbym, żeby ta historia nie została potraktowana jak miła uchu bajka. Rozumiem, że potraktowanie poważnej historii jako bajki sprawia człowiekowi przyjemność, ale niejednego już taka przyjemność zawiodła. Szczęśliwy jest człowiek, jeśli przyjemność uszlachetnia go, uwzniośla. I dobrze jest człowiekowi, jeśli wzniosłość staje się jego przyjemnością.

26

Po raz nie wiadomo już który miasto Buczacz przekonało się, że człowiekowi czyniącemu dobro odpłacają często złem.

Tak było z szamesem. On uratował człowieka od piekła, a jego samego mieszkańcy miasta chcieli usunąć z posady. Wyświadczył przysługę nie tylko jednemu człowiekowi, ale wszystkim mieszkańcom, albowiem unaoczniał im, jaka kara czeka człowieka za grzech często popełniany przez wielu Żydów naszego miasta. Uprzytomnił zebranym, że od tego grzechu nie są wolni również uczeni w Piśmie, którzy powinni świecić nam wszystkim przykładem. Wielu spośród uchodzących na tym świecie za cadyków sądzonych jest na tym świecie jako skończeni grzesznicy. Zostawmy jednak tych fałszywych cadyków i przejdźmy z powrotem do głównego wątku opowiadania.

W końcu mieszkańcy Buczacza przeprosili szamesa. Jedni uczynili to słowami, drudzy czynami. Ci, którzy zwykle dużo gadali, nie żalowali słów, żeby go przeprosić. Ci zaś, którzy zawsze więcej czynili niż gadali, udzielili mu satysfakcji w postaci dobrych przysług. Pierwszą osobą, która przeprosiła szamesa, był teść owego mężczyzny, którego szames za rozmawianie w czasie nabożeństwa wyprosił z synagogi. Bogacze z Buczacza mają tę zaletę, że pieniądze nie przeszkadzają im patrzeć prawdzie w oczy. Nie dają się zwieść pysze, żeby twierdzić, że prawda jest wtedy dobra, kiedy im służy. Przeciwnie, chętnie dają posłuch ludziom, którzy nie wahają się wyrznąć im prawdę w oczy. Odczuwają nawet wtedy ogromne zadowolenie, ponieważ ponad wszystko cenią prawdę. Nie ma większej od prawdy zalety. Tę zaletę posiadał wśród naszych proroków Jakub. Jest bowiem napisane: „Dasz prawdę Jakubowi”. Bogacz przeprosił szamesa nie tylko słowami: posłał mu dzban rodzynkowego wina, żeby miał nad czym odprawiać kidusz w święta i soboty. W ślady teścia poszedł również zięć. Z niekłamaną skruchą w sercu przeprosił szamesa. Po nim podeszli do szamesa Żydzi znani z pobożności i uczciwości, a za nimi pozostali. Jedni prosili go, żeby puścił w niepamięć słowa, które wypowiedzieli byli w gniewie i złości, kiedy zażądali jego dymisji. Niektórzy

poprosili go, żeby uznał ich gniewne słowa za niebyłe. Byli też tacy, którzy całą winę zwalili na rozpanoszone w mieście gadulstwo. Znaleźli się również Żydzi, którzy zaczęli głośno przed nim zachwalać cnotę milczenia, a że nie odwykli jeszcze od gadulstwa, nie skąpili słów w wychwalaniu zalety milczenia i potępienia wady gadulstwa.

Gdybyśmy chcieli przytoczyć wszystkie wygłoszone wtedy słowa, nie byłoby końca tej historii. Ograniczę się więc do przytoczenia jednego głosu: Grzech gadulstwa odnosi się do wszystkich dni w roku. Nie ma różnicy, czy jest to poniedziałek, czwartek, sobota czy niedziela, wtorek, środa czy piątek, chociaż w niektóre dni nie czyta się Tory. W poniedziałek, czwartek i sobotę, w dni nawiązujące do trzech naszych praojców, czyta się Torę. Pozostałe natomiast cztery dni tygodnia odnoszą się do naszych pramatek, a jak wiadomo, micwa Tory kobiet nie obowiązuje. I jeszcze jedno. Jeśli podczas modlitwy lub czytania Tory nagle wpada człowiekowi do głowy jakieś nowe objaśnienie tekstu, jakiś nowy pomysł, powinien się powstrzymać od wyrażenia go słowami. Nie wolno wszczynać rozmowy. Król Salomon, oby spoczywał w pokoju, był najmądrzejszym człowiekiem i wziął sobie za żony kobiety z obcych narodów. Jak to wytłumaczyć? A to dlatego, że Salomon dostrzegł w kobiecie iskrę czystości i zapragnął zniszczyć grzech, ale okazało się, że kobiety jego samego wciągnęły w sieć grzechu. Tak się dzieje w człowiekiem pragnącym drugiemu człowiekowi powiedzieć dobre słowo, które właśnie wpadło mu do głowy podczas modlitwy lub czytania Tory. I czym to się kończy? Oby Bóg uchronił nas od takiego końca.

27

I ludzie nie ruszyli się z miejsca, dopóki nie powzięli uroczystego zobowiązania, że w przyszłości nie będą już

rozmawiali podczas nabożeństwa. Od pierwszych słów modlitwy aż do końca. Tak samo podczas czytania Tory. Niektórzy nawet postanowili milczeć w przerwie między modlitwą poranną a dodatkową, kiedy czyta się Torę i obdarza się poszczególnych Żydów zaszczytem alijah. Wtedy zamawia się błogosławieństwo na intencję wybranej osoby. Za to błogosławieństwo zwane „Mi szebejrach” ofiarowuje się pieniądze. Z tych opłat pochodziły między innymi dochody synagogi. Milczenie oznaczałoby ich utratę. Ale nasi mędracy znaleźli wyjście, znaleźli uzasadnienie: „Strata wyrównana zostaje zyskiem”. Wchodzi człowiek na bimę, żeby odczytać fragment Tory, Stojąc nad Torą powinien wsłuchiwać się całym sercem i umysłem w jej słowa, a tu w głowie kołacze mu myśl, dla kogo ma zamówić błogosławieństwo i jaką sumę ma zadeklarować na rzecz synagogi. Niepokoi się, czy wymienił właściwe imię osoby, dla której zamówił błogosławieństwo. Czy nie poplątał czasem imion. Już nie wie, czy był to Fajwel, czy Fajwisz, Berł czy Kopel, czy zgoła Szmerł. Powszechne imiona zamiast świętych imiom wymienionych w Torze. A w Torze każde słowo jest świętą nazwą. Bywa często, że ktoś omyłkowo wymienia imię człowieka, którego wcale nie zamierzał obdarzyć błogosławieństwem, a czasami zapomina, jak się nazywa człowiek, dla którego chciał zamówić błogosławieństwo. Ten, którego imię wymieniamy, myśli sobie: no cóż, on widocznie uważa, że za te dwanaście groszy, które deklaruję za moje błogosławieństwo, wyświadcza mi ogromną przysługę. Ja go nie lubię, bo nie znoszę lizusów. Ten zaś, którego imienia nie zgłosił do błogosławieństwa, myśli sobie tak: cóż to za niewdzięcznik! Kiedy jest w biedzie, od razu przychodzi do mnie po pomoc, a teraz zamawia błogosławieństwo dla kogoś innego. O mnie nawet nie pomyślał. Z tego powodu powstaje nienawiść, rodzi się zazdrość. Ale co robić? Synagoga w pewnej mierze utrzymuje się z płatnych błogosławieństw. Jaka może być na to rada? Niech każdy Żyd, który pragnie ofiarować datek na rzecz

synagogi, robi to po zakończeniu czytania Tory. Dobrze będzie, jeśli Żyd stojący na bimie przed zwojem Tory nie wymieni słowa „pieniądze”, aczkolwiek sama moneta jako taka jest koszerna, to jednak nazwa „pieniądz” kojarzy się z pogaństwem albo z imieniem króla, który nie jest koszerny.

Mówiąc o zapłacie za błogosławieństwo wymieniłem liczbę dwunastu groszy. Chciałbym przeto przedstawić wam, jaką one miały wartość. Dzisiaj, kiedy sto groszy warte są jednego dawnego grosza, człowiek deklaruje datek za błogosławieństwo w wysokości osiemnastu groszy. Osiemnaście po hebrajsku określa się literami „ch” i „j”. „Ch” = 8 i „j” = 10. Razem czyta się je „chaj” — żyje. Dawniej, kiedy pieniądz posiadał większą wartość, ofiarowywano za błogosławieństwo dwanaście groszy w nawiązaniu do dwunastu żydowskich plemion. Biedacy deklarowali tylko trzy grosze w nawiązaniu do trzech praojców albo dwa grosze w nawiązaniu do dwóch tablic Mojżeszowych.

Wracam jednak do głównego wątku. Wszyscy obecni w synagodze powzięli uchwałę, że od dzisiejszego dnia szames będzie stał na bimie i z jej wysokości będzie obserwował modlących się Żydów. Jeśli zauważy, że ktoś rozmawia, ma uderzyć w stół, żeby go przywołać do porządku. Ma tak postępować w stosunku do każdego Żyda bez względu na jego pozycję społeczną, bogactwo czy wykształcenie. Do uderzenia służyć mu będzie pralnik, jakiego używają kobiety przy praniu bielizny, oraz gruba księga złożona z pustych kartek. Co do kantora, to ma odmawiać błogosławieństwo tylko dla tych Żydów, którzy nie rozmawiają w czasie nabożeństwa. Ten zwyczaj wprowadzili kiedyś nasi ojcowie w pierwszą sobotę po osiedleniu się w Buczaczu. Miasto było wówczas małą osadą, którą w późniejszych latach rozbudowali Żydzi. Ten rodzaj błogosławieństwa przynieśli z sobą nasi ojcowie z Nadrenii. Ustalili go tamtejsi wielcy uczeni owych czasów, jak rabi Gerszon, zwany światłem diaspory, rabi Szymon o przydomku Wielki, rabi Meszulam, syn gaona Klonimusa, oraz wielu innych mędrców

z Niemiec. W celu nadania temu postanowieniu mocy prawnej polecono soferowi wpisać je do pinkasa, czyli kroniki gminy. Na kartach tej kroniki znalazła się też cała historia, którą wam przedstawiłem.

Słowa utrwalone w księgach silniej działają na serce i umysł. Sofer nie zwlekał i po krótkim czasie przelał wszystko na papier. Ze względu na wagę, jaką przywiązywał do tej historii, rozpoczął jej pisanie od nowej, czystej kartki. Bał się, że może się zgubić wśród innych zapisanych historii.

Kiedy szanowniejsi obywatele miasta przeczytali zapisaną w kronice historię, doszli do wniosku, że należy ją podać do wiadomości całemu światu. Postanowili, że ilekroć ktokolwiek z nich znajdzie się poza Buczaczem, ma ją wszem i wobec głosić. Jeśli stwierdzi, że ktoś z modlących się w synagodze Żydów zaczyna rozmawiać podczas nabożeństwa, ma natychmiast mocno zareagować. Niech się przy tym nie boi, że gadatliwy Żyd może go w swojej bezczelności obrazić. Tacy zuchwalcy przeminą, a słowa Boga pozostaną na wieki.

I cała ta historia została zapisana w kronice przez sofera pięknym stylem i wspaniałym językiem, używanym w Buczaczcu od czasów powstania miasta. Była to hebrajszczyzna wzorowana częściowo na Torze oraz na języku używanym przez mędrców Zakonu. Słowem, był to język jędrny, zrozumiały i żeby tak rzec, słodki.

Notable miasta pokazali kronikę miejscowym maskilom, czyli oświeconym. Maskile w Buczaczcu jako też w całym Królestwie Polskim byli ludźmi mądrymi i wykształconymi w pełnym znaczeniu tego słowa. Maskil z drogi prowadzącej do Boga nie schodził. Co więcej, zajmował się nieustannym poszukiwaniem Boga. Po zapoznaniu się z treścią kroniki maskile stwierdzili, że sofer wykonał swoją robotę w sposób mądry, umiejętny i zgodny z wymogami gramatyki. Jeden maskil otwarcie wyraził swoje uznanie, drugi kiwnął głową na tak, a trzeci zaczął trochę kręcić. Trochę na tak i trochę na nie. Tak jak to bywa na świecie. Jednemu się podoba,

a drugiemu nie. W końcu i on stwierdził, że wszystko, co sofer napisał, jakby wykute zostało z *Księgi Genesis*.

Potem sofer jeszcze raz wziął do ręki napisany przez siebie tekst. Przejrzał go raz i drugi, zastąpił jedną poetycką przenośnię drugą, chyba lepszą. Czasem przy powtórnym czytaniu tekstu pisarz odkrywa nowe obrazy i nowe słowa. Pisarz, zanim znajdzie najlepsze i najodpowiedniejsze słowo, musi się sporo natrudzić i kiedy już znajdzie to stosowniejsze słowo, wydaje mu się, że jest jeszcze lepsze, bardziej stosowne i piękniejsze słowo. I gdyby Niebo nie okazało mu swego miłosierdzia, nasz sofer dalej by trwał w poszukiwaniu właściwych słów. Jeśli sofer jest głupi, wydaje mu się, że udało mu się znaleźć to najwłaściwsze słowo. Jeśli natomiast jest mądry, to zdaje sobie sprawę, że najlepsze i najwłaściwsze słowa zawarte są w Biblii w *Księdze Proroków* i *Pismach*. Im mocniejszy jest pisarz w hebrajszczyźnie, tym bardziej odczuwa strach przed popełnieniem językowego błędu.

Dlaczego człowiek w każdym innym języku światowym potrafi bez specjalnych trudności mówić i pisać, w hebrajskim zaś ma kłopoty? Dlatego, że w świętym języku hebrajskim każde słowo zawiera w sobie intencjonalne znaczenie, ma znaczenie również porządek, w jakim ułożone zostały słowa. Wszystkie bowiem języki świata ułożone zostały przez ludzi, natomiast hebrajski jest językiem, w którym Bóg dał Żydom Torę. Za pomocą hebrajskich liter zbudowany został świat i tak jak w Torze nie ma słowa, które by nie miało intencjonalnego znaczenia, tak na świecie nie ma rzeczy zbędnej i bez znaczenia. Wszystko bowiem stworzone zostało z woli Boga i według ustalonego przez Niego porządku. Tak ma się rzecz ze świętym językiem, który nie zawiera ani jednego zbędnego słowa i ani jednego zdania, które by nie figurowało na właściwym miejscu.

Po naniesieniu należnych poprawek sofer przepisał na nowo całą znaną nam historię. Napisał to literami stosowanymi u nas w Buczaczu od chwili powstania miasta. Wycy-

zelował każdą literę z osobna. Wszystkie umieścił w jednej linii podobnie do ludzi stojących w jednym uporządkowanym szeregu podczas cichej modlitwy. I chociaż jeden człowiek jest wysoki i wystaje jak litera „łamed”, a drugi jest mały jak litera „jod”, to jednak wszyscy podczas tej modlitwy myślą o jednym.

Gdyby kronika ta nie spłonęła, moglibyśmy dzisiaj z niej wyczytać całą tę historię. Była bowiem rzetelnie napisana. Każde zawarte w niej słowo było właściwie dobrane. Tak pisali ongiś nasi ojcowie, których dusze przepojone były wiarą, umysły mądrością. Tak zresztą było u nich ze wszystkim, co robili, myśleli i pisali.

Kroniki już nie ma. Padła ofiarą pożaru. Miasto Buczacz uległo zagładzie i tysiące jego mieszkańców zostało zamordowanych. A najskromniejszy, najmniej znaczący z mieszkańców Buczacza był większy od wielkich i znaczących przywódców innych narodów, albowiem ci wielcy widzieli, jak pojawił się straszny potwór z zamiarem zniszczenia świata, i zostawili mu swobodę działania.

Wielu mieszkańców Buczacza zostało żywcem pogrzebanych w rowach, które sami przez rozstrzelaniem musieli wykopać. Wielu z nich w ogóle nie zostało pogrzebanych. Ich ciała okrutny wróg ułożył w stosy i podpalił. Ciało przy ciele. Na żer płomieniom.

A że kronika miasta spłonęła i miasto Buczacz zostało zgładzone, i wskutek dzisiejszych nieszczęść ulegają zapomnieniu dawne dzieje, pomyślałem sobie w duchu: Nie! Nie można dopuścić, aby piekło dnia dzisiejszego wyrzuciło z naszej pamięci piekło widziane przez szamesa. Musimy też z całej tej opowiedzianej historii wyciągnąć właściwe wnioski. Bez tego świat może znowu będzie taki, jakim był. I znowu kantor będzie stał przed pulpitem, a jakiś tam Szmerł będzie stał po jego lewej stronie i ucinał gadkę. I będzie gadał również Kałmen i Załmen, i Fajwł, i Trajtł, a inni nastawią uszu, żeby coś z ich gadania usłyszeć.

Z tego względu postarałem się to wszystko opisać w książce, żeby za jej pomocą przypomnieć światu świętą gminę żydowską, która poprzez zagładę uświęciła swoje życie. Tak uświęcili nasi ojcowie swoje życie poprzez Torę, która jest źródłem i warunkiem naszego istnienia.

I uznaję to za łaskę, jeśli dzięki mnie obudzi się i ocknie mieszkaniec Jerozolimy, bo zauważyłem, że w tym świętym mieście, w którym znajduje się brama prowadząca do niebios, przez które przechodzą wszystkie modlitwy do Boga, siedzą w sunagogach ludzie i rozmawiają podczas modlitwy i czytania Tory. Powiedziałem wtedy do mego pióra: „Czy chcesz razem ze mną opowiedzieć tę historię?” I pióro odpowiedziało: „Użycz mi twego języka, a ja tę historię opiszę”. Użyczyłem mu języka i oto cała historia znalazła się na papierze.

I oby mój trud nie poszedł na marne. Oby każdy z modlących się nałożył w czasie nabożeństwa kaganiec przeciw zbędnym słowom. Niechaj każdy czci Stwórcę, niech każdy Go chwali z bojaźnią w sercu podczas modlitwy i czytania Tory, w święto, sobotę i w dni powszednie.

Wtedy wszystkie modlitwy, prośby i myśli dojdą do Pana Świata, który w swojej łaskawości życzliwie je przyjmie.

W ten sposób zakończyłem tę historię, tę przypowieść z morałem.

Praca

1

Wielki cadyk przybył pewnego razu do wsi. Zatrzymał spotkanych ludzi i pyta, gdzie tu można przenocować? Odpowiadają mu: „Mieszka tu pewien Żyd, idź do niego, on cię na pewno przyjmie”. Pokazali mu dom owego Żyda i cadyk wstąpił do niego.

Stał w progu i od razu zapytał: „Czy mogę tu przenocować?” Czemu nie? — odpowiada gospodyni. Zaprasza go do stołu, podaje jedzenie i ścieli mu łóżko. Cadyk pyta ją: „A gdzie jest gospodarz?” Mój mąż — odpowiada gospodyni — jest jeszcze w pracy. Lada chwila powinien przyjść.

Poczuł cadyk zapach świętości wypełniającej mieszkanie. Zrozumiał, że gospodarz domu jest człowiekiem świętym. I serce wypełniło mu się radością, iż Bóg zaprowadził go do tego domu, a w głowie zakolatała myśl: „Posiedzę tu sobie i popatrzę na to, co gospodarz robi”.

Przyszedł gospodarz. Odstawił narzędzia pracy i odmówił modlitwę. Umył ręce, zjadł kolację, odmówił stosowne błogosławieństwo i położył się spać. I nie widać było ani z modlitwy, ani z zachowania, ani z tego, co robił, aby przejawiał cechy właściwe świątobliwym mężom. Dziwował się cadyk: Skąd się bierze ten zapach świętości? Zaczął się nad tym głęboko zastanawiać: „może gospodarz należy do tych utajonych cadyków, którzy ukrywają przed ludźmi swoje uczynki?” Myśli i postanawia: „kładę się niby do snu i będę udawał, że śpię, zobaczę, co on w nocy robi”. Leży więc w łóżku i oczy ma otwarte, przez całą noc obserwuje gospodarza. Widzi, że ten śpi twardym snem strudzonego pracą człowieka. Nawet nie wstał o północy, aby odmówić modlitwę chacot. Myśli sobie cadyk: „udało mu się w nocy ukryć przede mną, podpatrzę go w dzień”.

Następnego dnia rano gospodarz wstał, umył ręce i twarz i pomodlił się. Specjalnych ceremonii przy modlitwie nie urządzał. Pomodlił się zwyczajnie, jak to czyni zwykły, prosty człowiek. Po modlitwie zjadł śniadanie, wziął narzędzia pracy i wyszedł z domu. Cichutko za nim podążył cadyk.

Widzi, że gospodarz podchodzi do góry, wykopuje z niej kamienie i rozbija je na małe kostki. W czasie pracy nie podnosi głowy i nie rozgląda się dookoła. Oczy ma utkwione tylko w kamieniach, które rozbija.

Podchodzi wtedy do niego cadyk i pyta: „czy na tym polega twoja praca?” Skinieniem głowy odpowiada mu gospodarz. Cadyk zadaje na nowo pytanie: „czy z tej pracy możesz się wyżywić?” „Majstrowie budowniczy z naszego miasta — odpowiada zapytany — cenią moje kamienie i dobrze mi za nie płacą”.

2

Pobyl cadyk w domu kamieniarza dzień, dwa i trzy i po trzech dniach nie zobaczył więcej od tego, co widział pierwszego dnia. Zastanawia się więc i zadaje sobie pytanie: „czy dlatego, iż rozbija kamienie na potrzeby budownictwa zasłużył na to, aby jego dom był święty?”

Wdaje się w rozmowę z kamieniarzem i pyta: „Co ty robisz w pozostałe dni?” To samo — odpowiada zapytany — co widziałeś przez trzy dni, to samo co dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj.

Myśli sobie cadyk: „Faktycznie tak jest. Mówi prawdę. To się widzi”. Codziennie rano po modlitwie i śniadaniu gospodarz idzie do góry, kopie kamienie, rozłupuje je na równe kostki, po czym, przychodzą ludzie, zabierają je do miasta i wypłacają mu należność za nie. Wieczorem wraca do domu, odmawia wieczorną modlitwę, zjada kolację i kła-

dzie się spać. Tak było wczoraj, tak było przedwczoraj i tak było przed trzema dniami.

Powiada do niego cadyk: „Zbliżają się Straszne Dni pokuty, gdzie się będziesz modlił?” Odpowiada mu kamieniarz: W Rosz Haszana i w Jom Kipur udaję się do miasta i modłę się w beit hamidraszu. Dowiaduje się cadyk, że kamieniarz będzie się modlił w święta w jego mieście i w jego beit hamidraszu, więc natychmiast przychodzi mu do głowy: Skoro tak, to będę miał okazję zobaczyć, co on robi w Rosz Haszana i w Jom Kipur.

A kiedy nadeszło święto Rosz Haszana, zobaczył go w beit hamidraszu. Stał przy drzwiach wejściowych i modlił się razem ze stojącymi tam prostymi ludźmi. A modlił się zwyczajnie. Tak było w Rosz Haszana i tak było w Jom Kipur. Zwraca się cadyk w duchu do Boga: „Władco Świata, czym zasłużył się ten człowiek, że ściany jego domu wydzielają zapach świętości?”

W wieczór kończący Jom Kipur cadyk zapytał o to w niebie i otrzymał odpowiedź: „świętość kamieniarza polega na jego pracy, którą wykonuje z wielkim poświęceniem i z dużą wprawą i nie dopuszcza wtedy do siebie żadnej innej myśli. Świadczy to o tym, że osiągnął wysoki stopień doskonałości”.

I pełen zdumienia cadyk zapragnął znowu zobaczyć się z kamieniarzem. Pomyślał: „Oto zbliża się święto Sukot. Z pewnością przyjdzie się pomodlić w miejskim beit hamidraszu”. Na dzień przed świętem stał przed bóżnicą i czekał, aż pojawi się kamieniarz. Kiedy zrobiło się późno, a ten nie przyszedł, cadyk wziął lulaw* i cytron i udał się do niego na wieś.

Kiedy cadyk przyszedł do niego, kamieniarz ze złością w głosie zapytał go: „Dlaczego pytałeś o mnie w niebie?” „Poczułem — odpowiada cadyk — w twoim domu zapach świętości i z tego, co widziałem u ciebie, nie mogłem zrozu-

* *Lulaw* — gałąź palmowa lub upleciona z mirtu i wierzby, którą w święto Sukot nosi się w procesji wokół synagogi.

mieć, skąd się wziął. Zapytałem więc w niebie, na czym polegają twoje zasługi”.

Kamieniarz wtedy oświadczył: „Od tej chwili nie mogę już więcej pozostać na tym świecie”.

Pochylił cadyk nisko przed nim głowę i powiedział: Człowieku, udziel mi swego błogosławieństwa. I kamieniarz po-błogosławił go, po czym pożegnał się z nim.

I kiedy tylko święto dobiegło końca, zanieśli trumnę z kamieniarzem na cmentarz.

Wytwórca octu

Gdzieś tam, w małym polskim miasteczku mieszkał pewien stary Żyd, wytwórca octu. Pochodził ze starej, od wielu pokoleń zajmującej się handlem winem rodziny, która z biegiem czasu tak zubożała, że z całego bogactwa pozostało jej kilka połamanych beczek, część domu i sporo kwaśnego wina. Nie miał Żyd w tym domu dobrego życia, żona odumarała go, kiedy dzieci były jeszcze małe, a kiedy zdążyły dorosnąć, wcielone zostały do wojska i jako żołnierze zginęły potem na polu bitwy. Mieszkał Żyd tedy sam i zajmował się wyrobem octu. Pięć dni w tygodniu wykonywał swoją pracę, aby w piątek napęłnić wiadro octem i udać się z nim do miasta. Wiele razy zastanawiał się: po co ja to wszystko robię? Przez pięć dni wyrabiam ocet, aby go sprzedać w mieście, po czym wracam do domu i znowu robię ocet, aby znowu go sprzedać. I wszystko po to, aby podtrzymać przy życiu moje niefortunne ciało. Gdyby żyła żona, gdyby żyły dzieci, starałbym się utrzymać ich na przyzwoitym poziomie, ale teraz, kiedy zostałem sam, bez żony, bez dzieci, bez żywej duszy przy sobie, czemu pędzę, czemu ganiam?

Często tak wzdychał i tak opłakiwał swoje życie, że mu praca obrzydła do reszty. Tak dalece obrzydła, że już nie przywiązywał wagi do nakładania tałesu i tefilin. A że w sercu tliła mu się iskierka miłości do Erec Israel*, postanowił tam pojechać, miał bowiem nadzieję, że jeśli mu się uda wyjechać, to znajdzie tam odpocznienie. W tym celu zaczął zbierać pieniądze, zaczął oszczędzać i odejmować sobie od ust tak dalece, że przestał kosztować owoce, z których wy-

* *Erec Israel* (Ziemia Izraela) — nazwa kraju, w którym istniało państwo żydowskie. Tak Żydzi nazywali też Palestynę.

rabiał ocet. Zadowalał się kawałkiem chleba namoczonego w rozwodnionym piwie. Słowem, po prostu nie dojadał. W każdy poniedziałek i czwartek pościł. I tak przywykł do odżywiania się byle czym. W każdy piątek udawał się do miasta, aby sprzedać wytworzony w ciągu tygodnia ocet i po powrocie siadywał na kamieniu, wyjmował portfel i przeliczał zarobione pieniądze. Połowę przeznaczal na utrzymanie, połowę wkładał do takiej „skrzyneczki”, jaką goje w tej okolicy wystawiają na rozstajnych drogach.

Słyszałem, że był to człowiek uczciwy i prostoduszny, który nie miał pojęcia, czemu taka „skrzynka” służy. Słyszałem też, że w tej swojej uczciwości pomyślał, iż nie znajdzie lepszego miejsca na przechowywanie swoich oszczędności. Miedziane monety przeznaczył na wyżywienie, srebrne zaś na podróż do Erec Israel. Na wiadrze poczynił znaki w postaci rys i od tej chwili z radością zaczął pracować.

Dziwna rzecz — powiedział do siebie — dotychczas praca napawała mnie wstrętem, a teraz nie mogę się do niej odebrać. Ten sam ocet, te same naczynia i nie zauważam, jak dzień mija. W środku nocy zrywał się z pościeli, chwycił wiadro i razem z nim ruszał w płas. Tańczył aż do świtu, aż do czasu porannej modlitwy. A że zajęty był ciągłym liczeniem wyrytych na wiadrze znaków, aby móc ustalić, ile pieniędzy już włożył do tamtej „skrzynki” na rozstajnych drogach, zbyt przykładnie nie odmawiał już modlitwy. Przed Bogiem zwykle tak się usprawiedliwiał:

„Boże, Władco Świata, Ty przecież najlepiej wiesz, że wszystkie moje obliczenia mają na celu tylko wyjazd do Twego świętego kraju. Pozwól mi więc dotrzeć tam, a na miejscu odrobie dla Ciebie wszystkie zaległe modlitwy”.

Minęło kilka lat. Starzec nadal pilnie przykładal się do pracy, regularnie wyrabiał ocet na sprzedaż i dzielił zarobione pieniądze na dwie części: jedną na życie, drugą na koszty podróży. I tak w kółko, praca, sprzedaż i znowu praca, i znowu sprzedaż octu w mieście, i znowu rozdzielanie pieniędzy

na życie i na podróż, to znaczy na te, które mają być przechowywane w „skrzynce” na rozstajnych drogach. Tacy to już są ci prostoduszni ludzie. Przez długie lata potrafią wykonywać tę samą czynność i wytrwale przy niej stać. I znowu minęło kilka lat. Ze ścian jego domku zaczął opadać tynk. W dachu porobiły się dziury, w szczytowej ścianie powstały rysy. A kiedy nastąpiła pora deszczowa, woda zalewała go nawet pod kołdrą. A podatki rosły coraz bardziej. Jeżeli tak będzie dalej, państwo zabierze mu dom albo dom stanie się jego grobem. I occiarz leży sobie w nocy i wsłuchuje się w ciche odgłosy opadającego ze ścian tynku. A tynk dużymi kawałkami spada na podłogę. Ledwo słysząc, jak spadają, bo podłoga nasiąknięta jest wilgocią. Ale serce starca jak dzwon bije z radości, albowiem Bóg, oby Jego Imię było błogosławione, podtrzymuje jego duszę przy życiu i nie pozwala mu umrzeć poza granicami Erec Israel. Codziennie, kiedy tylko kur zapieje, wstaje z łóżka, myje ręce i twarz, zapala świecę i siada przy drzwiach. Owija się żałobną szatą i oplakuje diasporę. A kiedy widzi, ile rys wyłobit na wiadrze, wie już, ile ma pieniędzy w owej „skrzynce”. Bierze wtedy do rąk wiadro i palcami wystukuje na nim pochwalne pieśni. Potem kładzie jedną rękę na biodrze, podnosi drugą i głośno odlicza liczbę znaków na wiadrze, dwa, trzy, czterdzieści, pięćdziesiąt, sto, i znowu zaczyna tańczyć z radości. I tańczy nie jak ci, co w tańcu podskakują do góry, i nie jak ci, co miotają się z jednego kąta do drugiego, tylko jak ci, którzy kręcąc ramionami tańczą wokół siebie. I tak tańczyli aż do chwili, kiedy szames zaczyna wzywać do porannej służby Bożej. A kiedy głos wzywającego do służby Bożej szamesa nareszcie docierał do niego, zwykł był powiadać: no, trzeba iść się pomodlić, i wstydząc się niedawno okazywanej radości, brał tałas i tefilin. I jakże podarty jest jego tałas, bo przesiąknięty łzami, po prostu — gnije. Chwała Bogu, że jedzie do Jerozolimy, bo tam chowają nieboszczyków bez tałesu. Po modlitwie, jeśli tego dnia nie ma postu, macza kawałek chleba

w słabym piwie, językiem lekko dotyka ziemi, żeby nie wzbudzić w sobie apetytu na mięso i wino, i zabiera się do wyrabiania octu. Pięć dni robi ocet i w piątek nalewa go do wiadra, wyrusza do miasta i sprzedaje. Wróciwszy z miasta, dzieli zarobione pieniądze na dwie połowy: jedną na życie, drugą na koszty podróży. I kiedy nikt nie widzi, podchodzi do skrzynki i wsadza palec w jej szczelinę, rozdziera nici pajęczyny, która w ciągu tygodnia oblepiła ją, po czym wrzuca pieniądze przez oczyszczoną szczelinę do środka skrzynki. Naiwny był z niego człowiek, nieświadom, czym była skrzynka i czemu służyła. I wrzuciwszy monetę, nową ryse robi na wiadrze.

I tak minęły lata. Ciało ma już zgięte niczym szofar i kaszłąc pluje krwią. Ocet przez lata zdążył wyżreć mu płuca do połowy i oddychanie przychodzi mu z trudem. Częściej pości, niż je i ubranie ledwo na nim się trzyma, ale każdego piątku przybywa wiadru nowy znak. Już prawie nie ma miejsca dla następnych rys, już prawie pęka, a tu nastał już czas wyjazdu do Erec Israel, bo kiedy ostatniego piątku chciał wrzucić jak zwykle pieniądze do skrzynki, ta już była przepelniona. Póki jednak wiadro jest całe, ciężko jest rozstać się z nim. Pewnego dnia wlał do niego ocet i wiadro pękło. Nie słyszałem, aby potem miał jeszcze sprzedawać ocet, natomiast doszły mnie słuchy, że poszedł ostatni raz do skrzynki z figurą Męża na krzyżu. Wziął do ręki kamień, aby rozbić skrzynkę i wyjąć z niej swoje pieniądze. Słyszałem również, że tego właśnie dnia przyszli pod ową skrzynkę przybyli z Rzymu księża z zamiarem jej otworzenia. Tu zobaczyli starca w chwili, gdy stał z kamieniem w ręku. Pochwycili go i wsadzili do więzienia, a w całym mieście zakotłowało się jak w piekle.

Jedni mówili, że to koniec świata, że nie można już nikomu wierzyć. Drudzy mówili, że człowiek upodabnia się do swego zawodu. Tak jak ocet i wino starca stało się robaczywe, tak on sam stał się robaczywy. I jedni, i drudzy, spuszczać wobec tej

profanacji głowy ze wstydu, stwierdzili, że ocet zawsze pozostanie octem. Starzec siedział więc w więzieniu zakuty w żelazne kajdany. Ręce jednak miał tak chude, że kajdany go nie uwierały. Kiedy Bóg zsyła na człowieka nieszczęście, to razem z tym osładza mu gorzkość męki, aby mógł łatwiej znieść cierpienia. A kiedy w celi starzec potrząsał kajdanami, wypęły ze wszystkich kątów całe chmary robaków, tak że bał się leżeć i przez cały czas siedział trzymając głowę nisko pochyloną, jak to czynią ludzie podczas jazdy na wozie. W tej pozycji wytrwał aż do chwili, kiedy przyszli postawić go przed sądem. Sędzia zadał mu pytanie: Czy przyznajesz się do zamiaru rozbicia skrzynki?

Miałem — odpowiada — zamiar otworzyć skrzynkę, ponieważ leżące w niej pieniądze... nie zdążył dokończyć zdania, kiedy sędzia donośnym głosem oświadczył, że oskarżony przyznał się do tego, że chciał otworzyć skrzynkę. Starzec zaczął wtedy tłumaczyć sędziemu, że nie popełnił żadnego przestępstwa, gdyż były to jego pieniądze, a własnymi pieniędzmi ma prawo dysponować zgodnie ze swoją wolą. W życiu jednak bywa tak, że im bardziej skłonny jest człowiek do mówienia prawdy, tym mniej mu się wierzy. Sąd wezwał świadków. Na salę weszli owi księża, wyciągnęli krzyże i ucałowawszy je oświadczyli, że tego dnia w miesiącu takim a takim, w godzinie tej i tej podeszli pod skrzynkę, aby ją otworzyć, i tu zobaczyli Żyda, który stał z kamieniem w ręku gotów do rozbicia skrzynki. Sędzia pyta świadków: czy rozpoznajecie w tym oto starcu owego Żyda, który chciał rozbić skrzynkę? Stoi starzec i słucha, i dziwi się, że tacy nobliwi ludzie przysięgają w sprawie, która wcale nie wymaga przysięgi. Potrząsnął kajdanami tak mocno, że te rozdzwończyły się na potęgę. Odzywa się do niego sędzia, czy chcesz przez to powiedzieć, że ci godni szacunku świadkowie kłamią? Uchowaj Boże. Jemu to nawet do głowy nie przyszło. On rzeczywiście chciał rozbić skrzynkę. Po co sędzia ma go namawiać do kłamstwa? On kłamać nie będzie, on tylko chce,

żeby zwrócili mu jego własne pieniądze. Ręce i nogi ma zakute w kajdany i wie, że każde wyrzeczone przez niego słowo działa na jego szkodę. Ale ma jeszcze oczy. Podnosi je i patrzy to na sędziów, to na świadków. Jakieś czary tu się dzieją, wszyscy mówią prawdę i wszyscy uważają go za winnego. Jednym okiem patrzy w dół na swoje kajdany, drugim okiem patrzy w przestrzeń ponad ich głowami. Nagle zobaczył na ścianie obraz tamtego męża na krzyżu, powiada więc do siebie, On się do mnie uśmiecha, wtedy zaczyna walić obiema rękami w stół i cała sala wypełniła się dźwiękiem rozdzwonionych łańcuchów, i donośnym głosem woła, puśćcie mnie, oddajcie mi moje pieniądze. Pobili go i zaprowadzili z powrotem do więzienia.

Siedzi starzec na sienniku i płacze. Boże, Ty przecież najlepiej wiesz, ile lat męczyłem się w tej niewoli galutowej*, dobrych potraw nie jadłem, ładnych ubrań nie nosiłem i w wygodnym domu nie mieszkalem, a całe moje życie jak ocet było kwaśne, ja zaś wszystko to przyjmowałem z miłością, bo chciałem pojechać do Twego świętego kraju. Teraz kiedy wybiła dla mnie godzina wyjazdu, napadli na mnie, zabrali mi pieniądze i wsadzili do więzienia.

I tak siedział i płakał, aż z wyczerpania zapadł w drzemkę. O północy obudził się. W celi nie ma ani wody, ani mezuzy. Zaczął więc dzwonić kajdanami i martwym głosem śpiewać hymny i modlitwy, które przed zaśnięciem zawsze śpiewał w nocy. Otworzyły się drzwi celi: przed nim stał mąż z kamienną skrzynką w ręku i bez przerwy się do niego uśmiechał. Zamknął starzec oczy i znowu zasnął. Wtedy ów mąż postawił go na nogi i powiedział: Obejmij mnie, a ja cię zaprowadzę tam, dokąd chcesz się udać. Wyciągnął starzec ręce ku temu mężowi i powiedział: jak mogę cię objąć, skoro ręce mam zakute w kajdany? A jednak spróbuj — odezwał się ów mąż.

* *Niewola galutowa* — niewola Żydów w diasporze.

Wyciągnął starzec palce i objął nimi szyję owego męża. Uśmiecha się do starca ów mąż i powiada: zaraz zaprowadzę cię do Erec Israel. Objął więc mocno szyję męża i twarzą obrócił się w kierunku Jerozolimy. Unieśli się w górę i polecili.

Przebyli jeden etap lotu i uśmiech męża zniknął. Przebyli drugi etap lotu i ręce starca zrobiły się zimne. Przebyli trzeci etap lotu i starzec poczuł, że obejmuje zimny kamień. Zamarło w nim serce i osłabły ręce. I spadł razem z kamieniem na ziemię. Nad ranem weszli strażnicy do celi, ale jego już tam nie zastali.

Opowiadają, że tej nocy usłyszano w Jerozolimie, jak coś stuknęło o ziemię. Ktoś widział grupę aniołów, która przyleciała z galutu przynosząc na skrzydłach jakiegoś człowieka.

Tejże samej nocy pochowano go, albowiem w Jerozolimie nie wolno nieboszczyków przechowywać bez pochówku do następnego dnia.

Historia z kozą (Bajka)

Jest to historia o pewnym starym człowieku, który kaszlał krwią. Udał się po poradę do lekarzy. Ci orzekli, że ma pić kozie mleko. Poszedł więc, kupił kozę i wstawił ją do obórki. Nie trwało to jednak długo. Kozą zniknęła. Udali się ludzie na poszukiwanie kozy. Szukano, szukano i nie znaleziono jej. Ani na podwórzu, ani w ogrodzie, ani na dachu beit hamidraszu, ani nad rzeczką, ani na górze, ani na polu.

Po kilku dniach wróciła, w powróciwszy miała wymiona pełne mleka i mleko miało smak raju.

I nie tylko tym razem zniknęła, ale wiele i wiele jeszcze razy. Szukano jej i nie znajdowano, dopóki sama nie wróciła. A wróciwszy, miała wymiona pełne mleka i mleko było słodkie jak miód, i miało smak rajskiego ogrodu.

I pewnego dnia rzekł stary człowiek do swojego syna:

— Dziecko moje, bardzo chciałabym wiedzieć, dokąd koza idzie i skąd przynosi to mleko, które słodzi moje podniebienie i leczy moje kości.

Powiada wtedy syn:

— Jest, tato, sposób na to.

Pyta ojciec:

— Jaki?

Idzie wtedy syn, bierze sznurek i przywiązuje go do ogona kozy. Pyta ojciec:

— Co robisz, synu?

Syn na to:

— Przywiązuję sznurek do ogona kozy, kiedy zobaczę, że zamierza iść, chwycę za koniec sznurka i pójdę za nią.

Kiwa stary głową i powiada:

— Skoroś taki mądry, serce moje się raduje.

Przywiązał więc młodzieniec piękny sznurek do ogona kozy i dawaj roztaczać nad nią beczenie. I kiedy koza zabrała się do drogi, uchwycił koniec sznurka i nie wypuściwszy go z ręki, podążył za nią. Idzie koza i idzie, aż dochodzi do jaskini. Wchodzi koza do jaskini, a młodzieniec ze sznurkiem w rękę za nią. Idą tak godzinę, idą dwie godziny, a może dzień, a może dwa. Koza biegnie i co chwila meczy, aż dociera do wylotu jaskini. Kiedy wyszli z jaskini, młodzieniec ujrzał przed sobą wysokie góry i niskie góry z rosnącymi na nich owocowymi drzewami oraz tryskające z gór źródło. I powietrze dookoła wypełnione jest zapachem przeróżnych wonności. Koza wchodzi na drzewo, potrząsa gałęziami i świętojański chleb pełen miodu spada z drzewa, a ona zajada się nim i pije ze źródła.

Stoi młodzik i woła do przechodzących drogą ludzi: „Dobry ludzie, zaklinam was, powiedzcie, gdzie ja jestem, jak się to miejsce nazywa?” A ci odpowiadają, jesteś w Erec Israel, w miejscu niedaleko od miasta Safed. Podnosi młodzieniec oczy ku niebu, chwala Bogu, oby był błogosławiony Ten, który mnie przywiódł do Ziemi Izraela. I pocałował ziemię, i usiadł pod drzewem. Siedzi i powiada, dopóki dzień nie ochłodnie, będę siedział pod drzewem, potem udam się w drogę do domu i sprowadzę rodziców tu, co Erec Israel.

I tak jak siedzi i syci wzrok świętością kraju, słyszy wołanie: „Przyjdźcie a chodźcie witać Sobotę-królową”. I oto widzi ludzi ubranych jak aniołowie, w białe kitle — ludzie mają w rękach gałązki mirtu, a we wszystkich domach płoną świece, mnóstwo świec. Pojął, że jest wieczór piątkowy, że już nie może wyruszyć w powrotną drogę. Zrywa więc witkę hosannową, zanurza ją w płynie żółciowym, z którego robi się atrament do przepisywania świętych ksiąg Tory, bierze kartkę papieru i pisze list do ojca: śpiewem donoszę ci z daleka, że szczęśliwie dotarł do Erec Israel. Przebywam teraz w miejscu położonym niedaleko miasta Safed, którego świętością jestem wprost urzeczony. I nie pytaj mnie, jak tu

dotarłem, jeno chwyć za przywiązany do kozy sznurek i podążaj za nią, kiedy ruszy w drogę. Z całą wtedy pewnością dotrzesz do Erec Israel.

Młodzieniec zawinął liścik w rulonik, po czym włożył go do ucha kozy. Pomyślał, że kiedy koza wróci do domu, ojciec ją pogłaszczuje po głowie, a ta poruszy uszami i liścik wypadnie. Ojciec go zobaczy, przeczyta, co w nim napisane, chwyci za sznurek i razem z kozą wyruszą w drogę do Erec Israel.

Koza wróciła do domu, ale uszami nie poruszyła i liścik nie wypadł. Kiedy ojciec ujrzał kozę, a syna jak nie ma, tak nie ma, zaczął bić się po głowie, płakać i krzyczyć: „Synu, mój! Synu mój, gdzie jesteś? Lepiej by było, gdybym to ja za ciebie umarł, synu mój, synu”. I nie przestaje płakać i żalić się nad synem, i powiada, dzikie zwierzę pożarło go, mój syn został pożarty. I nie dał się pocieszyć. I oświadczył, że też wraz z synem do grobu zejdzie. I zobaczywszy kozę, powiedział, biada kozie, która pozbawiła go życia.

I nie uspokoił się stary człowiek dopóki nie wezwał rzeźnika, aby zarznął kozę. I przyszedł rzeźnik i zarznął kozę. A kiedy ściągnięto z niej skórę, wypadł z jej ucha liścik. Wziął stary człowiek liścik i powiedział, że poznaje pismo syna. I przeczytał wszystko, co syn napisał do niego. I znowu zaczął bić się po głowie i płakać, biada mi, biada człowiekowi, który swoimi rękami wypędził szczęście, biada człowiekowi, który złem odpłaca temu, co czyni mu dobro.

Długo jeszcze bolał nad kozą i nie dopuszczał do siebie pocieszenia, żalił się i krzyczał z bólu, mogłem przecież jednym skokiem znaleźć się w Erec Israel, a teraz przyjdzie mi dożyć żywota w galucie.

Od tego czasu nie widać już jaskini i na razie nie ma tej krótkiej drogi. Ów zaś młodzieniec, jeśli żyje, z pewnością dobrze mu się wiedzie. Tak dobrze, że lepiej już być nie może.

Zaginiona książka

Reb Szmaria, jeden z dajanów w naszym mieście, był wielkim uczonym w Piśmie, znakomitym znawcą *Szulchan Aruch*, zwłaszcza tej jego części, która nosi nazwę „Orech Chaim” (Droga życia), a trzeba wiedzieć, że nie wszyscy rabini przykładają do niej większą wagę. Ze wszystkich komentarzy do „Orech Chaim” reb Szmaria najbardziej cenił komentarz „Magen Abraham” (Tarcza Abrahama).

Jak powszechnie wiadomo, komentarz „Magen Abraham” wskutek skrótów i daleko posuniętej zwięzłości, w jakiej został napisany, niełatwo daje się zrozumieć, a to dlatego, że jego autor gaon Abraham był wielkim biedakiem, który z braku pieniędzy na zakup papieru zapisywał swoje myśli na stole lub na ścianie, kiedy zaś udawało mu się dostać kawałek papieru, natychmiast utrwał na nim samo tylko jądro myśli.

Z wielkiego uznania dla „Magen Abraham” dajan Szmaria zabrał się do napisania doń własnego komentarza, chciał bowiem, żeby wszystko, co gaon Abraham zawarł w swojej książce, stało się jasne i zrozumiałe dla każdego. Nie wiem, ile czasu poświęcił gaon Abraham na napisanie swego komentarza, ale jak doszły mnie słuchy, reb Szmaria na napisanie wyjaśniającego do niego komentarza zużył aż dwanaście lat. Nie pominął w swojej pracy ani jednej trudnej kwestii. Po dwunastu latach żmudnej pracy, kiedy wszystko już zdążył wyjaśnić, reb Szmaria doszedł do przekonania, że może uważać ją za zakończoną. Nic już dodać, niczego ująć. Wtedy zaprosił do siebie introligatora, aby zlecić mu oprawienie w jedną całość poszczególnych kartek, snuł bowiem marzenia o wydaniu całości drukiem.

Przyszedł do niego introligator, a w ręku miał wiązkę zbrozuirowanych kartek. Reb Szmaria pokazał mu zapisane przez

siebie arkusze i powiedział, opraw mi je tak, aby była z nich książka.

Położył introligator swoją broszurę na stole i wziął do ręki kartki reb Szmarii. Fachowym wzrokiem introligatora obejrzał je, po czym określił format i objętość przyszłej książki, zastanowił się też nad okładką, którą należałoby pokryć skórą albo płótnem.

Podczas gdy introligator zajęty był dziełem reb Szmarii, ten zwrócił uwagę na leżącą na stole broszurę. Co to — pyta introligatora — za broszura? To nowa książka — odpowiada zapytany — otrzymałem ją dopiero co do oprawienia. Jeśli pan pozwoli, to ją przeglądnę. Odkłada introligator trzymane w ręce dzieło reb Szmarii i podaje mu ze stołu broszurę.

Było to dzieło *Machcit Haszekel* pióra gaona rabiego Szmuela Halewiego Kolina, analizujące komentarz „Magen Abraham” do *Szulchan Aruch*, a zwłaszcza do zawartego w nim rozdziału „Orech Chaim”.

Reb Szmaria pograżył się w czytaniu *Machcit Haszekel*. Chwilami przerywał czytanie, zastanawiał się i potem znowu wracał do czytania, aby w końcu oświadczyć: Bardzo ładnie, bardzo dobrze, świetny komentarz, pod każdym względem słuszny. I zaczerpnąwszy nieco więcej powietrza powiedział: Okazuje się, że ktoś inny mnie uprzedził, nie trzeba mi już oprawiać książki.

Przeprosił introligatora za to, że go niepotrzebnie fatygował, i wzięwszy swoje dzieło do ręki, położył je na półce.

Minęło wiele lat. Pięć pokoleń przeżyło swoje lata, nim dzieło reb Szmarii wpadło w moje ręce. Jak to się stało? Otóż podczas oczyszczania strychu wielkiej synagogi naszego miasta wśród postrzępionych i podartych kart świętych ksiąg, które należy pogrzebać na cmentarzu, natknąłem się na broszurę reb Szmarii. Godzi się nadmienić, że zadałem sobie pytanie, co z tym będzie. Wyjdzie jeszcze jedna oprawiona książka, która długo gdzieś tam będzie się walała, aż zawędruje jak inne tam, gdzie grzebie się szemot, wszystkie

postrzępione kartki ze świętych ksiąg. Akurat przeczytałem był w gazecie o dużym zbiorze książek znajdujących się w bibliotece jerozolimskiej zwanej „Gnazej Josef”, na bazie której powstała później biblioteka uniwersytetu w Jerozolimie. Dostrzegłem w tej notatce coś w rodzaju apelu do wydawców, pisarzy, księgarzy itd., żeby byli łaskawi przysłać do biblioteki swoje książki. Pomyślałem, że apel ten znajduje z pewnością odzew na całym świecie i zewsząd płyną do biblioteki w Jerozolimie książki. Zadałem wtedy pytanie, jak to może być, żeby wśród nadsyłających książki do Jerozolimy zabrakło mego miasta Buczacza. I nie zastanawiając się długo, postanowiłem przesać do Jerozolimy książkę reb Szmarii.

Posłańców, za których pośrednictwem mógłbym przesać książkę do Jerozolimy, nie miałem, zbędnych pieniędzy na pocztową opłatę też nie miałem, kieszonkowe, które zwykle dawał mi ojciec, oby pamięć cadyka była błogosławiona, poszło na inne potrzebne mi rzeczy, na przykład na Keren Kajemet*, na składkę członkowską w organizacji „Chewrat Cyjon” albo na zakup jakiejś nowej książki. Mimo to jednak udało mi się po pewnym czasie zdobyć za pomocą różnych przemyślnych sztuczek odpowiednią sumę i wysłałem książkę reb Szmarii do Jerozolimy. A jak udało mi się zdobyć pieniądze? Zacząłem przejawiać coraz większą pilność w nauce. Codziennie rano biegałem do beit hamidraszu modlić się i uczyć. Matka za to dawała mi co drugi dzień jednego grajcara, abym kiedy zgłodnieję, kupił sobie bułeczkę lub jakiś owoc. Pomyślałem, jeśli matka wszystko robi z myślą o Torze, to ja powinienem to zrobić dla reb Szmarii. Podeszedłem do matki i powiedziałem, że dzisiaj przerabiamy w bóżnicy bardzo zawiłą i trudną do rozstrzygnięcia kwestię i w związku z tym nie przyjdę do domu na obiad. Matka bardzo się tym zmartwiła, ale jednocześnie ucieszyła, że znowu polubiłem Torę, ostatnio bowiem z powodu tak zwanych trudnych małych książeczek,

* *Keren Kajemet* (Trwały Fundusz) — fundusz ustanowiony przez organizację syjonistyczną w celu wykupienia ziemi w Palestynie i zakładania osiedli żydowskich.

do których Wszchemogący nie zagląda, zaniedbałem się trochę w nauce. Był to oczywiście z mojej strony pretekst, abym miał za co wysłać książkę do Jerozolimy, bo matka dała mi trochę grosiwa z tego, co sama w gospodarstwie domowym zaoszczędziła. Tak było jednego dnia i tak było przez kilka następnych. Rzecz jasna, że nie kupiłem sobie ani bułeczek, ani owoców, składałem grosz do grosza, aż uzbierała się wystarczająca suma do wysłania pocztą książki reb Szmarii do Jerozolimy.

Wszedłem do sklepiku miejscowego syjonisty i kupiłem arkusz grubego, mocnego papieru i sznurek, po czym, udałem się do domu, wziąłem do ręki książkę i przejrzałem ją po raz wtóry i trzeci, zapakowałem w papier, przewiązałem sznurkiem, napisałem na wierzchu adres, Jerozolima oraz imię i nazwisko kierownika biblioteki „Gnazej Josef”. Tym razem do nazwy miasta „Jerozolima” dopisałem nazwę kraju, Palestyna, a nie Erec Israel.

Obejrzałem ze wszystkich stron paczkę, stwierdziłem, że jest dostatecznie piękna, żeby móc ją wysłać do Jerozolimy. Wziąłem ją pod pachę i udałem się na pocztę.

Są rzeczy, które robi się z miłości, a mimo to człowiekowi nieśpieszno je wykonać. Tak było również z książką reb Szmarii. Byłem jak dziecko, które trzyma latawiec i nie chce go wypuścić z ręki, aczkolwiek zrobiło go po to, aby latał. Dlaczego tak jest? Ponieważ jak długo trzyma go w ręku, tak długo ma w nim swój udział, kiedy zaś go wypuści, latawiec poszybkuje do nieba, a ono zostanie z pustymi rękami. Zdawałem sobie sprawę, że paczkę zrobiłem po to, żeby ją wysłać do Jerozolimy, ale dopóki jest w moich rękach, dopóty jestem wraz z nią związany z Jerozolimą, jeśli zaś wypuszczę ją z rąk, paczka odejdzie do Jerozolimy, a ja dalej będę pętał się po ulicach Buczacza. I tak rozmyślając doszedłem do poczty.

A doszedłszy do poczty, ustawiłem się w tłumie buczačkih kupców, którzy wysyłają stąd towary na cały świat i chociaż byłem wśród nich jedynym człowiekiem w Buczaczu, który wysyłał paczkę do Jerozolimy, nie wypychałem się

do przodu i cierpliwie, nie ruszając się z miejsca czekałem, aż wszyscy załatwią swoje sprawy i odejdą.

Dostrzegł mnie urzędnik w okienku, który mnie zapytał, ano, co przyniosłeś?

Z daleka pokazałem mu paczkę, a on polecił mi podejść bliżej, co też uczyniłem.

Wziął urzędnik paczkę i zmierzył mnie dobrodusznym spojrzeniem. Wtedy w sercu każdego człowieka, nawet urzędnika, tkwiła jeszcze miłość do Jerozolimy. Wydał mi pokwitowanie, na którym wypisana była nazwa Jerozolima.

Po powrocie do domu zabrałem się do moich zwykłych codziennych czynności. Czym się wtedy zajmowałem? Trochę syjonizmem, trochę innymi sprawami, słowem tym, czym się zajmowali żydowscy młodzieńcy tamtego pokolenia, którzy jeszcze siedzieli przy ojcowskim stole. Oprócz tego pisałem wtedy wiersze o Syjonie i o Jerozolimie.

Nie wiem, czy wiersze o Syjonie i Jerozolimie przywiodły mnie do Jerozolimy, czy też tęsknota za Syjonem i Jerozolimą skłoniła mnie do pisania wierszy o Syjonie i Jerozolimie. Tak czy owak miałem szczęście i do Erec Israel pojechałem.

Rok przebywałem w Jaffie, nim udało mi się dotrzeć do Jerozolimy. Wyglądało na to, że chciano mnie jakby wystawić na próbę, sprawdzić, czy może zadowolę się Jaffą i w niej pozostanę. Słowem, przez cały rok trzymali mnie w Jaffie. I niech się nie wydaje dziwne to, co powiem, bo jeden tylko Pan Bóg wie, jakie to może mieć znaczenie, poddanie mnie próbie na wzór tej, której poddaje się każdy nowy ole, każdy nowy przybysz do Erec Israel, kiedy sprawdza się, czy godny jest zamieszkać w Jerozolimie. Tak więc po roku pobytu w Jaffie i w innych osiedlach wziąłem do ręki moją wędrowną laskę i walizkę i wyruszyłem do Jerozolimy.

W piątek wieczór w wigilię Szabat Chazon, przed zapadnięciem zmroku znalazłem się przed bramami Jerozolimy. Jak Bóg da, to być może opowiem wam przy okazji o moim przybyciu do Jerozolimy. Na razie opowiem wam o książce.

A więc tuż przed zmierzchem znalazłem się w Jerozolimie. Odłożyłem laskę, postawiłem walizkę, umyłem się, włożyłem sobotnie ubranie i pośpieszyłem do Ściany Płaczu. Obejrzałem ruiny Pańskiego Przybytku, potem wstąpiłem do kilku synagog, a stamtąd z powrotem do zajezdnego domu, po czym wyszedłem na spacer po ulicach Jerozolimy, które świeciły blaskiem księżycowego światła. Jest w tym znak łaski Bożej, bo chociaż Jerozolima została zniszczona, to jednak księżyc nie przestał nad nią świecić.

Po tisha b'Aw moi przyjaciele z Jerozolimy najpierw pokazali mi wszystkie wspaniałości miasta, później zaprowadzili do biblioteki „Gnazej Josef”, podówczas, jak wierzyliśmy, największej żydowskiej skarbnicy książek na świecie. W co zresztą wówczas nie wierzyliśmy!

W drodze do biblioteki opowiedziałem moim przyjaciółom o książce reb Szmarii, którą przed wielu, wielu laty wysłałem paczką do tej właśnie biblioteki.

W tym miejscu przypomniał mi się Buczacz, więc zacząłem im opowiadać o moim rodzinnym mieście. Być może za dużo trochę mówiłem o tym mieście, zauważyłem bowiem na ich twarzach wręcz zdumienie. W owym czasie, a był to okres drugiej aliji, czyli drugiej fali emigracyjnej do Erec Israel, każdy nowy przybysz, czyli każdy nowy ole starał się jak najprędzej wykreślić z pamięci miejscowość, z której przyjechał, ba, nie wymieniał jej nazwy. Każde bowiem przejście z jednego życia do drugiego wymaga nowych myśli.

To znaczy — przerywa mi śmiechem jeden z towarzyszących mi przyjaciół — że zanim przybyłeś tutaj, zdążyłeś jeszcze stamtąd wbić swój palec w Jerozolimę.

Weszliśmy do biblioteki i jeden z dwóch pracujących tam bibliotekarzy okazał się na tyle łaskawy, że pokazał nam różne książki i o każdej z nich twierdził, że jest unikatem, białym krukiem, że drugiej takiej na ma na świecie, przy tym podkreślał, kto jest jej ofiarodawcą. Szczególną pochwałą obdarzył dr. Józefa Chazanowicza z Białegostoku, który ko-

sztem wielu wyrzeczeń zebrał sporo pieniędzy i ofiarował je bibliotece. Obejrzeliliśmy pokazane nam książki. Każdy z nas oglądał je we właściwy dla siebie sposób i każdy z nas nie omieszkał wyrazić przy tym swego uznania.

Na odchodnym powiedziałem bibliotekarzowi, że ja również przed wieloma laty posłałem pocztą do tej biblioteki pewną książkę.

Jaki jest — pyta mnie bibliotekarz — tytuł owej książki? Tytułu — powiedziałem — już nie pamiętam, ale wiem, jak wyglądała, w którym roku i na jaki adres ówczesnego kierownika ją wysłałem. Rozgadałem się, mówię to, co trzeba w takim wypadku mówić i to, czego nie trzeba. Gdyby moim przyjaciółom nie śpieszyło się, a chcieli mi pokazać jeszcze wiele, wiele godnych obejrzenia obiektów, to bym opowiedział bibliotekarzowi jeszcze mnóstwo szczegółów z komentarza reb Szmarii. W owym czasie pamięć mi jeszcze dopisywała, a bibliotekarze chętnie jeszcze słuchali słów Tory.

Pójdę i poszukam jej — powiada bibliotekarz. Przeszukał jeden pokój, potem drugi, zajrzał do jednej szafy, potem do drugiej i tak aż do ostatniej. Nie mogę — oświadczył — jej znaleźć, ale jeśli na nasz adres kiedyś nadeszła, to ją niechybnie znajdę. Być może, leży wśród nie oprawionych jeszcze książek. Z braku pieniędzy leżą u nas całe stosy nieoprawionych książek. Jeśli ją odnajdę, dam panu znać.

Na pożegnanie wyraziłem bibliotekarzowi słowa wdzięczności. Dostrzegłem w jego oczach, że sprawia mu przyjemność okazanie człowiekowi grzeczności i dobrej woli.

Jeszcze wiele razy wstępowałem do biblioteki i rozmawiałem z bibliotekarzem. Jeśli ja nie wspomniałem o książce reb Szmarii, on mi ją przypominał. Jeśli — oświadczył — dotychczas jej nie odnalazłem, to nic, znajdę ją, jeśli nie dziś, to jutro.

Tak minęły lata. Bibliotekarz już dawno przebywa na tamtym świecie, również jego następcą pożegnał się z życiem, a książka nie została odnaleziona. A szkoda, żeby taka książka zaginęła.

Porywacze

Sala była wypełniona po brzegi. Nie było człowieka w mieście, który by nie przyszedł na zebranie, na kraj zważyło się bowiem w tym czasie wiele nieszczęść i nikt nie wiedział, co robić. Przemówienie miał wygłosić pan Szrajholc, toteż całe miasto zbiegło się, aby go wysłuchać, bo w naszym kraju jest taki zwyczaj, że każde działanie musi być poprzedzone omówieniem, a omawianie znaczy w praktyce wygłoszenie mowy. Po obfitym zalewie słów i po wygłoszeniu wszystkich przemówień ludzie mają wrażenie, iż coś niecoś dla sprawy zrobili. Jeśli nieszczęście przeminęło, to dobrze, jeśli nie, wygłasza się jeszcze jedno przemówienie i tak dalej, aż na kraj nie zwali się nowe, jeszcze większe nieszczęście, a wtedy wystawia się nowego mówcę i rzecz się toczy jak poprzednio, jeśli nieszczęście minęło, to dobrze, jeśli nie, to...

Jest dobrze, jeśli ludzie schodzą się i wygłaszają przemówienia, człowiek czuje wtedy, że coś tam zrobił. Czasami wie się z góry, co zapowiadany mówca powie, a czasem po tym, co powiedział, nie wie się, o co mu chodziło. Bywa również tak, że ludzi w ogóle nie obchodzi to, co mówca głosi, im wystarczy, że jakoś spędzili dwie lub trzy godziny życia, które ulatnia się jak dym. A ludzie często boją się chwili, kiedy mówca zakończy swoje przemówienie, bo wtedy trzeba będzie pójść do domu, a tam zastaną swoje żony zmęczone, albowiem one również były na zebraniu.

I chociaż po każdym takim przemówieniu urządza się bankiet, to jednak nie każdy ma szczęście być nań zaproszony. Kiedy się patrzy na takie zbiorowisko ludzi, można ulec złudzeniu, że to jeden zwarty monolit, ale w istocie rzeczy każdy z tych ludzi uważa siebie za oddzielną, odrębną indywidualność. To samo dzieje się z kobietami. Każda reprezen-

tuje jakby inną rasę, mimo iż wszystkie wyróżniające rasę zewnętrzne oznaki zostały przez tego samego fachowca zrobione.

Pan Szrajholc powinien już był zacząć przemówienie, ale zwyczajem wszystkich wielkich mówców lubił się spóźniać, czasem o pół godziny, czasem o całą godzinę. Publiczność zaś zazwyczaj przychodziła o wiele za wcześnie. Każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce, zamienić słówko ze znajomymi, bo tkwiący w każdym człowieku zły popęd, tak zwany jacer hara, podpowiada mu, że on również ma coś do powiedzenia. Jeśli dziś nie ma nic nowego do powiedzenia, to wystarczy powtórzyć to, co wczoraj lub nawet przedwczoraj powiedział. Słuchacz, który czuje się tym znudzony, nie zwraca na to uwagi, co więcej, miło mu stwierdzić, że przemawiający do niego facet nie jest mądrzejszy od niego. Działacze społeczni i przywódcy, którzy przyszli ze względu na Szrajholca, siedzą zdenerwowani, bo zwykle tak bywa z ludźmi, którzy widzą, jak ktoś inny robi to, co oni powinni byli zrobić. I czekając na mówcę, oglądają tymczasem wiszące na ścianie powiększone fotografie. Po chwili zaczynają na siebie samych patrzeć tak, jakby ich własne podobizny świeciły już na ścianach klubu i odczuwają przy tym smak wieczności, smak tego uwiecznienia, na które zasłużyli już ich zmarli koledzy.

Rzadko się zdarza, żeby człowiek nie zateśnił trochę za uwiecznieniem siebie, szczególnie tyczy się to ludzi władzy, albowiem to, co idealne, miesza się w nich z tym, co materialne, a to ostatnie nie zadowala ich pojęcia o idealnym. A że w pewnej mierze podobni są do tych, którzy dosłużyli się uwiecznienia, zaczynają wierzyć niezachwianie w to, że oni też zostaną uwiecznieni. Pojęcie jednak wieczności jest mało konkretne i dlatego nikt głębiej nie zastanawia się nad tym, czym ta wieczność jest i kiedy przestaje nią być. Czy wtedy, kiedy tętno przestaje bić, czy wtedy kiedy ostatnia garść ziemi spada z łopaty.

Publiczność zaczęła się już niecierpliwić i powietrze na sali stawało się coraz gorętsze. Nikt dokładnie nie wie, po co tu siedzi i czego spodziewa się usłyszeć. Z czystego nawyku przychodzą tu, aby wysłuchać przemówień, a kiedy człowiek do czegoś się przyzwyczai, to już nie ma na to rady.

W pewnej chwili jakaś kobieta zwraca się do siedzącego obok niej mężczyzny, czy nie należałoby — powiada — otworzyć okna? Madame wybacz — odpowiada zapytany — ale nie mogę spełnić pani prośby. Dlaczego? Bo wszystkie okna są już otwarte? Popatrzyła na niego kobieta złym okiem i powiada: to dlaczego jest tak gorąco? Bo — odpowiada mężczyzna — powietrze, które wchodzi jednym oknem, wychodzi przez drugie.

Wtem słyhać głos: a Szrajholca jak nie ma, tak nie ma. Może przygotowuje się właśnie do przemówienia — odzywa się drugi. Oby — powiada pierwszy — tak było, oby przygotował się tak, żeby wiedział, co mówić. Patrzy na niego sąsiad, jakby utrafił w jego myśli, a że człowiek nie mówi zwykle tego, co myśli, oświadcza coś wręcz przeciwnego. Taki mówca jak Szrajholc — powiada — nie potrzebuje się przygotowywać. Odzywa się drugi: ale my potrzebujemy tego. Naiwniak z pana — odzywa się pierwszy — jeśli pan sądzi, że człowiek robi to, co potrzeba. Adwersarz tego ostatniego spoziera na zegarek i pyta, kiedy wreszcie zaczną. Zapytany nachyla się do jego ucha i szeptem powiada, co pana obchodzi „zaczną czy nie zaczną?” Może — odpowiada mu zapytany — ma pan rację. Co mi pan — powiada pierwszy — sugeruje, że może mam rację, ja mogę pana zapewnić, że nigdy jeszcze nie miałem takiej racji jak teraz. A mimo to należałoby popędzić tego Szrajholca, żeby się zaraz pojawił.

W tym samym czasie trzech młodzieńców weszło do mieszkania Szrajholca. Ten, patrząc na ich ubranie, zdziwił się. Skąd ludzie w ten sposób ubrani mogli przyjść do niego? Ale pan Szrajholc ma już taką naturę, że wszystko, co ma

z nim związek, podoba mu się. Zapewne — myśli sobie — są to wysłani po niego ludzie. Przyjmuje więc ich z uśmiechem i powiada, rozumiem, że przyszlście po mnie. Tak — odpowiadają młodzieńcy — przyszliśmy po pana, samochód czeka na ulicy.

Bierze Szrajholc grube cygaro do ust i wychodzi razem z młodzieńcami, a stojąc już w drzwiach, rzuca okiem w lustro i poprawia sobie wąsy. Znowu uśmiecha się do młodzieńców i pyta: sala już jest pełna? Jeszcze jak pełna — odpowiadają młodzieńcy. Również korytarze. Jeden stoi na głowie drugiego, wszyscy na pana czekają.

Wszedł pan Szrajholc do samochodu i zaraz założył nogę na nogę, i otoczył się kłębamii dymu z cygara. Jest w dobrym nastroju i jak na oczekiwanego mówcę przystało, odczuwa ważność swojej osoby. Jeśli można panu Szrajholcowi przypisać te odczucia, to trzeba założyć, że w tej chwili tak sobie wszystko wyobrażał: Oto wchodzi na salę, wszyscy wstają, biegiem pędzi do mównicy, albo nie, podchodzi powoli, kładzie zegarek na pulpicie i wpatruje się w tłum, a tłum nastawia uszy i cała sala wygląda w jego oczach jak las uszu. Ale co się dzieje? Jada i jada, i na miejsce jeszcze nie dojechali.

Wygląda przez szybę samochodu i pyta siedzących z nim w aucie młodzieńców: dokąd mnie wieziecie? Zabieramy pana — odpowiadają młodzieńcy — dokąd pan sobie życzy. Owija się znowu w kłęby dymu z cygara i w swojej wyobraźni widzi las uszu. I tak jak patrzy na ten las, widzi, jak uszy zaczynają bić jedno w drugie niczym ręce bijące brawa po wysłuchaniu przemówienia.

Samochód staje i młodzieńcy pomagają panu Szrajholcowi wysiąść. Jak tylko wysiadł, podnosi krzyk: gdzie ja jestem? Niech się pan nie obawia — powiadają młodzieńcy — nie jest pan na pustyni, mieszkają tu porządni ludzie, ale działacze społeczni i przywódcy, którzy przytłaczając miasto swoim ciężarem doprowadzili je do ruiny, sami zaś spędzają mnóstwo czasu za granicą i dbają tylko o siebie.

Kim wy jesteście? Szrajholc jest zdenerwowany i pot zalewa go od stóp do głowy. Niech się pan uspokoi, powiadają do niego młodzieńcy. Jesteśmy ludźmi. Jeśli nimi jesteście — powiada Szrajholc — to dlaczego chcecie wyrządzić mi krzywdę? Uchowaj Bóg — odpowiadają młodzieńcy — nikogo nie chcemy krzywdzić, ale na nasz kraj spadło wiele nieszczęść, a my jesteśmy przekonani, że to z powodu wielce rozpowszechnionej gadaniny, bo u nas tylko gadają i nic nie robią. Jeśli nie możemy oderwać publiczności od mówcy, to chcemy oderwać mówcę od publiczności, aby człowiek mógł zastanowić się nad celem i sensem swego życia, żeby mógł uzmysłwić sobie, na czym traci lata swego życia. I gdyby nie to, że zawiedliśmy się całkowicie na mówcach i kaznodziejach, to byśmy mogli powiedzieć, że i oni skorzystaliby z tej sytuacji, albowiem siedząc przez jakiś czas cicho, pozbyliby się uczucia pustki, które ogarnia ich między jednym a drugim przemówieniem.

W końcu pan Szrajholc uprzytomnił sobie, że tym razem brzydko wpadł, że ci młodzieńcy nie mają żadnego szacunku dla mówcy. Hamując ogarniający go gniew, zapytał: jak długo zamierzacie mnie tak trzymać? Aż — odpowiadają młodzieńcy — ludziom w sali zbrzydnie czekanie na pana i rozejdą się do domów. A co będzie — pyta Szrajholc — jeśli wysuną innego mówcę? To nam — odpowiadają z westchnieniem młodzieńcy — do głowy nie wpadło. Prawdziwym nieszczęściem jest to, że nie ma takiego mówcy, którego by stu innych nie mogło zastąpić.

Zagryza pan Szrajholc ze złości wargi, a młodzieńcy uprzejmie do niego powiadają: Zechce pan łaskawie wejść. Dokąd? Ano, do tego właśnie domu, chyba że pan chce wejść do domu mego kolegi, a więc wybieraj pan. Co pan woli, panie Szrajholc? Ja? Co ja wolę? Ja wolę, żeby was wszystkich razem ogień pochłonał, i to w jednej chwili.

Zaiste — powiada jeden z trójki młodzieńców — zasłużyliśmy na karę, bo zastosowaliśmy wobec pana przemoc, ale

wierzemy, że Bóg w niebie nam to wybaczy, nie mieliśmy przecież wyboru. Tu pan Szrajholc zmierzył chłopca pogardliwym spojrzeniem i powiedział: To ty wierzysz, że tam w niebie coś jest? W każdym razie wierzę, w to, że tu na ziemi nie ma niczego więcej oprócz przemówień z kazaniami i kazań z przemówieniami. A to nie jest dobrze, panie Szrajholc, całkiem niedobrze.

Czego na przykład — powiada pan Szrajholc — szukacie tu na ziemi? A co — wzdychają młodzieńcy — my możemy wiedzieć? Musi upłynąć siedem lat, nim z głowy wywietrzą wszystkie te przemówienia i człowiek odzyska zdrowie. Może wtedy można będzie rozsądnie pomyśleć. Widzę — powiada pan Szrajholc — że jesteście silniejsi ode mnie. Róbcie więc ze mną, co chcecie, ale uprzedzam was, że się zemszczę. Wcale nie jesteśmy silni, wzdychają młodzieńcy. A co do zemsty, to co nam można zrobić? Zabrnęliśmy już dość daleko, panie Szrajholc, zachowujemy się jak prawdziwi porywacze, a może nawet gorzej. Prawdziwi porywacze robią to chociaż dla chleba, my zaś odejmujemy sobie od ust, aby starczyło na przewóz samochodem. Słowem, dokąd chce pan, abyśmy pana zaprowadzili? A cóż to — powiada pan Szrajholc — nie ma tutaj jakiejś kawiarni? Nie — powiadają młodzieńcy — nie ma w pobliżu kawiarni. A jeśli człowiek — odzywa się pan Szrajholc — ma ochotę mile spędzić wolną godzinę, to co ma robić? Tutaj — odpowiadają młodzieńcy — ludzie są bardzo zaharowani i nie mają wolnych godzin. To co oni robią — pyta pan Szrajholc — w sobotę albo w święto? Kto umie samodzielnie studiować Torę, ten siedzi i studiuje, a kto nie umie, uczy się u tego, który umie. Uśmiecha się pan Szrajholc i powiada, no cóż, każdy ma swoją przyjemność. Tak — przytakują mu młodzieńcy — każdy ma swoją przyjemność, lecz ich słowom nie towarzyszy uśmiech. W istocie zazdroszczą tym ludziom, którzy korzystają z takiej przyjemności.

Wszedł więc pan Szrajholc razem z młodzieńcem do wskazanego domu. Pokój, w którym się znaleźli, był mały,

oświetlony przez jedną małą lampkę i wypełniony ubogimi, prostymi, drewnianymi meblami. Taki pokój, z takim umeblowaniem miał pan Szrajholc w czasach swojej młodości. Wtedy nosił też takie samo ubranie, jak teraz towarzyszący mu młodzieńcy. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Szrajholc nie urodził się w hrabiowskim pałacu i za młodu nie ubierał się jak dziedzic, dopiero potem, jak wywindował się w górę, zaczął dbać o piękne ubrania i piękne mieszkanie. Na chwilę oderwał pan Szrajholc myśl od tego biednego pokoju i od tego wszystkiego, co przypominało mu dawne lata, po czym zapytał: czy macie może gazetę? Gazety nie mam — odpowiedział młodzieniec, gospodarz domu — ale mam książkę, jeśli chce pan poczytać, to bardzo proszę. A to, co tam leży — pyta Szrajholc — co to jest? To jest — odpowiada młodzieniec — gazeta, w którą sklepikarz zawinał mi chleb. Rozwija pan Szrajholc podaną mu gazetę i cieszy się, i wzdycha. Cieszy się, bo zobaczył w niej swoje nazwisko i ogłoszenie zapowiadające jego przemówienie na uroczystym wieczorze. I wzdycha, bo nie dano mu możliwości wystąpienia z przemówieniem. Całą gazetę zdążył był przeczytać już wcześniej, jeszcze zanim go porwano, więc zażądał, żeby nastavili radio. Radia — powiadają młodzieńcy — tu nie ma. Podnosi głos pan Szrajholc: Kawiarni tu nie ma, radia tu nie ma, to jak wy żyjecie? Kiedy wy — odpowiadają młodzieńcy — marnotrawicie dni w kawiarniach i przy radioodbiornikach, my prowadzimy żywot zgodny z wolą naszego Stwórcy.

Wyciąga pan Szrajholc z kieszeni zegarek i powiada: Pano-
wie, jak długo będziemy tak siedzieli? Niedługo, jeszcze tylko troszeczkę — odpowiadają młodzieńcy. Rozgląda się pan Szrajholc jeszcze raz po pokoju i wpada w lepszy nastrój, bo nagle poczuł się jak ongiś, kiedy nie był jeszcze osobą publiczną. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy spokojnie siedział nad książką przy stole oświetlonym jedną tylko lampką i czytał, i uczył się. Ach, tamte lata przeminęły, nastały po nich dni pełne

szumu i harmidru. Jak to się stało, że po zdobyciu takiej wiedzy ogarnęła go żądza wygłaszania przemówień? Pamięta, że pierwsze jego przemówienie nie było zbyt dobre, wtedy bowiem serce miał jeszcze młode i gorące, a im bardziej ono się starzało, tym lepsze stawały się jego przemówienia.

I tak siedząc i rozmyślając zaczyna baczniej się przyglądać młodzieńcom, których skromność i taktowność przypominają mu jego samego, kiedy był młody. Zapala następne cygaro i owija się dymem. Po chwili wargi zaczynają mu się zwijać i brzuch zaczyna mu się ruszać jak u człowieka, któremu zbiera się na śmiech. Odkłada cygaro, kieruje wzrok ku młodzieńcom i powiada: Chłopcy, chcę ubić z wami interes!

Interes! Zdumienie ogarnia młodzieńców. Nie jesteśmy kupcami i na interesach się nie znamy. Posłuchajcie jednak — powiada pan Szrajholc — tego, co wam powiem. Potem mi odpowiedzcie. Za osiem dni ma przemówienie mój kolega nazwiskiem Walcer. Chyba znacie tego gadułę. To istny worek paplaniny. Jeśli zrobicie z nim to, co ze mną, wybaczę wam wszystko, nie będę do was żywił urazy. Śmieją się młodzieńcy. Dobry pomysł — powiadają. Zdają sobie sprawę, powiada pan Szrajholc, że jesteście biedni i pieniędzy na wynajęcie co tydzień auta nie macie, ale gdybyście mieli forszę, to byście to zrobili? Mam jeden warunek. Za dwa tygodnie drugi mój kolega ma przemawiać, rozumiecie? Młodzieńcy na to: ojej! Śmieje się pan Szrajholc, wyciąga portfel i powiada: oto macie pieniądze na wynajęcie dwóch, a nawet trzech aut, zgoda, no to dajcie łapę. Po kolei każdy młodzieńiec daje mu rękę. Dobrze — powiadają — umowa stoi.

Teraz pan Szrajholc wpadł w tak świetny nastrój, że zupełnie zapomniał o tym, gdzie się znajduje. I gdyby chłopcy nie musieli wstać skoro świt do pracy, to by rozmawiał z nimi przez całą noc, a nawet przez cały następny dzień, taki już ma nawyk, że jeśli nie przemawia z trybuny do ludzi, to rozmawia, z kim się tylko da, aby tylko słuchać własnych słów.

Nie wszystkie usta są równe. Pan Szrajholc, sławny przywódca, lubi gadać, ci młodzieńcy zaś wolą sprowadzić taksówkę i zawieźć pana Szrajholca do domu. Ten widząc to, odzywa się do nich: Lepiej wydalibyście pieniądze na auto dla mego kolegi, który ma wygłosić przemówienie, a ja sobie pójdę do domu na piechotę. Chłopcy zgodzili się, odprowadzili go przez pół drogi do domu, po czym serdecznie się z nim pożegnali.

Popatrzmy teraz na to, co się potem działo. To, co pan Szrajholc zrobił ze swoimi kolegami, ci zrobili ze swoimi, gdyż ludzie na ogół nie zdobywają się na nowe pomysły i wolą naśladować postępowanie innych. W taki oto sposób ludzie zaczęli coraz rzadziej pojawiać się na zebraniach, bo wiele razy zdarzało się, że na próżno siedzieli na sali i czekali na mówców. Coraz częściej pozostawali w domu, a siedząc w domu zaczęli zaglądać do książek albo więcej zajmować się wychowywaniem dzieci.

A jeśli świat przez to nie stał się całkiem dobry, to jednak w pewnej mierze uległ poprawie. I przez to, że ludzie nie spędzają dni i lat na słuchaniu przemówień, zaczynają patrzeć wnikliwiej na siebie samych, a to powoduje zmianę na lepsze w ich codziennym postępowaniu. I kiedy lepsze staje się ich postępowanie, lepszy staje się kraj.

Ido i Ejnam

1

Gerhard Greifenbach i jego żona Gerda, moi drodzy przyjaciele, wybierali się w podróż za granicę. Chcieli trochę odpocząć, oderwać się od panującego u nas szumu i gwaru i przy okazji odwiedzić krewnych. Kiedy przyszedłem im złożyć życzenia szczęśliwej podróży, zauważyłem, że coś ich gnębi. Byłem zdziwiony. Życie przecież pięknie im się układa. Pieniądzy nie brakuje. Szczęśliwie żyją w zgodzie i w harmonii i jeśli mają coś zrobić, to wspólnie się naradzają, a skoro postanowili wyjechać, z całą pewnością zdążyli przedtem wszystko załatwić, zdążyli usunąć wszystkie trudności, więc jakie mogą mieć zmartwienie.

Siedzieliśmy przy szklance herbaty i rozmawialiśmy o krajach, które mają zamiar odwiedzić. Niezbyt dużo krajów stoi przed nimi otworem. Od czasów wojny świat przed nami trochę się zamknął i mało krajów otwartych jest dla turystów, a tam, gdzie można pojechać, niezbyt przyjaźnie traktują gości, ale jeśli turysta jest zaradny, to podróż może się okazać przyjemna.

Przez cały czas nie mogłem się uwolnić od pewnej myśli. Snułem różne przypuszczenia i do żadnego sensownego wniosku nie mogłem dojść. Myślę sobie, ci ludzie to moi serdeczni przyjaciele, w ich domu czuję się jak u siebie.

Po pogromach w 1929 roku, kiedy Arabowie zniszczyli mój dom i zostałem bez dachu nad głową, Greifenbachowie przygarnęli mnie do siebie, a w owym czasie, kiedy człowiek wychodził na miasto i nie mógł wrócić do domu, bo nagle Anglicy wydali zakaz poruszania się, często u nich nocowałem.

Teraz więc, kiedy widzę, że coś ich gnębi, postanawiam zapytać, o co chodzi. Okazuje się, że nie potrafię znaleźć

odpowiednich słów. Zauważyłem, że pani Greifenbach siedzi na krześle i często rozgląda się po pokoju jak człowiek, któremu pokazano bardzo cenną rzecz, jaką przy następnym spotkaniu chciałby od razu rozpoznać. I siedząc tak mówi do siebie, ciężko jest wyjechać i ciężko jest wracać, i oby po powrocie udało się zastać drzwi otwarte i nie mieć do czynienia z dzikimi lokatorami.

Odzywa się pan Greifenbach: piękne czasy nastały, człowiek nie jest pewny swoich czterech ścian. Otwiera gazetę i czyta o ludziach, którzy zagarnęli cudze mieszkania, wychodzi na ulicę i słyszy, że do tego i owego mieszkania wdarli się dzicy lokatorzy. Doszło już do tego, że człowiek boi się wyjść na spacer, a nuż w tym czasie ktoś obcy zajmie jego mieszkanie. Mamy nad czym się zastanawiać, nasz dom stoi za miastem z dala od pozostałych. Co prawda, jeden pokój odnajeliśmy dr. Ginetowi, ale mała to dla nas korzyść, bo rzadko przebywa w domu, czyli wyjeżdżając zostawimy dom na łasce losu.

Usłyszawszy to, zadrzałem. I to nie ze względu na ich kłopot, ale dlatego, że wymieniając dr. Gineta mówili o nim jako o realnej postaci. Od kiedy bowiem nazwisko Ginet stało się sławne w świecie, nie spotkałem ani jednego człowieka, który by mógł stwierdzić, że go osobiście zna, nie słyszałem, żeby ktoś o nim mówił bez związku z jego książkami, a tu dowiaduję się, że wynajmuje pokój w domu, do którego często przychodzę.

Tuż po opublikowaniu przez Gineta pierwszej swojej rozprawy pt. *99 słów z języka ido* autor zwrócił na siebie uwagę wielu badaczy języków, a po wydaniu *Gramatyki języka ido* nie było już takiego językoznawcy, który by się nim nie zainteresował. Do jego największych jednak osiągnięć należy niewątpliwie odkrycie pięści ejnamskich, i to nie dlatego, że historycy i filolodzy dostrzegają w nich ukryte ogniwo w łańcuchu pokoleń, które sięgają początku dziejów i łączą się z pierwszymi pokoleniami, ale dlatego, że zawierają w so-

bie ogromny ładunek duchowy i siłę poetycką. 99 słów języka, o którym nie mieliśmy pojęcia, to już wielka rzecz, cóż dopiero gramatyka zapomnianego języka, ale w pieśniach ejnamskich jest coś znacznie więcej. Są w nich ukryte skarby, które zawierają głębokie tajemnice i jako takie są ważne. Nie na próżno wszyscy wielcy uczeni rzucili się na nie, nawet ci, którzy z początku podawali w wątpliwość autentyzm pieśni ejnamskich, zaczęli bowiem pisywać do nich komentarze. Jedno mnie tylko dziwi. Wszyscy badacze uważają, że bogowie i kapłani ludu Ejnam byli mężczyznami, więc jak mogli nie zwrócić uwagi na to, że w pieśniach ejnamskich wyraźnie słychać delikatne dźwięki kobiecej poezji. A może myłę się. Jam przecież nie badacz, tylko zwykły czytelnik lubujący się w ciekawych i pięknych tekstach.

Pani Greifenbach zauważyła, że jestem trochę podniecony, ale nie domyśliła się powodu. Nalała mi jeszcze jedną szklankę herbaty i wróciła do przerwane go toku wynurzeń. Siedzę ze szklanką herbaty w ręku, serce podbiega mi do gardła i słyszę, jak we mnie brzęczy jakieś echo, nie ma się czemu dziwić, gdyż od czasu, kiedy zacząłem czytać pieśni ejnamskie, wciąż słyszę w sobie tę melodię, coś w rodzaju oddźwięku pradawnego śpiewu, który dochodzi skądś z daleka, od samego zarania wszystkich początków.

Ukryłem podniecenie i zapytałem, czy on jest teraz w domu? W istocie sam się sobie dziwiłem zadając takie pytanie, nigdy bowiem jeszcze nie byłem w domu, którego ściany widziały Gineta. W odpowiedzi pani Greifenbach stwierdziła, że nie, nie ma go w domu. Myślę sobie, z pewnością go nie ma, ale jako że małżonkowie powiedzieli mi, iż wynajął u nich pokój, to przecież niemożliwe, aby go nie widzieli, a skoro go widzieli, to chyba z nim rozmawiali i skoro z nim rozmawiali, potrafią chyba choć jedno słowo o nim powiedzieć. Wielki człowiek, który nie chce rozgłosu i nic o sobie nie mówi, w takim wypadku najmniejsza o nim informacja nabiera wagi.

Odzywam się wtedy do Greifenbachów, bardzo was proszę, czy wiecie coś o Ginecie? Powiada pan Greifenbach, to, co o nim wiemy, jest tak mało, że prawie nic. Pytam, skąd się u was wziął? Odpowiada pan Greifenbach: bardzo prosto, wynajął pokój i wprowadził się. Ponawiam pytanie: skąd on do was? Na to Greifenbach, skąd on do nas? Jeśli chce pan znać całą rzecz od samego początku, to powiem panu, aczkolwiek niewiele mam do powiedzenia. Mówię: a jednak? Otóż pewnego letniego dnia, powiada pan Greifenbach, po południu siedzieliśmy na werandzie i piliśmy herbatę. Wtem zjawia się człowiek z walizką w jednej i z laską w drugiej ręce i pyta, czy mamy pokój do wynajęcia. Nigdy nie odnajmowaliśmy pokoi, a i ten człowiek nie za bardzo nam się spodobał, żebyśmy dla niego zrobili wyjątek i wpuścili do naszego domu. Z drugiej zaś strony, myślę sobie, mamy jeden pokój, który przez cały rok świeci pustką, wcale z niego nie korzystamy, a w dodatku ma oddzielne wejście i osobny prysznic itd., więc może warto go odnająć, jeśli nie przez wzgląd na czynsz, to dla dobrego uczynku, żeby przysłużyć się człowiekowi, który szuka mieszkania na odludziu, bo widocznie potrzebuje odpoczynku. I człowiek ten powiada do mnie: zapewniam was, że nie będziecie mieli ze mną kłopotów, dużo podróżuję i do miasta wpadam tylko po to, aby między jedną a drugą podróżą odpocząć, gości zaś nie zwykłem do siebie zapraszać. Obrzucam go znowu spojrzeniem i dochodzę do wniosku, że być może warto odnająć pokój. Nie tyle z powodu jego zapewnień, ile po prostu dlatego, że mi się zaczyna podobać, aż dziwne, że przedtem tego nie zauważyłem. Popatrzyłem na Gerdę i spostrzegłem, że ona również podziela moje zdanie, iż powinniśmy go przyjąć za lokatora. Mówię wtedy do niego, odnajmiemy panu pokój pod warunkiem, że pan nie będzie od nas żądał innych rzeczy poza łóżkiem, krzesłem i lampą, co zaś do czynszu, to wyniesie on tyle i tyle. Człowiek wyjął pieniądze, z góry zapłacił za rok i przez cały czas zgodnie z naszym warunkiem nie

zażądał niczego więcej. To wszystko, co mogę o nim powiedzieć poza tym, co o jego osobie przeczytałem w dodatkach do gazet literackich, które z pewnością pan również przeczytał, i nie jest wykluczone, że zapoznał się pan również z jego ejnamskimi pieśniami. Mówiąc prawdę, ja również zapoznałem się z tymi pieśniami, przeczytałem je, trochę tu, trochę tam, ale trudno mi ocenić ich wartość. Nie mam zwyczaju wypowiadać swego zdania o rzeczach, na których specjalnie się nie znam, ale pozwalam sobie nadmienić, że w każdym pokoleniu znajdują się ludzie, którzy dokonując jakichś odkryć, uważają je za największe ze wszystkich, potem odkrycia te jedno po drugim ulegają zapomnieniu, ponieważ z biegiem czasu dokonywane są coraz to nowe odkrycia. Tak się chyba rzecz ma z odkryciem Gineta.

Nie zwracałem uwagi na to, co mówi pan Greifenbach, i zacząłem znowu od początku, to znaczy od osoby dr. Gineta, powiedziałem mianowicie, że wyobrażam sobie, iż pani Gerda ma na ten temat więcej do opowiedzenia.

Patrzy na mnie pani Greifenbach wzrokiem nieco zdziwionym, jako że przypisuję jej coś, o czym sama nie wie. Siedzi przez chwilę i myśli, po czym powiada, nie sędzę, abym wiedziała więcej od tego, co opowiedział panu Gerhard. Pokój Gineta ma osobne wejście i sprzątanie nie należy do nas, a nasza młoda energiczna służąca, znana panu Gracja, nie pali się do nowej roboty i od kiedy wręczyliśmy mu klucz od pokoju, nie widziałam go na oczy, bo zaraz po przespanej nocy wyjechał i dopiero po kilku miesiącach powrócił.

Skończywszy na tym, pani Greifenbach zaczęła znowu mówić o podróży. W jej słowach zabrzmiało coś z wyrzutu, nasz lokator, powiedziała, tak zaprzął panu głowę, że nie słyszy pan, o czym mówimy. Powiadam, że całkiem możliwe, na to ona: niech pan nie mówi, że możliwe, ale właśnie tak jest. Powiadam, uchowaj Bóg, nie będę się z panią spierał. Proszę mi łaskawie opowiedzieć coś niecoś o Ginecie. Przecież opowiedziałam panu — mówi pani Gerda — że u nas

spędził tylko jedną noc i zaraz potem wyjechał. Dobrze — powiadam — ale pani przecież nadmienila, że wrócił, co więc robił po powrocie? Co robił? Zamknął się w pokoju. Co tam robił? Może rysował piramidy, a może pisał trzeciego *Fausta*, nie wiem.

Wbiłem w nią wzrok i długo się jej przyglądałem. Uśmiechnęła się i powiedziała, chce pan ze mnie zrobić detektywa. Odpowiadam, nie chcę z pani zrobić detektywa, chcę usłyszeć coś o Ginecie. Na to ona, przecież mówiłam panu, że od kiedy wręczyliśmy mu klucz, nie zamieniłam z nim słowa. A jak wrócił, to co wtedy robił? — Jak wrócił, to robił jedną z tych rzeczy, o których panu już wspomniałam. Nie byłam żywotnie zainteresowana w tym, aby dokładnie wiedzieć co. Wtrąca się pan Greifenbach, Gerdzie brakuje cech, z których słyną kobiety. Zupełnie nie jest ciekawska. Gerda wtedy przebiega swoimi ładnymi palcami po jego owłosionych rękach i powiada, tę cechę to ty już masz zamiast mnie. No, opowiadaj więc ty. Ja? — powiada zaskoczony Gerhard. Ja też nie potrafię opowiedzieć o rzeczach, które są właściwie niczym. To znaczy — odzywa się pani Greifenbach — że chcesz, abym ja właśnie opowiedziała, ale czy aby nie ty opowiedziałeś, że dr Ginet stworzył sobie dziewczynę. Tu pan Greifenbach zaniósł się głośnym i wesołym śmiechem i powiada, wiesz, co Gerda ma na myśli, otóż ma na myśli legendę o samotnym poecie, zapomniałem, jak się nazywa, fama głosi, że stworzył niewiastę, aby go obsługiwała. Czy pan zna tę legendę? Chodzi o Szlomo ben Gabirola — powiadam — jeśli chcecie znać koniec tej legendy, to jest taki: Rzecz stała się tak głośna, że aż doszła do wiadomości króla. Ten rozkazał przyprowadzić tę niewiastę do pałacu. Popatrzył na nią król i zakochał się. Ona zaś nie mogła patrzeć na króla. Przyprowadzono reb Szlomo ben Gabirola przed oblicze króla. Szlomo wytłumaczył królowi, że niewiasta nie jest naturalnym stworzeniem, że złożona jest z drewnianych pierścieni. Ale jaki związek ma ta legenda z doktorem Ginetem?

Odzywa się pani Greifenbach, pewnego razu w nocy siedzieliśmy ja i Gerhard w pokoju i czytaliśmy Goethego. Wtem usłyszeliśmy jakiś głos dochodzący z pokoju Gineta, zrozumieliśmy, że wrócił z podróży i właśnie coś czyta. Zabraliśmy się znowu do czytania. Po chwili słyszemy głos dochodzący z jego pokoju. Gerhard odkłada książkę i powiada, to przecież jest głos kobiety. I tak jak dziwimy się Ginetowi, że sprowadził do siebie kobietę, tak samo zdumiewa nas język tej kobiety. Takiego dziwnego języka, jakiego ta kobieta używała, nigdy jeszcze nie słyszeliśmy. I Gerhard po cichu powiada do mnie, nic innego, tylko Ginet stworzył sobie kobietę i ona z nim rozmawia w swoim języku. Nic więcej, drogi przyjacielu, nie mam ci do powiedzenia o Ginetecie. A jeśli chce pan usłyszeć coś więcej, proszę się zwrócić do Gerharda, on lubi wysnuwać pewne rzeczy z wyobraźni, a potem traktować je jako prawdziwe.

Greifenbach, który w wolnych chwilach zajmuje się nauką o powstawaniu języków, zaczął mówić o tajemnicach zawartych w językach różnych ludów i o tym wszystkim, co w tej dziedzinie zostało dokonane. Ja również coś niecoś powiedziałem korzystając z mojej skromnej wiedzy zaczerpniętej z ksiąg naszych kabalistów, którzy się tą sprawą zajmowali znacznie wcześniej niż uczeni innych narodów tego świata. Pani Greifenbach w tym momencie przerwała nam mówiąc, że kobieta śpiewa również jakieś pieśni w tym swoim dziwnym języku, którego my zupełnie nie rozumiemy. Jeśli można z jej głosu coś wywnioskować, to chyba to, że jest istotą zgorzkniałą i zrozpaczoną. Tak, Gerhardzie, gdzie położyłeś prezent, który nasz lokator dał ci tamtego ranka po naszym ślubnym wieczorze? Szkoda, drogi przyjacielu, że pana wtedy nie było. Pan chyba wie, że nasze wesele odbyło się po cichu, a teraz postanowiliśmy to odrobić wyprawiając z okazji 10 rocznicy ślubu piękny wieczór jubileuszowy. Gerhardzie, ty leniuchu jeden, może wstaniesz i pokażesz, co ci Ginet podarował.

Wstał pan Greifenbach, otworzył kasę pancerną i wyjął z niej dwa stare liście brązowego koloru, które wyglądały jak liście tytoniu. Spokojnie je przede mną rozłożył i obrzucił mnie spojrzeniem człowieka, który, pokazując komuś niezwykle cenną rzecz, czeka na wrażenie, jakie wywoła. Przez dłuższą chwilę przyglądałem się liściom, po czym zapytałem, co to jest? Greifenbach powiada do mnie, niech się pan dobrze przyjrzy, więc wbijam znowu wzrok w liście, ale oprócz jakichś dziwnych linii i zakrętasów niczego więcej nie widzę. Gdybym się jednak uparł — może dostrzegłbym litery jakiegoś tajemniczego pisma. Pytam więc znowu, co to jest? Na to Greifenbach — nic więcej poza tym, co mi Ginet powiedział, nie wiem. To są — powiedział — jakieś „segulot”^{*}, jakieś remedia. Dokładnie, o jakie remedia chodzi, nie wyjaśnił, nadmienił tylko, że posiada cały zbiór remediów, a te liście są z tego zbioru i pochodzą z dalekiego kraju. Szkoda, że nie ma w nich remedium na dzikich lokatorów. Na to wtrąca Gerda: może wśród tych, które Ginet przy sobie zostawił, znajduje się właśnie takie remedium.

Pan Greifenbach zapala krótką fajkę i pogrążywszy się w myślach, zaczyna coś rozważać. Po chwili wysypał z fajki popiół i wziął papierosa. Zapaliwszy go, powiada, widzi pan, o czym byśmy nie rozmawiali, zawsze zejdziemy na temat naszego mieszkania. Co zaś się tyczy dzikich lokatorów, to ci może słusznie postępują. Wraca taki młody człowiek z wojny, szuka dachu nad głową i nie znajdując go, włamuje się do obcego domu. Coś panu opowiem. Stoję pewnego razu w sobotni wieczór przed autobusem pełnym pasażerów, a ci, co pozostali na zewnątrz, pchają się do środka. Rozlega się dźwięk klaksonu i autobus rusza, i wszyscy, którym nie udało się wejść do środka, zostają w oczekiwaniu na następny autobus. A następny autobus nie nadjeżdża, bo kiedy jest

^{*} *Segula* (l.mn. *segulot*) — rzecz albo tekst mające siłę dobroczynnego oddziaływania, remedium, panaceum.

dużo pasażerów, to jest mało autobusów, jak to zwykle u nas w Jerozolimie bywa. Stoi tam dwoje ludzi, chłopiec i dziewczyna, ona wpatruje się w niego z wielką tęsknotą i powiada, Ginter, już ponad rok, jak wzięliśmy ślub i jeszcze ani jednej nocy nie spędziliśmy razem. Chłopiec bierze ją za rękę, zaciska z wielkiego żalu i gniewu wargi i milczy. Nie mogą znaleźć mieszkania, więc każde z nich mieszka osobno. Właściciele mieszkań przyczyniają młodym parom zmartwień, nie pozwalają im się spotykać, czekają, aż im się życie sprzykrzy i wyprowadzą się, bo coraz więcej jest amatorów na mieszkania i coraz mniej jest mieszkań, a wtedy można podnieść czynsz. Spotykają się więc ci młodzi po kawiarniach i w innych lokalach rozrywkowych, aby potem rozejść się, on na jeden kraniec miasta, ona na drugi, a wszystko tak się dzieje, ponieważ nie mają gdzie razem zamieszkać. Teraz rozumie pan, dlaczego tak troszczymy się o nasze mieszkanie. Już kiedyś doszło do tego, że pewnej nocy budzi mnie Gerda, jej się zdaje, że ktoś chodzi po dachu.

Odzywa się Gerda, a dlaczego nie przytaczasz słów, których wtedy użyłeś. Na to pan Greifenbach, czy ja coś wtedy powiedziałem? Nie przypominam sobie, żebym cokolwiek miał powiedzieć. Chcesz — mówi Gerda — żebym ci przypomniała? Na to Gerhard wybucha głośnym wesołym śmiechem i powiada, a jeślibym powiedział, że nie, to byś i tak opowiedziała. Gdyby rzecz nie była taka śmieszna — powiada Gerda — to bym jej nie opowiedziała. Pan wie, co ten myśliciel powiedział? Oto jego słowa: po dachu chodzi niewiasta, którą stworzył Ginet. Greifenbach odłożył papierosa, znowu wziął fajkę i mówi do mnie: i pan wierzy w to, że tak powiedziałem? Oczywiście, kto by nie uwierzył tak pięknej dziewczynie jak Gerda. Pani Greifenbach śmieje się i powiada, zaiste piękna ze mnie dziewczyna z dziesięcioletnim stażem małżeńskim. To już — dziwię się — dziesięć lat po waszym ślubie? Liście — oświadcza Gerda — które Ginet podarował Gerhardowi, były prezentem z okazji dziesiątej

rocznicy naszego ślubu. Gdyby te liście dostały się w ręce prostego człowieka, to by je dawno obrócił w proch, zrobiłby z nich tytoń do fajki, nie zdając sobie sprawy, że mogą zawierać jakąś tam segulę. A prawdę mówiąc, skąd wiemy, że w tych liściach kryje się jakieś cudowne remedium, słyszeliśmy to tylko z ust Gineta i uwierzyliśmy mu, bo porządny z niego człowiek. A więc jutro wyjeżdżamy i nie wiemy, czy mamy się cieszyć, czy smucić? Nie zastanawiając się długo powiedziałem do Gerdy, nie powinna się pani smucić. Opiekę nad waszym domem biorę na siebie i jeśli zajdzie potrzeba, to gotów jestem dwa lub trzy razy w nim przenoć. Moje zapewnienia Greifenbachowie przyjęli z radością i oświadczyli, że teraz mogą już spokojnie udać się w podróż. Wy — powiadam do nich — sądzicie, że powinniście mi być wdzięczni za to, a ja przeciwnie, to ja wam jestem wdzięczny, albowiem w waszym domu doskonale mi się śpi, pamiętam to jeszcze od tamtej nocy, kiedy wskutek zakazu poruszania się po mieście spędziłem u was noc. Kiedy wspomniałem czasy owego zakazu, wszyscy zaczęliśmy przytaczać szczegóły o tym, jak to człowiek wyszedł w dzień na miasto i nie mógł wrócić do domu, bo mandatowa władza angielska nagle wprowadziła godzinę policyjną i kto mieszkał daleko od miejsca, w którym się wtedy znajdował, a nie chciał być aresztowany, musiał poszukać schronienia u kogoś w mieście, w tym czasie rodzina nie wiedząc, co się z nim stało, drżała ze strachu. Od tego zakazu przeszliśmy do innych ciężkich zarządzeń wprowadzanych przez władzę mandatową, które wówczas wydawały się nam nie do zniesienia. I znowu zaczęliśmy mówić o tamtej nocy, kiedy wprowadzony został zakaz poruszania się po mieście. I chociaż było bardzo z tym źle, to jednak coś dobrego z tego wynikło, bo ludzie, zmuszeni do przebywania w domu, zaczęli poświęcać większą uwagę żonom i dzieciom, czego wcześniej nie robili, gdyż zwykle spędzali całe noce na zebraniach, konferencjach, posiedzeniach i zajmowali się

sprawami, które oddalają człowieka nie tylko od siebie, ale przede wszystkim od rodziny. A jeśli chcecie wiedzieć, to również sprawy społeczne na tym wygrały, bo im mniej było posiedzeń, narad i zebrań, tym lepiej się sprawy samoistnie toczyły i znajdowały lepsze rozwiązanie. Jeszcze jedna korzyść wynikła z owego zakazu, otóż ci wszyscy młodzi ludzie, którzy dotychczas pętali się bez celu po ulicach, zmuszeni zostali do przesiadywania w domach i w ten sposób bliżej poznawali córki właścicieli domu, w którym przebywali, i w końcu się z nimi pożenili. Tak to siedziałem z państwem Greifenbach i w trakcie rozmowy powiedziałem, że pora mi już iść. Pan Gerhard dał mi wtedy klucz od domu i pokazał, co i gdzie. Zaraz potem pożegnałem się z nim i jego żoną i udałem się w drogę do mego domu.

2

Pewnego razu wieczorem wyszedłem kupić chleb i oliwki. Moja żona z dzieckiem wyjechała do Gedery, zostałem sam w domu i żywiłem się tym, co sam kupowałem. Mając w rękach chleb i oliwki, zacząłem przechadzać się ulicami, przy których były sklepy. Wracać do domu nie miałem ochoty, bo nikogo tam nie było, a pracować też mi się nie chciało, bo i noc już zapadła. Chodziłem więc sobie bez określonego celu. I tak znalazłem się w dolinie, gdzie stał dom Greifenbachów. Błogosławiona cisza, panująca wieczorem w dolinach Jerozolimy, jest cudowna. Wydaje się, że okoliczne doliny zawierają w sobie cały świat. Zwłaszcza ta dolina, która otoczona drzewami i owiana czystym powietrzem, nie ma żadnej styczności ze złym powietrzem krążącym po świecie. Pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, rzucę okiem na dom Greifenbachów. Mam przecież klucz.

Wszedłem do środka, zapaliłem świecę i obszedłem pokoje. Cztery ładne pokoje i piękne przedmioty w nich się

znajdujące były w idealnym porządku, jakby ręce gospodyni nadal na nich spoczywały. A przecież minął już miesiąc, od kiedy Greifenbachowie wyjechali. U dobrej gospodyni, kiedy wyjeżdża, wszystko w domu pozostaje w należyтым porządku.

Nie byłem ani głodny, ani spragniony, trochę tylko zmęczony. Zgasilem lampę, otworzyłem okno i usiadłem, żeby odpocząć. Pełna tajemnic noc owiała mnie ciszą, tak że zdolny byłem ogarnąć wzrokiem panujący tu spokój. I żeby spełnić obietnicę daną Greifenbachom, postanowiłem tutaj przenocować. Wstałem z krzesła, zapaliłem lampę stołową, wziąłem książkę i na widok nocnej lampki przy łóżku ucieszyłem się, że nie będę musiał ruszyć żadnej rzeczy w domu nie należącym do mnie. Właściwie jak długo mam klucz w ręku, mogę się uważać za domownika, ale tkwiący w nas „obcy” nie pozwala mi poczuć się gospodarzem. Usiadłem na krześle pana Greifenbacha i pomyślałem, że w chwili, kiedy ja tu siedzę u nich w domu, Greifenbachowie, być może, szukają jakiegoś kąta i nie mogą go znaleźć, a jeśli nawet znajdą taki kąt, to nie będzie odpowiadał ich pragnieniom. Dlaczego ci ludzie zostawili takie piękne mieszkanie ze wspaniałymi rzeczami i udali się do obcych krajów? I co jest z tymi wszystkimi, którzy zostawiają swoje domy rodzinne i wędrują z miejsca na miejsce? Czy rządzi nimi odwieczne jakieś Prawo, czy też kieruje nimi zawodne złudzenie w myśl starego porzekadła, że „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

Zdjąłem buty, rozebrałem się, zgasilem lampę stołową i zapaliłem nocną lampkę przy łóżku, położyłem się, otworzyłem książkę i naraz poczułem, że ogarnia mnie senność. Jak to jest, myślę sobie, że ja, który zawsze w trudem zasypiam dopiero po północy, teraz na początku nocy odczuwam pragnienie snu? Odkładam książkę, gaszę światło, zamykam oczy i bezgłośnie, bez słów mówię do siebie, oto w tym domu możesz spać, ile dusza zapragnie, bo nikt nie wie, że tu jesteś, i nikt nie przyjdzie cię szukać.

Wokół panował spokój i cisza. Cisza, którą można znaleźć w dolinach Jerozolimy, taką ciszę Bóg zachowuje dla tych, którzy miłują spokój. Nie na próżno Greifenbachowie tak drżą o swój dom. Gdyby ktoś wdarł się do niego, nikt by tego nie zauważył. Za chwilę, za chwilę wyparuje ze mnie wszelka myśl, ale jeszcze kołacze się we mnie jakieś niewyraźne uczucie i całym moim jestestwem zapadam w sen.

I nagle słyszę jakiś szmer, jakieś szuranie i zrywam się. Chleb i oliwki położyłem na blasze, nie ma więc obawy, że myszy się do nich dobiorą, ale lękam się, że mogą pogryźć dywany, ubrania, książki albo liście, które dr Ginet podarował Greifenbachowi. Nastawiam uszu i słyszę, że to nie mysz szura, ale jakiś człowiek z zewnątrz stara się otworzyć drzwi. Jeśli to nie jest dziki lokator, to może nim być dr Ginet, który właśnie powrócił i pomylił drzwi. Myślę sobie, zejść, otworzę drzwi i poznam go osobiście.

Zszedłem z łóżka i otworzyłem drzwi. Przede mną stoi człowiek, który ręką dotyka dzwonka. Nacisnąłem kontakt i światło nad drzwiami się zapaliło. Zdumienie odjęło mi mowę. Nikomu przecież nie powiedziałem, że będę dziś nocował u Greifenbachów, sam zresztą tego wcześniej nie przewidywałem, skąd więc Gabriel Gamzo mógł wiedzieć, iż nocuję u Greifenbachów. Ach, to pan, panie Gamzo — mówię do niego. Proszę chwilkę poczekać, włożę tylko coś na siebie.

Wróciłem do pokoju, coś na siebie narzuciłem, nie przestając dziwić się nocnemu gościowi. Czy Gamzo zna właściciela domu, czy nie? Pan Greifenbach nie interesuje się przecież hebrajskimi książkami, tym bardziej rękopisami i pierwodrukami. Z wielkim trudem nauczył się hebrajskiego. I chociaż uważa się za znawcę języka i jego gramatyki, to w istocie rzeczy gramatykę zna na tyle, na ile wyuczył się z podręcznika Gezeniusa. Pani Gerda umie więcej od męża. W gramatyce nie jest mocna i Gezeniusa nie przerobiła, ale rozmówić się z handlarzami i ze swoją służącą Gracją potrafi. W każdym razie z hebrajskimi

książkami nic jej nie łączy. Powstaje więc znowu pytanie, co przywiodło tu Gamza? Wychodzi na to, że przyszedł do mnie. Gamzo wie, że chętnie się z nim spotykam, tak samo chętnie go widują ci, którzy go znają, bo jest to człowiek uczony, światowiec, bywalec dalekich krajów, do których jeszcze żaden turysta nie dotarł. Z tych właśnie dalekich krajów przywiózł utwory poetyckie nie znanych nam zupełnie autorów oraz rękopisy i pierwodruki, o których istnieniu, a tym bardziej nazwie nie mieliśmy pojęcia. Teraz nigdzie już nie wyjeżdża, siedzi w domu, z żoną. I oto człowiek ten stał się aniołem stróżem chorej żony. Mówią, że od poślubnej nocy nie wstała z łóżka. Czy to prawda, czy nieprawda, ale jedno jest pewne, żonę ma chorą, tak chorą, że życie powoli z niej uchodzi, a on musi bez przerwy koło niej się krzątać, myć ją, pielęgnować i własnoręcznie karmić. Ona zaś, mimo iż mąż poświęcił dla niej życie, wciąż go tłucze i drze na nim ubranie. Z tego to powodu dla załatwienia swoich interesów wychodzi dopiero w nocy, w dzień wstydy się pokazać na ulicy, bo ubranie ma postrzępione i podrapaną twarz. Teraz przyszedł do mnie. Czego chce? Zaoszczędził był dwanaście funtów, aby zapewnić żonie miejsce w klinice, pieniądze zaś bał się trzymać w domu, a nuż je ukradną, postanowił więc przechować je u mnie. Tak się akurat złożyło, że tego dnia wybrałem się na przejażdżkę po okolicy położonej nad Morzem Martwym i pieniądze zostawiłem w domu. Tymczasem przyszli złodzieje i okradli całe moje mieszkanie razem z jego pieniędzmi. Dałem mu zaraz znać, żeby się nie martwił o pieniądze. Przyszedł zapewne spytać, czy doprawdy gotów jestem zwrócić mu pieniądze, a że dotychczas nie zdążyłem tego uczynić, zjawił się tu w nocy. Tak sobie to wszystko w myślach wyobraziłem. Okazało się, że byłem w błędzie. Przygnały go tu nie pieniądze, ale zupełnie coś innego.

Ubrałem się, wracam do Gamza i pytam: czy przyszedł pan po pieniądze? Obraca ku mnie smutną twarz, patrzy na mnie wzrokiem człowieka zagubionego i cicho wymawiając słowa, powiada, wpuść mnie pan do środka. Wpuściłem go do mieszkania i podałem mu krzesło. Rozgląda się dookoła, przez chwilę milczy, po czym z trudem dobywając głos powiada „moja żona”. Przez chwilę znowu milczy, po czym dodaje, przychodzę do domu, a żony nie ma. To co pan — powiadam — chce teraz zrobić? Odpowiada Gamzo, proszę mi wybaczyć, że wpadłem nagle do pana. Niech pan sobie wyobrazi, wracam do domu po wieczornej modlitwie, wchodzę do pokoju prześcielić żonie łóżko, a ono jest puste. Idę więc szukać żony. Szukam tu, szukam tam. Biegnę od jednego końca miasta do drugiego i nagle widzę, że jestem w dolinie, sam nie wiem, jak się tu dostałem, patrzę, przede mną dom i wtem coś mnie zaczyna popychać do tego domu. Wiem, że nie ma sensu wchodzić, ale mimo to idę. I dobrze, żem pana tu spotkał. Pozwoli pan, że trochę posiedzę, a potem sobie pójdę. Panie Gamzo — powiadam — bardzo proszę, ale przecież mówią, że pańska żona nie wstaje z łóżka. W istocie, nie wstaje z łóżka. To jak pan mógł powiedzieć, że łóżko było puste? Jeśli nie mogła się ruszać, to jak mogła wstać z łóżka i wyjść z domu? Ona jest lunaticzką — wyjaśnia pan Gamzo.

Przez dłuższą chwilę siedzę i nic nie mówię. Potem powtarzam tylko, co on powiedział i z cicha pytam, lunaticzka? Odpowiada Gamzo, tak, lunaticzka. Patrzę na niego jak człowiek, który usłyszał coś takiego, czego nie jest w stanie zrozumieć. On to zauważa i powiada, zawsze w noc pełni księżycowej moja żona podnosi się z łóżka i podąża tam, dokąd prowadzi ją księżyc. Nie mogę się powstrzymać i ostro, podniesionym głosem powiadam, a pan drzwi nie zamyka? Gamzo uśmiecha się chytrze i powiada, ależ oczy-

wiście, że zamykam drzwi. Pytam go: jeśli pan zamyka drzwi, to jak ona może wyjść? Gdybym nawet zawiesił na drzwiach siedem zamków i każdy z nich zamknął siedmioma kluczami, i każdy klucz wrzucił do jednego z siedmiu mórz Erec Israe-la, moja żona by je i tak odnalazła, otworzyła drzwi i wyszła. Potem znowu go zapytałem, od kiedy pan wie, że ona jest taka, to znaczy, że jest lunaticzką? Gamzo przykładła ręce do czoła i grubymi palcami ścisnąwszy skronie, powiada: od pierwszego z nią spotkania już wiedziałem, że jest lunaticzką. Znowu zamilkłem, acz nie na długo, po czym zapytałem, a mimo to nie powstrzymał się pan od poślubienia jej? Zdjął kapelusz, wyjął jarmułkę, włożył na głowę i po chwili milczenia powiada, o co mnie pan pytał? Powtarzam pytanie. On się uśmiecha i powiada, i mimo to nie powstrzymałem się od poślubienia jej. Przeciwnie, kiedym ją pierwszy raz zobaczył, stała na czubku skały, na wysokiej górze, na którą nikt nie potrafił się wspiąć. Księżyc oblewał ją światłem, a ona stała i śpiewała hymn na cześć Boga, powiedziałem wtedy do siebie, jeśli ona nie należy do grona aniołów Szechiny, które jednoczą się z aniołami Boga, oby był błogosławiony, to z pewnością należy do konstelacji dwunastu gwiazd, wśród których jest gwiazdą dziewiczą. Udałem się do jej ojca i oświadczyłem, chcę poślubić pańską córkę. Powiada jej ojciec, synu mój, Gemula jest taka i taka, a ty chcesz się z nią ożenić. Odpowiadam mu, Bóg litościowy zmiłuje się nad nami. Podniósł ojciec Gemuli głowę i patrząc w niebo, powiedział, Władco Świata, jeśli ten oto człowiek, który przyszedł z daleka, zmiłował się nad nami, to Ty, który jesteś blisko nas, tym bardziej okażesz mu swoje miłosierdzie. Nazajutrz zawołał mnie i powiedział, chodź ze mną. No to poszedłem z nim i tak doszliśmy do góry w łańcuchu wysokich gór, które jak wieże wystrzeliły aż do nieba. Razem z nią wspiąłem się na górę i skacząc po skałach dotarliśmy do jednego ze szczytów. Tu on kilka razy rozejrzał się na wszystkie strony. Widząc, że nikogo nie ma, schylił się i zaczął

kopać w skale, po jakimś czasie podniósł kamień. Otworzyło się wejście do grotty i on do niej wszedł. Kiedy wyszedł z grotty, miał w ręku gliniany dzban, powiedział do mnie, chodź, wracajmy. W drodze podniósł pokrywę dzbana i pokazał mi wiązkę uschniętych liści, jakich w życiu nie widziałem, widniały na nich przedziwne litery jakiegoś niezwyklego, zupełnie mi nie znanego pisma, kolor tych liter, to znaczy kolor atramentu, którym zostały napisane, pochodził od barwnika dotychczas nie spotykanego. Na pierwszy rzut oka odniosłem wrażenie, że sofer, który je napisał, posługiwał się mieszanką ze złota, błękitu i purpury, do której dodał wszystkie podstawowe barwy tęczy. I kiedy stoję i patrzę na te liście, kolory liter zaczynają się zmieniać, przybierają na moich oczach barwę roślin wydobywanych z głębin morza i są podobne do owych roślin, które dr Rechnitz wyciągnął z morza w pobliżu Jaffy. I oto nagle wydało mi się, że litery wyglądają jak srebrne nici, które widzimy na księżycu. Patrzę na liście, patrzę na litery i patrzę na ojca Gemuli. W owej chwili wyglądał na człowieka przebywającego w innym świecie. I naraz to, co przedtem zdawało się czystą fantazją, zaczyna się klarować, staje się bardziej klarowne niż cokolwiek na świecie. A jeśli zapyta pan, co to wszystko znaczy, nie potrafię odpowiedzieć. Jeśli chodzi o mnie samego, wszystko jest dla mnie jasne, tak jasne, że jaśniejsze już być nie może. Sam się zresztą dziwię, że mogę tak twierdzić. Przecież nie brakuje mi słów. Mimo to cała rzecz jest dla mnie jaśniejsza niż wszystko, co można wyrazić słowami, całymi morzami słów. Teraz jednak jakby odjęto mi mowę, nie mam sił do zadania najważniejszego pytania. I nie te liście i nie te litery były tego przyczyną, tylko on, ojciec Gemuli. A co się tyczy liter, to wszystkie kolory, które przedtem na nich widziałem, jakoś pociemniały, zmieniły się i nie mogę zrozumieć, jak te litery potrafiły zrzucić z siebie poprzednią barwę i przybrać nową. I kiedy stoję ogarnięty zdumieniem, ojciec Gemuli bierze liście, wkłada je z powrotem do dzbana

i powiada do mnie tymi słowami, to są rośliny, którym dana jest moc wpływania na wyższe warstwy powietrza. W rok później, w noc poprzedzającą naszą uroczystość ślubną powiedział do mnie, czy pamiętasz te rośliny, które ci pokazałem na górze? Wiesz, czym one są? Nachylił się i szepnął mi do ucha — jest wśród nich taka, która jest segulą, czyli remedium, ale nie wiem, która to, wiem tylko, że zdolna jest wpływać na atmosferę wokół księżyca i na samym księżycu. Daję ci wszystkie te rośliny i jak długo będą w twoich rękach, tak długo będziesz mógł skutecznie wpływać na kroki Gemuli, aby nie upadła podczas lunatycznego chodzenia. Do dziś nie wyjąłem ich jeszcze ze schowka. A dlaczego ich nie wyjąłem? Ponieważ dopóki Gemula była w rozkwicie swojej doskonałości dziewczęcej, dopóty te rośliny nie działały na nią, ale teraz, kiedy wstąpiła w wiek zamążpójścia i wkrótce połączy się z mężem, będzie czerpała siłę z jego siły, a wtedy wystawiona będzie na inne próby. A kiedy nadejdą noce księżycowe, weźmiesz te rośliny i położysz je na oknie naprzeciw drzwi, i przykryjesz je tak, aby nikt ich nie zobaczył, ja zaś zapewniam cię, że kiedy Gemula wyjdzie w transie z domu, to powróci do niego i pozostanie w nim aż do powtórnego pojawienia się księżyca na niebie.

Powiadam do niego, dzisiaj zapomniał pan zrobić to, co polecił panu teść. Nie — powiedział Gamzo — nie zapomniałem. To dlaczego — powiadam — doszło do tego? Rozkłada Gamzo swoje dwie puste ręce i powiada jakby do siebie, roślina — remedium Gabriela zniknęła. Chyba siła — powiadam — zawarta w remedium zniknęła, na to on powiada, nie siła remedium, ale samo remedium zniknęło. Pytam go, czy pańska żona nie połamała aby wiązki roślin, wśród których było owo remedium? Moja żona — powiada Gamzo — tego nie zrobiła. To ja sam jestem winien. Sprzedałem je. Sprzedałem przez omyłkę. Odbywał się właśnie kongres uczonych. Uczeni z całego świata zjechali do Jerozolimy. Wielu z nich przyszło do mojego sklepu po książki i rękopisy. I kiedy

przebierali w stosie książek, jedni z prawej strony, a drudzy z lewej strony, remedia zaplątały się między rękopisami i ja je sprzedałem nie wiedząc nawet, komu. I chociaż zawsze pamiętam, komu sprzedałem ten czy inny rękopis, tym razem wyjątkowo nie pamiętam. Pieniądze zaś, te nieszczęsne dwanaście funtów, które za nie otrzymałem i za które miałem umieścić Gemulę w domu dla nieuleczalnie chorych, dałem panu na przechowanie. Gamzo trzymał się za głowę i rękami ścisnął skronie. Potem jednym palcem wytarł ślepe oko, bo Gamzo jest ślepy na jedno oko, a kiedy jest zdenerwowany, trze je aż do krwi. Wytarłszy oko, popatrzył na mnie wzrokiem człowieka czekającego na odpowiedź. Zastanawiam się, co mu odpowiedzieć. Nic mu nie powiem. Siedzę i milczę. Odzywa się Gamzo, zdaje mi się, że Gemula zna tego, co nabył te remedia, czyli segulot, jest nim zapewne ten jerozolimski uczony, który podczas mojego pobytu w Wiedniu odwiedził był jej rodzinny kraj. Mam na to dwa dowody. Po pierwsze, tego dnia, kiedy zginęły segulot, Gemula przez cały dzień śpiewała hymn swego kraju, czego od przyjazdu tutaj nie czyniła, po drugie, tego samego dnia zaczęła mówić znowu w swoim dawnym języku, czego również od rozstania z ojcem nie czyniła, nikt więc inny, tylko ten uczony z Jerozolimy spowodował to wszystko, na jego bowiem widok przypomniały jej się dawne czasy spędzone w rodzinnym domu. Podczas tamtej wizyty nabywca miał również na sobie strój uczonego z Jerozolimy, miasta, którego świętość powinna go była chronić przed gojami.

I znowu zaczął Gamzo trzeć ślepe oko, które między jego palcami wysyłało do mnie uśmiezek, jakby trochę z niego pokpiwało, a do mnie znacząco mrugało, oto masz przed sobą człowieka, co sprzedał rzecz, od której zależy życie jego i żony. Ja się z niego nie śmiałem, przeciwnie, było mi go żal. Nagle wpadło mi do głowy, że może to dr Ginet wszedł w posiadanie segulot Gamza, albowiem słyszałem od Greifenbacha, że dr Ginet ma kolekcję segulot i kilka kopii jemu

podarował. Pytam Gamzo, na czym te segulot były napisane, na papierze czy na pergaminie? Odpowiada, ani na papierze, ani na pergaminie, ani na skórze, ale jak panu od razu powiedziałem, na liściach.

Obliczyłem dni i doszedłem do wniosku, że jest niemożliwe, aby dr Ginet kupił te segulot, bo kongres uczonych, zaraz, kiedy to było? ależ w dziesiątą rocznicę ślubu Greifenbachów, a jeśliby nawet odbył się wcześniej, to też jest nie do pomyślenia, żeby taki prawdziwy Europejczyk, jakim jest dr Ginet, miał się przebrać za jerozolimskiego uczonego, zakładając, że mu uwierzę.

W swoim życiu Gamzo zdobył sporą wiedzę, wykształcił wielu uczonych i zjeździł prawie cały świat. Nie ma takiego żydowskiego skupiska na świecie, w którym by nie był. Przywiózł stamtąd oprócz rękopisów i pierwodruków bajki, zapiski obyczajowe, przypowieści, przysłowia oraz zwykłe, zasłyszane po drodze rozmowy ludzi i cokolwiek opowiadał, zawsze miało to związek z konkretną sytuacją, potrafił z każdego wydarzenia wyciągnąć wnioski na przyszłość, a kiedy toczyła się rozmowa na jakiś temat, zawsze potrafił wtrącić coś sensownego. Teraz także szybko odpędził od siebie żal za utraconymi segulot i zaczął rozprawiać na temat zawartej w nich nauki.

Siedzi i skręcając w bibułce papierosa, opowiada o zaletach segulot, które są lepsze od lekarstw, ponieważ większość leków figurujących w książkach dawniejszych lekarzy jest zawodna, nie można na nich polegać, bo natura człowieka zmieniła się, a kiedy ciało ulega zmianie, lekarstwa również powinny być zmienione. Segulot natomiast nie podlegają żadnej zmianie, są niezmiennie takie same, ponieważ zależą od gwiazd, a że gwiazdy pozostają zawsze takie same, zawsze wywierają wpływ na wszystkie stworzenia, a szczególnie na człowieka, gdyż od gwiazdy, pod którą się urodził, zależy jego los, tak bowiem powiada Gemara: „wszystko zależy od gwiazdy, gwiazda czyni człowieka mądrym i bo-

gatym”. Również choroby człowieka zależą od gwiazd, bowiem Bóg obdarzył mocą wpływania na ziemski świat, zarówno w kierunku dobra, jak i w kierunku zła. Także ziemia zmienia się pod wpływem gwiazd, sławny Ibn Ezra powiedział, że miejscowości na ziemi ulegają zmianom w zależności od gwiazdy świecącej nad nimi, i dodał, że astrologi na tym się znają. Nie należy jednak przypisywać gwiazdom własnej mocy i własnej woli, cała bowiem ich moc i wola pochodzą od Stwórcy, który wydaje im polecenie, co i jak mają robić, tak jak to było z arcykapłanem, któremu Stwórca polecił i ukazał, co ma robić w noc Jom Kipur, żeby nie zasnął. Do czego więc potrzebne są Bogu gwiazdy? Ano po to, że każde działanie, każdy czyn człowieka jest jego odpowiedzią na polecenie Boga, w tym wypadku chodzi o hymn pochwalny do Boga, jako że jest napisane: „i odpowiedzieli Bogu z podziękowaniem”.

Król Dawid zaś napisał: „niebiosa głoszą cześć Boga, a firmament mówi o Jego czynach”. A wszystko, co Bóg stworzył, dla dobra Żydów stworzył, aby świadomie głosili Jego chwałę i opiewali Jego wielkość, a przez to urzeczywistnione zostanie to, co napisane: „Stworzyłem ten naród po to, aby głosił moją chwałę”. Gwiazdy są jak aniołowie: w połowie są męskiego i w połowie żeńskiego rodu. Nawzajem się pożądatają, tak na górze i tak na dole, jak to bywa między mężczyzną a kobietą, którzy pod wpływem swoich gwiazd ciągną ku sobie. Jeśli tak jest, to na czym oparli się synowie plemienia Benjamin, którzy w winnicach porwali córki Sylo i pojęli je za żony. Czy nie zastanawiali się nad tym, że te kobiety nie zostały im przeznaczone z góry? Oni byli świadkami tego, że Świątynia Pańska zostanie zbudowana na górze w ich krainie, gdzie wszyscy Żydzi są braćmi, gdzie barwa plemienia Benjamin podobna jest do barwy pozostałych plemion i dlatego uznali porwane przez siebie kobiety za prawowite małżonki.

Snując tego rodzaju myśli, które dowolnie można ciągnąć i dowolnie przerywać, Gamzo zakończył rozważania nad gwiazdami i przeszedł do relacji ze swoich podróży. Jeśli chce pan — powiada do mnie — zobaczyć Żydów z okresu tanaitów, to proszę pojechać do miasta Amadia. Mieszka tam czterdzieści żydowskich rodzin, są to Żydzi pobożni, pilnie przestrzegający Prawa. Wszyscy codziennie rano odprawiają modły, ale tak naprawdę modlić się nie umieją, znają tylko jeden werset z modlitwy „Szema Israel” i wiedzą, kiedy powiedzieć „amen”. Oprócz chachama i jednego starego Żyda nikt nie nakłada tefilin. W synagodze siedzą i milczą, i tylko wtedy, kiedy prowadzący modlitwę chazan* kończy błogosławieństwo, nabożnie mówią „amen”, a podczas odmawiania Kriat Szema z lękiem i drzeniem w sercu powtarzają za chazanem werset. Drżą tak, jakby za chwilę mieli poświęcić swoje życie Bogu. W pobliżu Amadii koczują pasterze wysokiego wzrostu i mocno owłosieni, razem z owcami nocują wśród skał i o nakazach Tory nie mają pojęcia, nawet w Rosz Haszana nie przychodzą do bóżnicy się modlić. Zapewne ich miał na myśli autor Miszny, jest bowiem w niej napisane „przechodzą obok synagogi i słyszą dęcie w szofar”. Raz do roku przychodzi chacham z Babilonii, żeby dokonać obrzezania wszystkich chłopców urodzonych w ciągu roku.

Pytam Gamza, czy pańska żona pochodzi stamtąd? Moja żona — odpowiada Gamzo — nie pochodzi stamtąd. Moja żona pochodzi z innej miejscowości, mianowicie z gór. Z początku jej rodzice mieszkali nad rzekami, w pobliżu żyznych pastwisk, sąsiedzi napadli na nich, oni mężnie im się przeciwstawili i przegнали napastników. Upojeni własną siłą, stworzyli zbrojne oddziały i sami napadli na sąsiednie narody, albowiem źle zrozumieli błogosławieństwo dane przez Jakuba plemieniu Gad,

* *Chazan* — kantor synagogałny.

które brzmiało: „Gad — rozbójnicy napierać będą, ale on będzie deptać piętę ich”. Uważali się za potomków Gada, nie wiedzieli jednak, że to błogosławieństwo ważne było tylko wtedy, kiedy mieszkali w Erec Israel, a nie teraz, kiedy są rozproszeni wśród innych narodów. Napadnięte przez nich narody otoczyły ich i pokonały, wielu zostało zabitych i wielu stało się niewolnikami zwycięzców. Ci, którym udało się uniknąć śmierci i niewoli, zbiegli w góry i założyli nowe osiedla. Mieszkają tam w stałym lęku przed otaczającymi ich obcymi narodami. Tylko raz na kilka lat przychodzą do nich komornicy, aby ściągnąć daninę, kto chce, ten płaci, a kto nie chce, zabiera broń i tak długo ukrywa się w górach, aż komornicy odejdą. Nieraz zdarza się, że taki zbieg nie wraca już z kryjówki w górach, często bowiem pada ofiarą drapieżnych orłów. Przez wszystkie lata wygnania czekają na powrót do Erec Israel, czekają, bo Bóg przez Mojżesza, pokój jego duszy, obiecał, że wszyscy wrócą do rodzinnego kraju położonego po drugiej stronie Jordanu, nikogo w tym powrocie nie zabraknie i każdy wróci z okazałym majątkiem. Gamzo dodaje, że w tym czasie, kiedy do nich przybył, ludzie byli bardzo osłabieni, wielu z nich było chorych, długo trwające wygnanie po prostu wyczerpało ich siły. Muszę jednak dobrym słowem wspomnieć mego teścia Gewarię ben Gauela, który podtrzymywał ich na duchu, czytał im agady* i midrasze, czytał i od razu tłumaczył na używany przez nich język poszczególne fragmenty z będącej w ich posiadaniu księgi Talmudu Jerozolimskiego. W ten sposób wzmacniał ich serca i zapoznał ze wszystkimi obietnicami Boga związanymi z dniami Mesjasza.

O Gewarii ben Gauelu Gamzo powiada, był to siłacz. Miał twarz lwa i siłę wołu, a w nogach był lekki jak orzeł w locie. W ustach miał słowo Boga, a w ręku ostry miecz. Przewodził modlitwom w synagodze i wyrabiał broń. Leczył chorych i wypisywał talizmany, uczył panny młode tańczyć i śpiewać pieśni weselne. Pieniądzy nie brał, wszystko, co czynił, dla

* *Agady* — baśnie, przypowieści, mitologie stanowiące część Talmudu.

Imienia Boga czynił. Jego córka Gemula, moja przyszła żona, pomagała mu w tym, bo ona najlepiej знаła wszystkie pieśni, zarówno te, które zwykle śpiewali w czasach, kiedy mieszkali nad rzekami, jak też te, które powstały w górach. Ach, gdyby pan widział — wzdycha Gamzo — mego teścia Gewarię, jak stał na wierzchołku skały, czapka na nim niebieska, włosy na głowie i brodzie rozwiane na wietrze, a brązowe oczy świeciły jak dwa słońca, nogi bose, a skóra na nich w kolorze złotym, grubymi palcami uderza w skałę i ta pod nim się rusza, i z przepaści rozlega się śpiew, on dyryguje, a jego córka Gemula wtóruje, i dwadzieścia lub dwadzieścia siedem dziewcząt tańczy, a wszystkie dziewczęta są piękne i wszystkie wywodzą się ze szlachejnych rodów. Widząc to, miałby pan dokładny obraz tego, jak Żydzi ongiś obchodzili swoje święta.

A skąd się pan tam wziął? Pojechałem, odpowiada Gamzo, szukać starych rękopisów. Przeprowałem się przez morza, czterdzieści dni wędrowałem przez pustynię. Wtem rozpętała się burza piaskowa. Nie zdążyłem w porę przytknąć głowy do ziemi, jak to czynią ludzie obeznani z pustynią podczas ataku piaskowej fali — kładą się na ziemię i chowając w niej głowę tak długo ją trzymają, aż piaskowa fala nie przetoczy się nad nimi. Oczy miałem więc pełne piasku, oślepiłem i nie mogłem iść dalej. Przewodnik karawany na widok mego nieszczęścia wziął mnie za rękę i przez kilka dni prowadził przez pustynię, aż doszliśmy do ludzkiego osiedla, tu zaprowadził mnie do jakiegoś domu i powiedział, oto jesteś u człowieka z twego rodu. Tym człowiekiem był właśnie Gewaria ben Grael. On sporządził dla mnie lekarstwa i segulot, a jego córka pielęgnowała mnie w czasie, kiedy byłem przykuty do łóżka.

Gemula liczyła wtedy dwanaście lat, a jej wdzięki i urok nie miały sobie równych w świecie. Kiedy wymawiała najprostsze słowa, jak na przykład „Gabrielu, bandaż ci się przesunął” albo „zamknij oczy, bo chcę ci je przetrzeć ma-

ścią”, serce moje wypełniało się taką błogością, jakbym usłyszał najpiękniejszą melodię. A kiedy śpiewała, głos jej przypominał najpiękniejsze trele ptaków, żadne stworzenie na świecie nie potrafi wydobyć z siebie takiego głosu. Z początku nie mogłem zrozumieć ich mowy, mimo iż rozmawiali ze mną po hebrajsku. Używają bowiem w rozmowie więcej długich samogłosek i mniej pustych samogłosek, w ogóle każde słowo wymawiają jakoś inaczej i w zgoła innym rytmie. Nie dostrzegłem różnicy między ich hebrajskim a ich codziennym językiem, którego poza nimi nikt nie rozumie. Oprócz tego języka Gewaria i jego córka Gemula posługiwali się jeszcze jednym językiem. Wiele razy widywałem ich rozmawiających wieczorami w domu, Gemula trzymała na kolanach kózkę, a nad głową ojca krążył ptak. Niekiedy rozmawiali grzecznie i spokojnie, czasem porywczo i gwałtownie, a bywało, że nawet nerwowo. Słuchałem i nic nie rozumiałem, aż pewnego dnia Gemula wyjaśniła mi, że dla zabawy ona i jej ojciec wymyślili specjalny język. Od czasu opuszczenia domu Gemula nie wymówiła ani jednego słowa w tym języku, nie zaśpiewała też ani jednej ich piosenki, tylko w noc pełni księżycowej, kiedy ruszała w drogę, śpiewała pieśni w ich języku. Zawsze, kiedy wiał wiatr, miała ochotę na placki, jak mawiała, księżycowe. Robiła je z kawałków ugniecionego ciasta i piekła na rozgrzanych węglach. A teraz, do widzenia, pójdę zobaczyć, może moja żona już wróciła.

Gamzo wstał, zdjął jarmułkę i włożył kapelusz. Nie dochodząc do drzwi zawrócił i założywszy ręce do tyłu, zaczął krążyć po pokoju. Po jakimś czasie powiada do mnie, dziw mnie bierze, jak się tu dostałem, zwłaszcza że światła w domu nie było i nie miałem pojęcia, że pana tu zastanę, musi w tym coś być, w każdej bowiem rzeczy tkwi jakiś sens. A kto właściwie tu mieszka? Niejaki doktor Greifenbach — odpowiadam — mieszka tutaj. A gdzie on teraz jest? Wyjechał z żoną za granicę — od-

powiadam, czy pan może zna Greifenbachów? Nie — mówi Gamzo — pan Greifenbach jest doktorem? Kiedyś był doktorem — odpowiadam mu — ale dlaczego pan pyta? Czy oprócz nas nie ma tu nikogo — pyta Gamzo. Nie — odpowiadam — tylko my dwaj. Zanim Greifenbachowie wyjechali, obiecałem im pilnować mieszkania, ponieważ bali się, że zwolnieni z wojska żołnierze mogliby zająć ich dom. Właśnie dzisiaj spełniłem moją obietnicę, przyszedłem, aby tu przenocować. Gamzo nastawia uszu i powiada, czy w tym domu nie ma jakiegoś innego lokatora? Odpowiadam mu, owszem, mieszka tu taki jeden, ale teraz nie ma go w domu, a dlaczego pan pyta? Gamzo zaczerwienił się i zamilkł. Po chwili odzywa się znowu, a jak się nazywa ten lokator? Podaję mu nazwisko lokatora. Czy to ten sławny dr Ginet? Czy pan go zna? — pytam go. Nie znam go — odpowiada Gamzo — o jego książkach dużo słyszałem, chociaż sam ich nie czytałem. Nie zwykłem zaglądać do książek, które nie mają jeszcze pięciuset lat. Książki Gineta — powiadam do niego — mają więcej niż cztery tysiące lat. Uśmiecha się na to Gamzo i powiada, dla mnie dzban jest ważniejszy od wina. Jeśli tak — mówię ja — to po czterystu latach zajrzy pan do książek Gineta. Na to powiada Gamzo, jeśli w trzecim lub czwartym moim wcieleniu będę się zajmował książkami, to być może zajrzę do książek Gineta. Żyd — powiadam do niego — może przejść tylko przez dwie lub najwyżej trzy metamorfozy, chyba że za życia nie wypełnił któregoś z przepisanych sześciuset trzynastu nakazów i zakazów Tory. W tym wypadku może przejść przez cztery, a nawet tysiące metamorfoz. Inaczej być nie może, a pan mówił o czwartym wcieleniu. Powiada Gamzo, pomyliłem się, pan zna moją opinię o tym, że Żyd nie może głosić żadnej myśli, jeśli ta nie jest oparta na jakimś wersecie z Pisma, nie mówiąc już o takiej, która pozostaje w jawnej sprzeczności z odpowiednim werselem. I niech pan nie próbuje

powoływać się na współczesnych badaczy Pisma, którzy przekręcają wiecznie żywe Boskie słowa. Tego nauczyli się nasi badacze od gojów, ale w głębi serca wiedzą, że nie można oderwać wersetu od jego tradycyjnego, utrwalonego znaczenia. Chasydscy cadycy również przekręcają wersety, ale oni studiują Torę dla samej Tory i dla chwały niebios i przyświeca im przy tym wzniosła myśl Boża. Natomiast krytycy, którzy zajmują się Torą nie dla niej samej, przekręcają wersety tak, jak im się żywnie podoba. Więc powiada pan, że dr Ginet mieszka tutaj, czy pan go zna? Nie, nie znam go — odpowiadam — i wątpię, czy go kiedyś poznam. On ukrywa się przed ludźmi, nawet właściciele domu, w którym mieszka, nie widują go. To dobry — powiada Gamzo — znak dla uczonego, jeśli nikt go nie zna, osobiście lubię tych uczonych, którzy nie wystawiają się na widok publiczny. Coś panu powiem, przyjeżdżam któregoś dnia do Londynu i dam znać pewnemu uczonemu, że przywiozłem rękopisy. Ten natychmiast zjawia się w moim pokoju, i to nie sam, tylko w towarzystwie dwóch osób, dziennikarza i fotografa. Bierze do ręki moje rękopisy, zasiada z miną uczonego i udaje, że wpatruje się w nie, tymczasem fotograf robi zdjęcia. Po kilku dniach przynoszą mi gazetę. Patrę, na zdjęciu siedzi mój uczoney otoczony książkami, a pod zdjęciem hymn pochwalny na cześć tego uczonego, który odkrył nikomu nie znane dotychczas książki. I co pan na to powie? Cóż — powiadam — powiem to samo, co pan. Przez chwilę Gamzo patrzy na mnie, po czym mówi, przecież pan nie wie, co ja chcę powiedzieć, więc jak pan może powiedzieć to samo co ja? Ja — odpowiadam — wcale nie mówię tego samego, co pan. To co — powiada Gamzo — pan sobie kpi ze mnie? Nie kpię — odpowiadam — z pana, tylko z tego uczonego i jemu podobnych, którzy marnują siły zajmując się ubocznymi sprawami, aby tylko móc uchodzić w oczach ludzi za uczonych. Gdyby spożytkowali swoje siły dla

prawdziwej nauki, to może staliby się bardziej sławni. Nie — powiada Gamzo — nie staliby się bardziej sławni. Więc wygląda na to — powiadam — że postępują słusznie. Teraz — rzecze Gamzo — to już naprawdę sobie pójdę.

5

Wróciłem do pokoju Greifenbachów i położyłem się spać. Ledwo zamknąłem oczy, zapadłem w sen, spałem dobrze, aż w pewnej chwili usłyszałem turkot kół przejeżdżającego pociągu. Pociąg dojechał do Garmisch i tu się zatrzymał. Otwierają się drzwi wagonu i przed moimi oczami roztacza się widok wysokich gór i wielu źródeł wody, słysząc, jak ktoś śpiewa „jedał, jedał”. Coś mnie pchnęło, żeby pójść za tym głosem. I wtedy drzwi wagonu zamknęły się. Wyplął księżyc i pokrył mnie światłem. Uśmiechnąłem się do niego moim zdrowym okiem, a on odpowiedział mi uśmiechem całego oblicza.

Żadnego pociągu nie było. Na łóżku w domu Greifenbachów leżę ja. Przewróciłem się na drugi bok, naciągnąłem kołdrę aż po czoło, bo księżyc świecił mi prosto w twarz. Leżę i rozmyślam o świecie, który jest zamknięty i nie do każdego miejsca, do którego chcielibyśmy pojechać, możemy się udać. Tylko do księżyca, który płynie nad światem i śpiewa, otwarta jest droga.

Po zjedzeniu obiadu w restauracji na mieście wróciłem do domu, do swojej zwykłej pracy. Chciałem zaparzyć kawę, ale okazało się, że w kranie zabrakło wody. Wszedłem więc na dach, aby zajrzeć do beczek z wodą. Beczki prażyły się w słońcu i na ich dnie ledwo rysowała się wilgoć. W Jerozolimie brakowało wody. Przerwałem więc pracę i udałem się znowu do domu Greifenbachów, u nich bowiem jest studnia z wodą deszczową, takie studnie są w starych domach

Jerozolimy, a gromadzona w nich woda deszczowa zdatna jest do picia.

Zmienne były losy domów w Jerozolimie. Nie ma takiego domu, który by nie był otoczony jakąś legendą, a tyczy się to przede wszystkim pierwszych domów wzniesionych poza murem miasta.

Jakieś siedemdziesiąt lat temu przybył z Galipoli do Jerozolimy bogaty mąż, senior Gamliel Giron, aby spędzić ostatnie lata żywota w świętym mieście. Nie znalazł odpowiedniego dla siebie mieszkania, bo społeczność żydowska mieszkała wówczas ściśnięta wewnątrz Starego Miasta okolonego murem, gdzie każde podwórze gęsto zabudowane było domami, a w każdym domu wprost roilo się od licznych rodzin. Poszedł wtedy i kupił dwa tysiące dunamów* ziemi poza murem miasta, skąd schodzi się w dół do bramy Sychem. Zbudował tam duży, okazały dom i założył wokół niego sad, a że miał stąd daleko do ludzkiego skupiska i tym samym do bóżnicy, zamienił jeden z pokoi swego domu na dom modlitwy i za opłatą wynajął niezbędną liczbę ludzi do nabożeństw. Przed śmiercią sporządził testament, w którym zapisał dom Towarzystwu Dobroczyńności. Po upływie pewnego czasu nowi zarządcy domu musieli zapłacić podatek na rzecz wojska i nie mając pieniędzy oddali dom w zastaw. Przez długi czas nie mogli spłacić pożyczki i w końcu pożyczkodawcy wystawili dom na licytację i sprzedali go. Dom kupił Niemiec Gotthold Genzi-Klein, przywódca grupy templariuszy wywodzącej się ze wspólnoty „Der Gerechten”, założonej w mieście Zgorzelcu przez Gottfrieda Greilicha. Do domu więc wprowadził się ów Gotthold wraz z żoną i teściową. Zaczął tam organizować zebrania, na których głosił swoją ideę opartą na trzech podstawowych nakazach dotyczących się wyzwolenia ciała i rozszerzenia granic duszy. Pewnej nocy wybuchła sprzeczka między jego żoną a jej matką. Aby mężowi obrzydzić matkę, córka odgryzła jej nos. Wieść o tym szyb-

* *Dunam* — miara powierzchni ziemi w Izraelu, mniej więcej 1000 m².

ko się rozniosła po mieście i Genzi-Klein ze wstydu musiał opuścić kraj.

Zjawili się trzech facetów, trzech szwagrów, wyspecjalizowanych w wytwarzaniu sera. Odkupili dom i zaczęli wytwarzać ser. Wybuchła wojna światowa i pojawił się Kemal Pasza, który przepędził serowarów, padło bowiem na nich podejrzenie, że są syjonistami, czego najlepszym dowodem było to, że na jakimś ich serku była nalepka z Gwiazdą Dawida. Po wojnie przybyła do kraju delegacja syjonistyczna, która wymogła ten dom dla jednego ze swoich ludzi, niejakiego George'a Gendinbroga. Robotnicy uprzątnęli śmieci, wyremontowali dom, doprowadzili sad do porządku i postawili wokół niego parkan. Nie zdążył pan Gendinbrog się wprowadzić, kiedy jego żona oświadczyła, że nie ma zamiaru mieszkać w Jerozolimie. Wrócili wtedy Gendinbrogowie do swego Glasgow, a w domu otwarto biuro. Podczas trzęsienia ziemi dom uległ uszkodzeniu. Przez wiele lat stał pusty, aż pewnego dnia przyszedł Gerhard Greifenbach i wykupił go. Wyremontował, odnowił, założył elektryczność, doprowadził do niego wodę ze zbiornika i zainstalował wiele nowoczesnych urządzeń. Przemieszkali w nim Greifenbachowie ładnych kilka lat, aż nagle zachciało im się wyjechać za granicę, aby tam z dala od rodzinnego gwaru odpocząć, ja zaś obiecałem im roztoczyć opiekę nad domem i pilnować, aby nikt do niego się nie włamał. Gerhard i Gerda w tej chwili wędrują gdzieś po świecie, a ja spędzam w nim już drugą noc z rzędu.

Dom stoi w pewnym oddaleniu do miasta, w dolinie pośrodku sadu i teraz świeci światłem księżyca. Tym samym światłem świeci cały sad i wszystko, co w nim jest. Drzewa i krzaki rosną oddalone od siebie, nic ich nie łączy i tylko księżyc nie czyni różnicy, świeci nad każdym z nich.

Stoję przy oknie i patrzę w głąb sadu. Każde drzewo i każdy krzak drzemie albo nawet śpi i oto spośród drzew dochodzi do mnie odgłos kroków. Jeśli nie jest to dr Ginnet, który wraca z podróży do domu, to może być Gabriel Gamzo,

którego wczoraj przy pożegnaniu poprosiłem, aby zawiadomił mnie, co z żoną. Zresztą może to być zupełnie kto inny.

Światło księżycy wprowadziło mnie w błąd. Ten, który nadchodzi właśnie, to nikt inny, tylko Gamzo. Poszedłem, otworzyłem drzwi i wpuściłem go do mieszkania. Gamzo wziął sobie krzesło i usiadł. Wyciągnął bibułkę i skręcił papierosa. Wkłada papierosa do ust, zapala go, zaciąga się i wcale nie zwraca uwagi na to, że ja stoję i czekam, aby mi powiedział, co z żoną. Stoję, złoścę się i milczę. Odzywa się Gamzo, co to, pan wcale nie pyta o moją żonę. Słucham — powiadam mu — to pan ma opowiedzieć. Rzeczywiście — powiada Gamzo — ja mam opowiedzieć, ale czy nie ma tu jakiejś popielniczki? Poszedłem i przyniosłem mu popielniczkę. Prawą ręką sprawdził, gdzie ma położyć niedopałek, spojrzął na mnie zdrowym okiem i jednocześnie przetarł drugą ręką ślepe oko, po czym koniuszkiem języka zwilżył prawą rękę mówiąc, myślałem, że sparzyłem sobie palec od niedopałka, tymczasem widzę, że ugryzł mnie moskit. Czy tu są moskity? Może są — odpowiadam — a może nie ma, w każdym razie z wielkiej radości, że taki drogi gość mnie odwiedził, wcale ich nie czuję. Czy Gamzo odczuł ich obecność, nie wiem, bo zaraz oświadczył, odnalazłem ją, odnalazłem, leżała w łóżku, spała mocnym snem. Warto by było dowiedzieć się, jak Gamzo odnalazł żonę. Nie będę jednak o to pytał. Jeśli sam opowie, będę słuchał, jeśli nie, to nie trzeba, nie chcę, aby pomyślał, że go przysłuchuję. Mijają chwile, on nic nie mówi, wygląda na to, że o tym zupełnie zapomniał. Nagle, jakby wyrwany ze snu, łapie się za czoło, zaczyna opowiadać, jak to wrócił do domu, otworzył drzwi, rozejrzał się po mieszkaniu, nie spodziewając się nikogo zastać. Wtem usłyszał jak ktoś w pokoju oddycha. Pomyślał, że mu się tylko wydaje, gdyż ciągle myśli o żonie. Podchodzi do łóżka, a tu ona. Z radości aż dusza wyskoczyła mu z ciała i gdyby oddech żony nie wepchnął jej z powrotem, to by umarł na miejscu.

Z wielkiego zdumienia nie mogłem wyrzec słowa. Przecież wczoraj wyraźnie mu powiedziałem, że wracam do mego domu w mieście, to znaczy że dzisiaj nie miałem nocować w domu Greifenbachów, więc jak to się stało, że tu przyszedł? A jeszcze bardziej się zdziwiłem, że w taką księżycową noc zostawił żonę samą w mieszkaniu. Doskonale przecież wiedział, co księżyc z nią wyczynia. Wiem — odzywa się Gamzo — że pan się dziwi, iż zostawiłem żonę samą w domu. Rzeczywiście — odpowiadam — dziwię się, że zostawił pan żonę samą w domu. Uśmiecha się Gamzo swoim żywym albo może ślepym okiem i powiada, teraz jeśli Gemula nawet zerwie się z łóżka, to już tego czynić nie będzie. Pytam go — czy znalazł pan tę sprzedaną segulę? Nie — odpowiada — nie znalazłem jej. To jak — powiadam — mógł pan zostawić żonę? Czy księżyc ślubował panu tej nocy nie zaczepiać Gemuli? Proszę to wyjaśnić, panie Gamzo, proszę powiedzieć, skąd nagle pewność, że nie wyjdzie z domu? Znalazłem, odpowiada Gamzo, na to lekarstwo. Z pewnością — powiadam do niego — był pan u lekarza, a ten dał panu odpowiedni lek. Nie — odpowiada Gamzo — nie byłem wcale u lekarza, ja w ogóle nie chodzę do lekarzy, oni wprawdzie znają nazwy wszystkich chorób i wszystkich leków, ale ja nie cenię sobie lekarzy. Ja cenię człowieka, który dzięki studiowaniu Tory potrafił oczyścić swoje ciało i znaleźć lekarstwo na wszelką dolegliwość, zwłaszcza zaś na taką, która ma związek z duszą. Powiadam do niego, czy znalazł pan takiego właśnie człowieka i ten dał panu lekarstwo dla Gemuli? Ja — powiada Gamzo — mam już to lekarstwo od dłuższego czasu. Kiedy uczyłem się w jesziwie rabiego Szmuela Rosenberga w Insdorfie, przyszła do niego pewnego razu kobieta i opowiedziała, że w jej zajeździe mieszka chory na serce młodzian, który w dodatku jest lunatykiem. W noc księżycową wychodzi przez okno na dach i z tego dachu przechodzi na inne dachy, w każdej chwili może się obudzić, a wtedy spadnie i zabije się. Ona już była u wie-

lu lekarzy, ale okazało się, że na to nie ma lekarstwa. Rabi Szmuel wysłuchał ją i powiedział, trzeba wziąć jakieś stare grube ubranie, włożyć je do zimnej wody, żeby dobrze namokło, a potem położyć je przed łóżkiem młodzieńca, ten, kiedy w transie zejdzie z niego, nastąpi na zimne i mokre ubranie, obudzi się i wróci do łóżka. Kobieta tak zrobiła i wszystko od tego czasu było w najlepszym porządku. Dzisiaj ja tak samo zrobiłem i jestem pewny, że Gemula wstawszy z łóżka, nastąpi bosymi nogami na mokre ubranie i obudzi się.

Słucham go i nie mogę opanować zdziwienia. Jeśli to jest skuteczny środek, to dlaczego Gamzo dotychczas go nie stosował. Gamzo wyczuwa to i powiada, pan zapewne się dziwi, dlaczego dotychczas tak nie postąpiłem. Ja na to powiadam, tak, dziwię się, że panu tak przejętemu segulotami, które należą do nadprzyrodzonych zjawisk, nie mogło wpaść do głowy sięgnąć po środki naturalne. Mogę panu — mówi Gamzo — udzielić na to dwóch odpowiedzi. Po pierwsze, segulot też są lekarstwami. Pewnego razu zachorowałem w drodze i tylko dzięki takim segulot zostałem wyleczony. Kiedy pojechałem do Europy i opowiedziałem to tamtejszym lekarzom specjalistom, ci oświadczyli, że użyte przeze mnie segulot są właściwie lekarstwami, które stosowane były w lecznictwie, nim znaleziono nowe i lepsze. Po drugie zaś, nie stosowałem ich przedtem dlatego, że widocznie niebo przez wzgląd na szacunek rabiego chciało, abym o tej regule zapomniał. Ja bowiem opuściłem jesziwę rabiego i przeniósłem się do innych uczelni religijnych. Ale jak doszło do tego, że dzisiaj sobie o niej przypomniałem? Przez skojarzenie. Siedziałem i naprawiałem swoje stare ubranie, i nagle przypomniałem sobie o tej regule. Zerwałem się z krzesła i włożyłem ubranie do zimnej wody, a jak namokło, umieściłem je przed łóżkiem Gamuli.

Powiadam wtedy do niego, zadam teraz panu Gamzo, jedno proste pytanie, czy przyszedł pan tutaj, bo nie zastał

mnie pan w domu? Nie — odpowiada Gamzo — nie szedłem do pana do domu, nie miałem nawet takiego zamiaru. Ale — powiadam — mimo to przyszedł pan tu. Tak — odpowiada Gamzo — ale sam nie wiem, jak to się stało. Widzi pan, Gabrielu — mówię do niego — pańskie serce bardziej dotrzymuje słowa niż pan sam, to ono kazało panu przyjść tutaj, aby mi opowiedzieć, co zaszło z żoną. Powiem panu — odzywa się Gamzo — jak właściwie to się wszystko odbyło. Siedzę w domu i widzę, że Gemula zasnęła. Pomyślałem sobie, że mam okazję pójść i zobaczyć się z Szalomem Amarmim. Popatrzyłem na leżące przy łóżku Gemuli ubranie, wziąłem je, dla pewności jeszcze raz namoczyłem w wodzie i rozłożyłem znowu przed łóżkiem żony. Idę sobie i rozmyślam, ten Amarmi, urodzony w Jerozolimie i wychowany w Jerozolimie, po czterdziestu lub pięćdziesięciu latach spędzonych za granicą wrócił do kraju i z całego wieloletniego dorobku pozostała mu tylko wnuczka i trochę hebrajskich ksiąg. I myśląc o nim przypomniałem sobie również innych naszych krajan, którzy przed pięćdziesięciu laty wyruszyli w świat w pogoni za zarobkiem, bo w kraju było im ciężko. Niektórym się powiodło, niektórzy nawet się wzbogacili, ale potem los się od nich odwrócił i stracili wszystko, co mieli, wrócili więc do Erec Israel i teraz skarżą się, że kraj ich nie lubi. I kiedy tak słucham ich pretensji i nie widzę ich cierpień, słyszę nagle krzyk. Podchodzę, widzę, stoi dziewczyna i głosem podniesionym woła do młodzieńca, Ginter, Ginter, ty żyjesz, a więc Arab nie zabił cię. Rzecz się miała tak, młodzieniec spacerował z dziewczyną w dolinie za miastem i jakiś Arab ich zaczepił. Młodzieniec skrzyczał go i przepędził. Wtedy Arab wyciągnął nóż, dziewczyna na ten widok podniosła krzyk, bo myślała, że Arab dźgnął go nożem. Tymczasem spostrzegam, że zboczyłem z drogi i znajduję się w dolinie. Stoję i zadaję sobie pytanie, jak się tu dostałem. Chciałem przecież pójść do Amarmiego, a dokąd doszedłem? Do tego właśnie domu doszedłem. Może pan to rozumie, ale

ja nie, tak samo zresztą wczoraj nie wiedziałem, jak się tu znalazłem. Nasi błogosławionej pamięci mędracy — zauważam — powiedzieli kiedyś „tam, dokąd człowiek powinien pójść, tam go coś zaprowadzi”. Nie zawsze jednak człowiek wie, dokąd powinien iść. Tak to już jest, powiada Gamzo — tam dokąd człowiek ma pójść, tam go zaprowadzą. Wielu ludzi pyta mnie, w jaki sposób pieśni rabiego Ariela dostały się w moje ręce. Pan mnie o to również zapytał, a jeśli nie, to na pewno miał pan zamiar zapytać. Powiadam do niego, spytałem czy nie spytałem, fakt, że odpowiedzi od pana nie usłyszałem. Na to Gamzo, jeśli pan koniecznie chce, to panu powiem. Jeśli ma pan ochotę — mówię — to słucham. Wchodzę ja do wsi — opowiada Gamzo — i czuję, że nogi nie pozwolą mi z niej wyjść. Mówię wtedy do siebie, nie ma większego głupstwa niż tracić czas w takiej wsi, gdzie Żydzi są mało uczeni i wielcy niestety biedacy. Ledwo są w stanie utrzymać się ze swojej pracy na roli i handlu owocami, które skupują w niewielkich ilościach od gojów i sprzedają w mieście. U takich ludzi, mówię do siebie, chcesz kupić książki? Tymczasem nadchodzi sobota. Zatrzymałem się u człowieka, który zajmował się wyplataniem koszy. Razem poszliśmy się modlić do małej bóżniczki, czegoś w rodzaju budki zbudowanej z gałęzi palmowych, zupełnie już czarnych ze starości. Zebrała się w niej cała gmina. Ludzie zdjęli buty i zapalili umieszczoną w glinianym naczyniu świecę, po czym śpiewnie odmówili *Pieśń nad pieśniami*, potem wstali i odmówili mizmor na dzień szabat i „Wehu rachum”^{*} tak jak we wszystkie dni tygodnia. Sobotnią zaś modlitwę odmówili z takimi zaśpiewami, do jakich my zupełnie nie jesteśmy przyzwyczajeni, ale w sercu każdego Żyda te zaśpiewy budzą zawsze najlepsze uczucia. Inne są również ich obyczaje, które odziedziczyli po przodkach, a ci wywodzili się spośród wygnańców zesłanych przez Nabuchodonozora po zburzeniu Świąty-

^{*} *Mizmor* — pieśń, hymn. *Wehu rachum* — „Bóg jest miłosierny”.

ni do Babilonii. Na nowym miejscu zbudowali synagogi, za materiał budowlany posłużyły im młyńskie kamienie, które z rozkazu króla Babilonii musieli w drodze na wygnanie dźwigać na swoich barkach młodzi chłopcy żydowscy. O tych młodzieńcach, którzy nosili te młyńskie kamienie, powiada prorok Jeremiasz: „młodzieńcy nosili żarna i siły ich w drodze się wyczerpały”. Bóg widział ich mękę i tchnął życie w kamienie. Uniosły się tedy kamienie w górę i młodzieńcy jakby na skrzydłach polecili tam, gdzie nie było ciemnoców. Tu zdjęli z pleców kamienie i zrobili z nich najpierw fundamenty pod synagogę, z pozostałych zaś pobudowali sobie domy. Wśród tych młodzieńców było wielu uczonych, doskonale obeznanych ze wszystkimi tajemnicami zawartymi w Torze i Duch Święty na nich spoczywał. Nieraz myślałem o tym, że ich obyczaje są Bogu bardziej miłe niż nasze. Zbudowawszy synagogi i domy, założyli duże osiedle, istne państwo.

Jedna tylko myśl ich gnębiła. Nie mieli kobiet, groziło im, że zejda z tego świata bez potomstwa, ale Bóg otworzył im oczy i pewnego dnia zobaczyli, jak z morza wynurzają się piękne młode niewiasty, o których Pismo mówi: „z krainy Baszan wyprowadzę je i z głębi morza je wyciągnę”. Wtedy każdy młodzieniec wybrał sobie spośród nich żonę. I zrodzili synów i córki, i do końca swoich dni żyli w radości. I tak trwało to przez kilka pokoleń, aż z wielkiego dobrobytu całkiem zapomnieli o Jerozolimie. A kiedy Ezra napisał do nich, żeby wrócili do Jerozolimy, nie ruszyli się z miejsca, bo stwierdzili, że Bog dał im w zamian za Jerozolimę to właśnie miejsce, gdzie jest im bardzo dobrze. Wówczas napadły na nich wojska sąsiadów i spustoszyły ich ziemię. Zabiły tak wielu ludzi, że z całej ludności została mała garstka. Wtedy ci, co ocaleli, poczuli skruchę. Odbyli pokutę i przypomnieli sobie Jerozolimę. Teraz dopiero zrozumieli, że najazd sąsiednich wojsk był karą Boga. Ale pozwoli pan, że wrócę do tego, o czym mówiłem przedtem.

Po modlitwie podchodzili jeden do drugiego i całowali się w ramię i w brodę, po czym pozdrawiali się słowami „szabat szalom” i w drodze do domu wymieniali znowu między sobą błogosławieństwo sobotnie. Razem z gospodarzem wróciłem do domu i zaraz zasiedliśmy w towarzystwie jego żony i dzieci do kolacji. Siedzieliśmy wszyscy na słomianym dywanie, jedliśmy, piliśmy i radowaliśmy się. Śpiewaliśmy zupełnie mi nie znane pieśni, na które w żadnym zbiorze dotychczas nie natknąłem się. Nad razem obudził mnie nowy śpiew. Zaglądam do pokoju i widzę, że mój gospodarz znowu siedzi na dywanie i śpiewa różne pieśni i piosenki. Zaścieliłem łóżko, umyłem ręce i dalej słuchałem jego śpiewu. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie słyszałem.

Byłem zachwycony pięknem tych pieśni i nie wpadło mi do głowy zapytać, kto jest ich autorem i jaką drogą trafiły do wiejskiego człowieka. I gdybym nawet zapytał go, i tak by nie odpowiedział, albowiem tutejsi ludzie przestrzegają zasady nierozmawiania przed modlitwą.

Kiedy gospodarz przestał śpiewać, udaliśmy się razem do bóżnicy na poranną modlitwę, która odbywa się tam skoro świt. W bóżnicy byli już wszyscy mieszkańcy wsi. Siedzieli przy ścianach i śpiewem odmawiali modlitwę. Panuje u nich taki zwyczaj, że jeden intonuje modlitewną pieśń, a wszyscy za nim słowo po słowie powtarzają, potem zastępuje go drugi i trzeci i tak dalej, wszystko wygląda tak, jakby każdy chciał sprawdzić, czy nadaje się do tego, aby przewodzić modlitwie w imieniu gminy. Jeśli ktoś kończy zbyt cichym głosem, znaczy to, że niegodny jest być „szeliach cibur”*. A kiedy dochodzi do fragmentu modlitwy jocer, staje jeden przed pulpitem i odmawia błogosławieństwo „Jocer or”** i wraca na swoje miejsce. Następnie wszyscy odmawiają Kriat Szema i ustawiają się do odmawiania osiemnastu błogosławieństw.

* *Szeliach cibur* — delegat społeczności do przewodzenia modlitwie — kantor.

** *Jocer or* — Twórca światła.

Szeliach cibur podchodzi wtedy do pulpitu i intonuje modlitwę, i wszyscy słuchają go z wielkim przejęciem, po czym przejęci bojaźnią, mówią „amen”. I kiedy wyjmują ze świętej szafy zwój Tory, odmawiają modlitwę „aszrej” — szczęśliwy jest naród, którego Bóg itd. Zwój Tory sporządzony jest z jeleniego pergaminu, litery na nim są duże, a do czytania fragmentów odpowiedniego rozdziału Tory wywołują nie więcej niż siedem osób. Podczas czytania Tory obecne są kobiety, które zajmują miejsca przy drzwiach, słyszałem, że jest to stary u nich zwyczaj i żaden rabi ani żaden gaon nie zakwestionował go, ponieważ podczas czytania Tory jecer hara* traci władzę. Nad człowiekiem, który w sercu ma Torę, jecer hara nigdy nie ma władzy.

Po odmówieniu modlitwy musaf** wróciłem z moim gospodarzem do domu. Zaraz po wejściu do mieszkania gospodarz usiadł na dywanie i zaczął śpiewać hymny na cześć Boga, który wybrał naród żydowski spośród innych narodów i obdarzył go szabatem. Potem zaśpiewał hymn na cześć narodu żydowskiego, który zasłużył na szabat. Następnie zaczął śpiewać pieśni o samym szabacie, którego świętością opromienieni są ci, co przestrzegają nakazów szabatu. Po odśpiewaniu pieśni umyliśmy ręce i zasiedliśmy do obiadu. Po obiedzie gospodarz śpiewał zemirot***. Spytałem go, skąd pochodzą te zemirot? Odpowiedział że przejął je od swego ojca. Zaraz też dodał, mój ojciec był wielkim uczonym, znał wszystkie książki zawierające takie pieśni. Gdzie — zapytałem — są teraz te książki? Wsadził rękę we wnękę ścienną i wyjął całą paczkę książek zawierających komplety świętych pieśni. Niektóre utwory napisane zostały przez rabiego Dusa ben Paniela, który ułożył pieśń „El Adon” (Bóg-Pan). Autor znany ze swojej skromności nie podpisał ich swoim imie-

* *Jecer hara* — zły instynkt.

** *Musaf* — modlitwa dodatkowa.

*** *Zemirot* — sobotnie pieśni poobiednie.

niem, ale do czwartego wiersza pieśni, w którym jest mowa o dwóch wielkich aniołach z otoczenia Majestatu Boga „Daat i Tewuna” (Wiedza i Rozum), autor wmontował inicjały swego imienia. W tej paczce znalazłem również utwory rabiego Ariela, który ułożył wiersz „tym stworzyłeś słowa, które strzec będą Twojej świętości”. Były tam również utwory innych poetów, którzy nie podali swoich imion. Zaproponowałem memu gospodarzowi, żeby mi sprzedał choć jedną z tych książek. Ten jednak tak do mnie powiedział: gdyby mi pan dał w zamian nawet wołu, to bym nie sprzedał. Wtedy ja powiedziałem, niech mi pan pozwoli przepisać choć dwie lub trzy pieśni. Nie — odpowiedział — gdybym nawet za to dostał od pana owcę, to też nie uczyniłbym tego. Wyszedłem więc od niego z pustymi rękami i udałem się do miasta. Po kilku dniach przychodzi do mnie i wręcza mi książkę. Chciałem od razu mu zapłacić, ale nie zgodził się. Myślałem, że chodzi o cenę, więc podniosłem ją, ale on nie i nie. Powiedziałem mu, może chodzi o to, że się panu to nie opłaca? Broń Boże — odpowiada — daję ją panu za darmo. Dlaczego — spytałem go — daje mi ją pan za darmo? Co to pana obchodzi — odpowiada mi gospodarz. Pan chce ją mieć, a ja chcę ją panu dać. Powiadam mu na to, nie chcę wziąć książki za darmo. Chcę za nią zapłacić. Wtedy on założył ręce do tyłu i odszedł. Mnie nie było na rękę wziąć od biednego człowieka tak drogą dla niego rzecz bez pieniędzy. Udałem się po radę do mędrców miasta. Na mój widok od razu wybiegli na spotkanie i przywitali słowami pełnymi czci i szacunku. Powiedziałem, moi panowie, dlaczego mi się należą takie honory? Odpowiedzieli, jakże nie składać panu honorów, skoro jest mile widziany przez Boga? Przypisujecie mi — powiadam do nich — takie honory, na które wcale nie zasłużyłem. Otóż — powiadają do mnie — przyszedł do nas pewien człowiek ze wsi i opowiedział, że we śnie dano mu znać, żeby oddał książkę zawierającą święty rękopis, którą otrzymał był w spadku po ojcu, a ten otrzymał ją od swego

ojca i tak dalej i dalej. Z powodu właśnie tej książki — powiadam do nich — przyszedłem do was. Proszę was, abyście ją wycenili i ja na wasze ręce złożę pieniądze. Uchowaj Bóg — odpowiedzieli — żebyśmy od pana wzięli pieniądze. Przyśięgam — mówię do nich — że nie ruszę się stąd, póki nie powiecie mi, ile mam za książkę zapłacić. Kiedy przekonali się, że nie ustąpię, zgodzili się wziąć pewną ilość złotych monet. Dałem im tyle, ile chcieli. Nie wiem, czy ów człowiek we wsi odebrał te pieniądze, czy nie. Może we śnie nakazano mu rozdać te pieniądze ubogim i tak postąpił. Oto cała moja historia o zbiorze pieśni, który wpadł w moje ręce na krótko przed poznaniem Gemuli.

6

Gemula była czysta jak księżyc. Oczy jej skrzyły się, twarz promieniała, a głos był tak czysty, jak czyste bywają dźwięki wieczorne. Kiedy śpiewała, wydawało się wszystkim, że to bramy śpiewu otworzyły się. Umiała również piec placki księżycowe i smażyć mięso na węglu. Kiedy Gamzo po raz pierwszy przybył do jej kraju, miała dwanaście lat, ale obdarzona była mądrością dorosłej kobiety, albowiem ojciec zdążył jej przekazać mądrość wielu pokoleń. Gemula była jego jedynym dzieckiem, przy jej porodzie zmarła matka, a on już nie wstąpił w nowy związek małżeński. Nie chciał, aby nagromadzona przez wiele pokoleń mądrość poszła na marne, dlatego postarał się przekazać ją córce. W domu ojca Gemuli Gamzo przebywał cały rok, czyli aż do czasu, kiedy stan jego zdrowia uległ poprawie. Potem pojechał do Wiednia, aby wyleczyć oczy. Po roku wrócił z jednym tylko zdrowym okiem. Przez cały czas pobytu w szpitalu wiedeńskim nie przestawał powtarzać w kółko „światło moich oczu wróci i znowu pojedę do Gemuli”. Po opuszczeniu szpitala nie miał za co wrócić, gdyż wszystkie pieniądze wydał na leczenie.

Spotkał go wtedy Akiwa Amarmi i tak do niego powiedział: takiego jak ty człowieka poszukują akurat Owadia i Owadiowicz, oni szukają ksiązek, a ty gotów jesteś pojechać do dalekich krajów, aby tam dokonać zakupu rzadkich ksiązek. Poszedł Gamzo do Owadii i do Owadiowicza, ci opracowali dla niego dokładny plan podróży, dali pieniądze na pokrycie kosztów i upoważnili do wydania z ich funduszu tyle pieniędzy na zakup ksiązek, ile sam uzna za stosowne. I z woli Boga poszczęściło mu się, i zarobił bardzo dużo pieniędzy, tak że wkrótce mógł pojechać do Gemuli.

Tymczasem w mieście Gemuli zdarzyła się niezwykła rzecz. Taka rzecz nie zdarza się nawet raz na sto lat. Pewien uczony w Piśmie, człowiek święty, przyjechał tam z Jerozolimy. Pobył w mieście sześć miesięcy. I oto minęło już dalszych sześć miesięcy od jego wyjazdu, a ludzie nie przestali o nim mówić. Chorzy do niedawna ludzie opowiadają, że chacham Gideon wyleczył ich, a wielu ludzi twierdzi, że chacham Gideon nauczył ich, jak uczynić życie łatwiejszym. Nauczył ich, jak zwalczyć chorobę bez specjalnych zaklęć, jak ratować dzieci, którym grozi śmierć wskutek rzuconych na nie czarów. Za to wszystko nie brał nawet złamanego szeląga. Ofiarowywane mu prezenty odrzucał. Zdaniem Gamza chacham Gideon nie był uczonym jerozolimskim, lecz europejskim, był, jak sądzi, etnografem albo kimś w tym rodzaju. Najlepszym dowodem jest to, że skrupulatnie spisał wszystkie pieśni, które usłyszał od Gemuli, zapisał nawet jej rozmowy z ojcem, słowem, utrwalił na papierze język, który oboje wymyślili dla siebie.

Tak więc Gamzo pojechał do Gemuli. Zobaczywszy go, Gemula ucieszyła się tak, jak narzeczona na widok oblubieńca. Upiekła z tej okazji jagniątko, usmażyła placki księżycowe i odśpiewała wszystkie znane jej pieśni, które uczonemu jerozolimskiemu bardzo się spodobały. Nie przyjmowała do wiadomości oświadczyn sąsiada Gadiego ben Geima, który twierdził, że Gemula została mu przez niebo przeznaczona na żonę.

W tym czasie zdarzyło się nieszczęście z ojcem Gemuli, Gewarią. Któregoś dnia wszedł na szczyt góry, aby nauczyć się od orłów sposobu na przywrócenie młodości. I mimo iż Gewaria przyszedł na górę bez złych zamiarów, bez broni, a nawet bez kija, orzeł rzucił się na niego. Gewaria przyjął narzuconą walkę. Musiał zwyciężyć, w przeciwnym bowiem wypadku zginąłby rozszarpany przez orła. Orzeł zdążył szponami wyrwać mu z lewego ramienia płat ciała. Z początku Gewaria zbytnio się tym nie przejął, ale wkrótce potem zachorował i umarł. Przed śmiercią polecił zorganizować w domu noc tańców. Taki bowiem panuje w tym kraju zwyczaj, że na siedem dni przed ucztą weselną urządza się noc taneczną, na którą przychodzą młodzieńcy, aby wybrać spośród tańczących dziewcząt żonę. Gamzo dowiedział się, że Gadi ben Geim sposobi się do wybrania Gemuli, więc ubiegł go i sam się z nią ożenił.

Wesele trwało siedem dni i siedem nocy. Gewaria leżał w łóżku i zdrową ręką kierował tańcami. Na każdą noc przypadało siedem rodzajów tańca i na każdy dzień osiem rodzajów tańca, na znak, że Gemula wyda na świat syna, który ósmego dnia po urodzeniu zostanie obrzezany.

Siedem dni weselnych dobiegło końca i życie Gewarii również dobiegło końca.

Przez siedem dni i siedem nocy Gemula opłakiwała ojca. Każdego dnia i każdej nocy śpiewała różne pieśni żałobne. Po siedmiu dniach żałoby Gemula urządziła uroczystość, na którą złożyły się tańce i precudowne, lękiem przejmujące śpiewy. Kiedy po trzydziestu dniach skończył się pierwszy okres żałoby, Gamzo wszczął z Gemulą rozmowę na temat wyjazdu. Gemula słuchała go i z początku nie rozumiała, czego od niej chce. Kiedy wreszcie zrozumiała, wpadła w gniew. Potem powoli dała się przekonać i wyraziła zgodę za wyjazd. Z tygodnia jednak na tydzień, z miesiąca na miesiąc odkładała go. Przez cały ten czas księżyc jej nie ruszył. Wydaje się, że z powodu doznanego bólu po stracie ojca

księżyc nie był nad nią władny. Ochraniały ją również segulot i chociaż na pozór nie zaszła w niej żadna zmiana, wyglądała teraz jak rosnąca na drzewie figa, której słodycz nie zdążyła się jeszcze ujawnić. Po roku żaloby oświadczyła, że gotowa jest do drogi. Gamzo wynajął wtedy dwa wielbłądy i wyruszyli na skraj pustyni, skąd karawany rozpoczynają swój marsz. Przyłączyli się do jednej takiej karawany i po czterdziestu dniach wędrówki przez pustynię dotarli do większego osiedla ludzkiego. Tu, podczas postoju, Gamzo kupił jej buciki, kilka sukien i chustę na głowę, po czym ruszyli w drogę do portowego miasta. Przybywszy do portu, Gamzo wynajął statek i razem z Gemulą dotarł do Erec Israel. W nagrodę za to, że udali się do Ziemi Świętej, Bóg uchronił ich od wszelkiego zła. Ochrona Boga rozpościerała się nad nimi nie tylko w granicach Erec Israel. Znana jest dyskusja w Gemarze na temat, czy człowiek jest sądzony przez Boga tylko w Rosz Haszana, czy każdego dnia. Za granicą, w diasporze, człowiek staje przed Bożym Sądem tylko w Rosz Haszana, natomiast w Erec Israel codziennie staje przed Sądem Boga. Pierwszym wyrokiem Boga było to, że Gemula przestała śpiewać. Potem przestała mówić. Następnie wpadła w melancholię i ciężko zachorowała. A kiedy była chora, zaczęła mężowi przysparzać kłopotów. Słowem, z każdym dniem kary Boga były cięższe.

I nagle w trakcie opowiadania słyszę, że gdzieś w domu otwiera się okno i przez nie zaczyna dochodzić ludzki głos. Ogarnął mnie strach zmieszany ze zdumieniem. W domu przecież poza mną i Gamzem nie było nikogo, kto więc otworzył okno, skoro ani ja, ani Gamzo tego nie uczyniliśmy. Przypomniał mi się sen z pociągami i drzwiami, które same się w nim otworzyły. Aż dziw bierze, jaka siła tkwi we śnie, skoro sprawdza się na jawie. Znowu słyszę ten sam głos. Mówię do siebie, to na pewno Ginet. Wrócił do domu i otworzył okno, ale co to za słowa słyszę? Gamzo zauważa, że jestem trochę podniecony, i powiada, pan jest zapewne zme-

czony, może chce się pan położyć spać? Nie — odpowiadam mu — nie jestem zmęczony i nie chce mi się spać. O co więc — powiada Gamzo — chodzi? Słyszę — mówię do niego — że ktoś tam chodzi. Na ile — odpowiada Gamzo — mogę polegać na moim uchu, to ja nic nie słyszę. W takim razie musiało mi się zdawać. Proszę, niech pan kontynuuje.

Opowiada więc Gamzo dalej o tym, co przeszedł z Gemulą w Jerozolimie. Niejednokrotnie życie jej wisiało na włosku. Gdyby nie łaska Boga, nie przeżyłaby w tym stanie ani jednego dnia. Miłosierdzie Boga jest jednak wielkie. Zsyła na człowieka cierpienia, ale używa mu jednocześnie sił do ich znoszenia.

Nie pamiętam dokładnie, jak dalej było, ale wiem jedno, że Gamzo znowu zaczął mówić o ubraniu. I mówiąc o ubraniu, przypomniał sobie rabiego z jesziwy. I wspomniawszy rabiego, natychmiast wrócił do swojej młodości, którą spędził w jesziwach.

Wiadomo, że Gamzo jest dzisiaj człowiekiem powszechnie znanym, że uczeni tak ze Wschodu, jak i z Zachodu zasięgają u niego rady w sprawach ksiązek i rękopisów, ale dawniej, jako uczeń jesziwy, był zdany na łaskawy wikt u bogatych Żydów w mieście. Pewnego razu gospodarz domu, u którego czasowo się stołował, posłał go do księgarni po zakup skróconego kodeksu *Szulchan Aruch*. Przebierając wśród ksiązek natrafił na jedną bardzo osobliwą, która swoim wyglądem odbiegała od wszystkich normalnych ksiąg. Wiersze były w niej nierówno ułożone i każde słowo wypunktowane. Niektóre litery podobne były do Halleluja z modlitwy hallel*, niektóre do modlitwy „Al chet”**. Gamzo patrzył na książkę i nie posiadał się ze zdziwienia. Takiej jeszcze w życiu nie widział. Zauważył to księgarz i tak do niego powiada, da pan czterdzieści funtów i książka należy do pana. Czterdzieści funtów dla jeszybotnika to kupa forsy, gdybym nawet wtedy sprzedał swoje ubranie, to bym tyle

* *Hallel* — modlitwa sławiąca Boga, także dziękczynna. Odmawiana w Rosz Chodesz i w święta Pesach, Szawuot, Sukot i Chanukę.

** „*Al chet*” — Za grzech.

pieniędzy nie otrzymał. Miał w majątku skrzynkę, którą mu zrobił pewien stolarz za to, że pomagał jego synowi w nauce. Skrzynka była mu właściwie niepotrzebna, całe swoje mienie mógł zmieścić w jednej zawiniętej koszuli. Skrzynka jednak dawała mu poczucie dumy z posiadania „cennej” rzeczy. Dał skrzynkę księgarzowi, a ten w zamian dał mu tę dziwną książkę. Był to „dywan”, czyli zbiór wierszy rabiego Jehudy Halewiego wydany przez Szmuela Dawida Luzzatta. Czytał ją tak długo, aż nauczył się na pamięć wszystkich zawartych w niej wierszy. I mimo to wewnętrznego głodu książki nie zaspokoił. Zaczął szperać wśród machzorów*, modlitw selichot, trenów i w ogóle pośród wszystkich starych modlitewników. Czytał i przepisywał. Żeby wszystkie przepisać, trzeba było mieć dużo papieru, a pieniędzy na papier nie miał. Co więc zrobił? Przepisywał tylko początkowo fragmenty dzieła oraz załączone do nich przedmowy. Pochłonięty całkowicie wierszami i pieśniami ze starych książek, porzucił jesziwę i zaczął pracować u księgarza. Ten w mig zorientował się, że młodzieniec zna się na książkach, więc zaczął go posyłać do wdów, których mężowie pozostawili książki, oraz do oświeconych bogaczy, którzy zapragnęli pozbyć się z domu świętych ksiąg.

Z czasem zaczął na własną rękę kupować książki. Potem po zakup książek zaczął udawać się do dalekich krajów. W ten sposób dotarł do miejscowości, w których żaden Europejczyk jeszcze nie był. Udało mu się również przebywać w pustynnych krajach, skąd przywoził książki i rękopisy, o których nawet najwięksi bibliofile nie mieli zielonego pojęcia. Wkrótce znalazł się w posiadaniu zbioru utworów anonimowych autorów, którzy przez skromność ukryli swoje imiona i nazwiska.

Tymczasem Gamzo skręcił papierosika i zaraz go odłożył. Przetarł ręką ślepe oko i zdrowym okiem uśmiechnął się do mnie. Wziął do ręki nie zapalony papieros i tak powiedział, kiedy zejść z tego świata, zaprowadzą mnie tam, dokąd pro-

* *Machzor* — modlitewnik na święta.

wadzą takich jak ja nieboszczyków. I leżąc w grobie ze swoim wstydem będę powtarzał, dobrze mi tak, nie mam prawa żądać czegoś lepszego, albowiem nie pozostawiłem po sobie dobrych uczynków. Zjawią się wtedy całe zastępy zrodzonych z moich grzechów aniołów zagłady, staną przed Najwyższym Sędzią i zaczną mnie oskarżać, zaczną mnie popychać do bram piekła. A ja, zanim zapadnie wyrok, będę powtarzał, póki pamiętam, wszystkie znane mi wiersze i pieśni. I pod wpływem ogarniającej mnie radości zacznę je pełnym głosem recytować. Słyszą to święci poeci i powiadają: głos jakby z grobu dochodził, chodźmy, zajrzyjmy tam. I schodzą do grobu, i widzą jakieś stworzenie, a to ja właśnie. Biorą mnie na swoje święte ręce i oświadczają, ty jesteś tym człowiekiem, który wydobył nas z otchłani zapomnienia. Uśmiechają się do mnie dobrotliwie i powiadają, Gabrielu, chodź z nami. I sadzają mnie obok siebie, i ja siedzę razem z nimi. W tym cierpieniu jest to dla mnie pociecha.

Gamzo siedzi i uśmiecha się tak, jak uśmiecha się człowiek, który pragnie siebie samego oszukać i wszystko obrócić w żart. Ja jednak, który dobrze, a nawet bardzo dobrze go znam, wiem, że wierzy w to, co mówi. Wierzy w to bardziej, niż zdaje sobie sprawę. Oglądam jego twarz. Jest to twarz średniowiecznego Żyda, który w procesie reinkarnacji wcielił się w człowieka współczesnego pokolenia po to, aby zaopatrywać uczonych bogaczy w rękopisy i pierwodruki, do których mogliby dopisać uwagi i komentarze, a czytelnicy mieliby z tego ogromne duchowe zadowolenie.

Gamzo dźwiga na sobie brzemień cierpień i cieszy się z tego, co kiedyś będzie. Tymczasem gnębi go ból z powodu małżonki, która jest nieuleczalnie chora. Wszcząłem z nim rozmowę na temat szpitali, w których chory może znaleźć chociaż minimum tego, czego mu potrzeba. Byłoby dobrze — mówię mu — umieścić Gemulę w szpitalu. Jeśli chodzi o pieniądze, to ma pan przecież na początek dwanaście funtów, a reszta też się jakoś znajdzie. Kiwa Gamzo jarmułką

na głowie i powiada, to są przecież owe dwanaście funtów, które dostałem od klienta za rękopisy z segulot. Powiadam do niego, czy pan podejrzewa, że nabywca oszukał pana, że świadomie wycygał je od pana? Nie zwykłem — odpowiada Gamzo — kogokolwiek podejrzewać, ale może być, że nabywca z początku sam nie zauważył, co kupił, a potem, kiedy zorientował się, doszedł do wniosku, że skoro już je ma, niech już u niego pozostaną. Mógł też pomyśleć, że segulot stanowią integralną część zakupionych rękopisów. Czasem, być może, myśli tak, a czasem inaczej. Moralność jest elastyczna i człowiek nie powstrzyma się od nieuczciwego postępuku, jeśli tylko potrafi wytłumaczyć go tak, jak mu jest wygodnie. Zwłaszcza jeśli chodzi o książki. Pytam go, czy on wie, co to za segulot? A skąd — odpowiada Gamzo — on może wiedzieć. Gdybym nawet znalazł się w posiadaniu takiej książki i nie otrzymał od sprzedawcy informacji o jej właściwościach, też bym nie wiedział. Poza tym ci wszyscy uczeni to ludzie nowocześni i gdybyście im powiedzieli, czym są segulot, wyśmialiby was. Jeśli kupują takie książki, to traktują je jako zjawiska z dziedziny folkloru. Oj, ten folklor! Wszystko, co nie jest przedmiotem poważnych badań naukowych, jest dla nich folklorem. A czy z naszej Tory nie uczynili przedmiotu badań albo księgi folklorystycznej? Ludzie żyją życiem Tory, poświęcają się dla zachowania tradycji, a tu przychodzą uczeni i robią z Tory przedmiot badań, a z ustnej tradycji folklor.

Słucham tego, co mówi Gamzo, i nie przestaję myśleć o tych uczonych, dla których segulot są zwykłym przedmiotem folkloru, a tymczasem siedzi przede mną nieszczęsny, załamany człowiek, którego Bóg srodze doświadczył. Jeśli wolno sądzić człowieka na podstawie jego czynów, to z całą pewnością nie za czyny, których dokonał w poprzednich swoich wcieleniach, albowiem za tamte czyny był już przedtem sądzony. Kto jednak może zapuszczać się głębiej w te sprawy? Człowiekowi wystarczy, że Bóg mu trochę

odpuścił. Przesunąłem ręką po czole, tak jak to czyni człowiek, który chce odpędzić od siebie gnębiące myśli, i wbiłem wzrok w siedzącego przede mną człowieka. Zauważyłem, że przechylił głowę na bok i uchem przywarł do ściany. Wydało mi się to dziwne. Mija chwila za chwilą, a Gamzo nie odrywa ucha od ściany. Powiadam do niego, zdaje się, że pan słucha tego, co ściana mówi. Popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział. Jeszcze bardziej przywarł uchem do ściany. Siedzi, słucha i oczy mu się żarzą, tak ślepe, jak i żywe oko, a we wzroku żywego maluje się wielkie zdumienie. Domyśliłem się, że Gamzo słyszy coś takiego, co napawa go bólem. Powiadam wtedy do niego, co pan słyszy? Zrywa się jakby ze snu i powiada, nic nie słyszę! Ręką wyciera ucho i dodaje, chyba się przestyszałem, chyba mi się zdawało. Szuka czegoś po kieszeniach, wyjmuje torebkę z tytoniem, chusteczkę, którą zaraz odkłada, potem palcami przebiega po brodzie i nosie i powiada do mnie, zdaje się, że pan powiedział, iż słyszał jakieś kroki. Kiedy — pytam — miałem to powiedzieć? Kiedy — powtarza za mną — miał pan to powiedzieć? Ano, niedawno temu. A przecież — mówię do niego — pan powiedział, że nic nie słyszał. Tak — stwierdza Gamzo — tak powiedziałem i gotów jestem to potwierdzić, gdyby jednak pan powtórzył, że słyszał kroki, to bym nie próbował temu zaprzeczyć. W takim razie — powiadam — wróćmy do tematu, o czym to rozmawialiśmy? Niech mi pan — odpowiada Gamzo — wierzy, naprawdę nie wiem. Widocznie — mówię do niego — to, o czym pan przedtem mówił, jest mało ważne i dlatego szybko pan o tym zapomniał. Przeciwnie — powiada Gamzo. Co to znaczy przeciwnie? — pytam go. Bo widzi pan — powiada Gamzo — żydowskie rozmowy podobne są do żydowskich modlitw, kiedy się je przerywa, to już potem przy ich wznowieniu nie można utrafić we właściwy ton. Posłuchaj pan, co mi przyszło do głowy. Zawiozę Gemulę do Kafar-Ataroz. Dlaczego — pytam — akurat do Kafar-Ataroz? Bo Ataroz Gad to część terytorium przydzielonego plemieniu

Gad, Gemula zaś pochodzi z tego plemienia, będąc tam przypomni sobie rodzinne strony i wyzdrowieje. Nigdy nie zapomnę, jak się cieszyła, kiedy w noc tańców ubiegłem Gadiego ben Geima, który chciał ją wyrwać z korowodu i tym samym pojąć za żonę. Cały świat oddałbym, aby móc jeszcze raz zobaczyć, jak się wtedy cieszyła i radowała. A teraz chciałbym pana zapytać o doktora, nie chodzi mi o doktora Greifenbacha, ale o dr. Gineta, albowiem wszystko, co mi pan o nim powiedział, podobało mi się. Nasi mędracy powiadali, że ten jest prawdziwym mędrcom, kto zna swoje miejsce. Gdyby nie to, że nie można niczego dodawać do ich słów, to bym je uzupełnił zdaniem „a pozostali Żydzi nie znają swojego miejsca”. A mimo to dziwi mnie, że pan, mieszkając z nim w jednym domu, wcale go nie zna. Co to za człowiek, stary czy młody? Co pan sądzi o jego książkach? Wzbudził pan moją ciekawość i trapi mnie teraz jedna myśl, kto to jest? Niech pan — powiadam — zwróci uwagę na taką rzecz, mamy tylu uczonych ludzi, którzy zajmują wysokie stanowiska, piszą o nich gazety, ich nazwiska są sławne w świecie, a my mało o nich myślimy i mówimy, tymczasem ten uczony nie piastuje żadnego stanowiska, pochlebnych artykułów o nim nie piszą, a my dwaj staramy się jak najwięcej o nim dowiedzieć. A pan, panie Gamzo, przeczytał wszystko o tym, co się z nim działo w jego wcześniejszych wcieleniach, w drugiej czy nawet trzeciej jego reinkarnacji. Już sam fakt reinkarnacji zainteresował pana.

Nagle twarz Gamza zupełnie się zmieniła, zabarwiła wszystkimi możliwymi kolorami. Potem kolory zaczęły znikać i na twarzy pozostała tylko bladość, która z każdą chwilą ciemniała, w końcu sama twarz zamieniła się w ciało bez formy. Tak wygląda chyba twarz człowieka, który zobaczył śmierć. Patrząc na niego i z przerażenia włosy zaczynają mi się jeżyć na głowie. Nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby ludzka twarz mogła się tak zmienić. Gamzo łapie mnie za rękę i pyta, co to jest: Ja siedzę

i milczę. Wyjmuję rękę z jego dłoni, a on wcale tego nie czuje. Pytam go, co panu jest? Ocknął się, bezradnie się uśmiechnął, machnął ręką i powiada, moje zmysły robią ze mnie durnia. Ponawiam pytanie, co panu jest? Nie wiem, odpowiada, co pan ma na myśli. Chodzi mi o szpital — odpowiadam. Gamzo znowu macha ręką i powiada, teraz nie mam do tego głowy. A kiedy pytam — pan się do tego zabierze? W każdym razie — odpowiada — nie teraz. Zaczynam go przekonywać, jakby to było dobrze, gdyby umieścić Gemulę w zakładzie leczniczym, zapewniam go, że jej tam będzie lepiej niż w domu, a on sam również odetchnie, będzie nawet mógł wyjechać i dokonywać nowych odkryć. W dzisiejszych czasach ziemia jakby sama otwierała się, aby ujawnić to wszystko, co poprzednie pokolenia w niej ukryły. Właśnie Ginet odkrył rzeczy, które w ciągu tysięcy lat były schowane, jak na przykład język ido i pieśni ejnamskie. Ale co tam Ginet, przecież pan sam, panie Gamzo, odkrył skarby, o których nie mieliśmy pojęcia.

Gamzo wlepia we mnie oczy, ale uszy ma nastawione to na drzwi, to na ścianę, to na okno, to znów na ścianę, nasłuchuje. Mnie zaczyna to złościć, więc powiadam, panie Gabrielu, zdolny z pana człowiek, nie dość, że ma pan nastawiony słuch jednocześnie na drzwi, okno i ścianę, to jeszcze słyszy pan każde moje słowo.

Patrzy na mnie Gamzo i pyta, co pan powiedział? Nic — odpowiadam — nic nie powiedziałem. A mnie się zdało — powiada Gamzo — że słyszałem jakieś słowa. Jeśli pan słyszał — odzywam się ze złością — to proszę łaskawie powiedzieć, w jakim języku były te słowa, w ido czy po ejnamsku? Widzi Gamzo, że się gniewam, więc łamiącym się głosem powiada, nie wiem, czy pan mi uwierzy, ale była to rozmowa w tamtym języku. W jakim, pytam, tamtym? Ano w języku, który dla zabawy wymyślili Gemula i jej ojciec. Mam tak napięte nerwy, iż wy-

daje mi się, choć jest to zupełnie niemożliwe, że słyszałem głos Gemuli.

Siedzę cicho i nic nie mówię, bo co mógłbym powiedzieć człowiekowi tak boleśnie przez los dotkniętemu, który w swoim nieszczęściu szuka pocieszenia w tym, co kiedyś było. Twarz miał trupioblada i tylko oczy wykazywały pewną żywotność. Gamzo cały zamieniony był w słuch, ze wszystkich narządów pozostały mu tylko sprawne uszy. Po chwili machnął ręką i powiedział, ależ to czysta fantazja! Uśmiech na twarzy zdradza jego zakłopotanie i po chwili dodaje, kiedy człowieka ponosi fantazja, to w każdym cieniu widzi coś istotnego. Ale która teraz może być godzina? Czas pójść do domu, boję się, czy aby ubranie rozłożone przed łóżkiem Gemuli nie wyschło. W Erec Israel księżyc jest cieplejszy niż w wielu innych krajach słońce. Niedawno stał wysoko, a teraz zupełnie osiadł. A mówiąc to wpatrywał się w przestwór i smutnym głosem oświadczył, coś tam do mnie doszło, moje ucho coś uchwyciło. Dlaczego — powiadam do niego — jest pan smutny? Uśmiechnął się i powiada, wcale nie jestem smutny, smutny był Hiob, który to zdanie wypowiedział. Chcę mu coś powiedzieć, zaczynam szperać w kieszeniach jak człowiek, który przypomniał sobie jakąś rzecz i szuka jej wśród innych rzeczy. Wyciągam z kieszeni pocztówkę, którą otrzymałem dopiero co od Greifenbachów. Oglądam ją i widzę namalowany na niej rysunek księżycy leżącego na dachu. Gamzo tymczasem wyjmuje woreczek z tytoniem i bibułką i skręca sobie papierosa. Skleja go śliną, wkłada w usta i zapalając pyta mnie, a pan nie pali? Dla pana też skręcę papierosa. Niech się pan — powiadam — nie trudzi. Wyjmuję papieros z papierośnicy i zapalam. I tak siedzieliśmy i paliliśmy. Rozmowa dobiegła końca. Wpatrywałem się w dym papierosów i pomyślałem, że jeśli Gamzo wstanie i powie, że chce iść, nie będę go zatrzymywał. Kiedy zaś odejdzie, pościelę sobie łóżko i pójdę spać. Jak Bóg da, to jutro napiszę list do Greifenbachów, w którym zawiadomię ich, że dom

znajduje się w najlepszym porządku. O moje mieszkanie nie mam powodu się bać, ponieważ po włamaniu się do niego założyłem nowe, znacznie bezpieczniejsze zamki. Potem pomyślałem o żonie i dzieciach, które przebywają na wsi, i skoro są na wsi, to teraz już chyba śpią, bo na wsi wcześniej chodzi się spać. Gdyby nie Gamzo, to bym też już spał. A co do Gamza, czy nie jest dziwne, że tu przyszedł? Co by zrobił, gdyby mnie tu nie spotkał? Wyciągnąłem rękę i przekręciłem kontakt. Od razu pojawił się księżyc i pełnym światłem oblał pokój. Oczy mi się kleją i głowa zaczyna mi się kiwać. Ze wszystkich sił staram się dostrzec, czy Gamzo widzi, że drzemię. Patrzę na Gamza i zauważam, że trzyma pięść na ustach. Nic nie mówię, ale zastanawiam się, dlaczego zamyka pięścią usta. Jeśli przez to chce mi dać znak, żebym milczał, to i tak przecież nie odzywam się. Od tego myślenia głowa zaczyna mi ciążyć, a oczy same się zamykają. Po chwili głowa mi opada na pierś i zaczynam zasypiać.

Leżę i czuję, jak moje oczy łakną snu, ale uszy nie pozwalają zasnąć, słuchają bowiem stąpania bosych stóp po kamiennej podłodze w drugim pokoju. Słyszę, jak ktoś śpiewa „jedał, jedał”. Myślę sobie, Anioł Snów znowu się pojawił, a tu księżyc świeci prosto w oczy. Mówię więc do księżycy, przecież znam cię, czy to nie ty jesteś namalowany na mojej pocztówce? Znowu słychać dochodzący z drugiego pokoju śpiew. Księżyc, śpiew i w śpiewie obraz kobiety. Zastanawiam się, czy to prawda, co Greifenbach powiedział o stworzeniu przez Gineta jakiejś dziewczyny. Nagle czuję ból w palcach. Skąd się wziął? Otwieram oczy i widzę, że Gamzo stoi nade mną i ściska mi rękę. Wyciągam rękę z jego dłoni i patrzę na niego ze zdziwieniem. Gamzo siada znowu na krześle, zamyka żywe oko, które zapada w sen, i w tym samym czasie jego ślepe oko zaczyna się żarzyć. Zadaję sobie pytanie, dlaczego ściskał mi rękę, chyba dlatego, żebym usłyszał śpiew, co znaczy, że doprawdy ktoś śpiewał, a ja nie śniłem. Więc co to było? Był to śpiew kobiety, która wybijała

nogą takt. Zaraz się jednak z siebie uśmiełem, jak bowiem mogłem pomyśleć, że dziewczyna zrodzona przez wyobraźnię mogła śpiewać w drugim pokoju? I żeby się pozbyć wszystkich wątpliwości, postanowiłem zapytać Gamza, co on o tym myśli. Gamzo zamknął najpierw jedno, potem drugie oko i twarz rozjaśniła mu się taką radością jak twarz chłopca, kiedy rozmawia ze swoją ukochaną. Nie mogłem mu przerwać. Spuściłem oczy i milczałem.

I znowu dochodzi mnie głos z drugiego pokoju. Ni to śpiewanie, ni to mówienie. W jakim to języku? W żadnym ze znanych nam języków. Muszę zapytać o to Gamza. Otwieram oczy, a krzesło przede mną jest puste. Rozglądam się na wszystkie strony i nie widzę go. Wstaję i idę go szukać. Wchodzę do jednego pokoju, wchodzę do drugiego, a jego nie ma. Wracam i siadam znowu na krześle. Mija dziesięć minut, a on nie wraca. Co się z nim stało? Trzeba to sprawdzić. Wychodzę na korytarz i nic. Gamza nie widać. Myślę sobie, zaczekam na niego w pokoju. Przedtem jednak postanawiam wejść do pokoju zbudowanego w formie szafasu na święto Sukot, który teraz służy za korytarz do pokoju Gineta. Ze zdumieniem zauważam pod drzwiami tego pokoju Gamza. Co on tu robi? Widzę, jak dotyka ręką drzwi. I nim decyduję się uznać to, co widzę, za rzeczywistość, drzwi otwierają się do połowy i z pokoju Gineta zaczyna buchać światło. Idę w kierunku światła i zaglądam do pokoju.

Światło księżyca wypełnia cały pokój, a w nim dostrzegam młodą kobietę. Ubrana jest w białą suknię, bosa, włosy rozwichrzone, oczy zamknięte. Przy stole obok okna siedzi młody mężczyzna, który zapisuje na papierze to, co kobieta mówi. Z tego, co mu mówi, nie rozumiem ani słowa. Wątpię, czy ktokolwiek na świecie rozumie ten tajemniczy język. A kobieta mówi i pióro pisze. Jednego jestem pewny, że młodzieniec, który pisze, to dr Ginet. Kiedy wrócił i kiedy wszedł do tego pokoju? Chyba wtedy, kiedy siedziałem i rozmawiałem z Gamzem w pokoju pana Greifenbacha. Trzeba

też porzyjając, że kobieta weszła do pokoju przez okno. Wyraźnie przecież słyszałem, że ktoś otworzył okno, że ktoś bosymi nogami stąpał po podłodze. Z natłoku wrażeń całkiem zapomniałem o Gamzo, a on właśnie stał obok mnie. Ale Gamzo, oj ten Gamzo, zachował się nagle bardzo dziwnie. Zapomniał o dobrych manierach, o dobrym wychowaniu, wskoczył do pokoju i energicznie pochwycił kobietę w ramiona. Ten spokojny, kulturalny człowiek, który całe życie poświęcił żonie, wpadł do obcego pokoju i pochwycił w ramiona obcą kobietę.

Wszystko to zaczęło mi się wikłać i już nawet nie dziwię się, że zdołałem zapamiętać, jak się to wszystko odbyło. Trwało to krótko, a wydawało się, że bardzo długo. Stoję więc oto przed pokojem Gineta. W drzwiach prowadzących do pokoju wypełnionego księżycem, który zapewne musiał się skurczyć, aby móc wejść przez okno do środka. A kiedy już wszedł, to wszystko, co było w pokoju, świeciło jego blaskiem. W pokoju obok młodego człowieka, który siedzi przy stole i pisze, stoi młoda kobieta. Gamzo, który z impetem wskoczył do pokoju, chwyta kobietę w ramiona. Ta wyrywa głowę z jego ramion i krzyczy, chacham Gideon. A głos jej jest głosem dziewczyny, w której nagle obudziła się miłość. I młody człowiek powiada do niej, Gemulo, idź za twoim mężem. Jak to, powiada Gemula — po tylu latach tęsknoty za tobą, mówisz do mnie idź, Gemulo? To jest twój mąż — powiada młody człowiek. A ty — powiada Gemula — kim ty jesteś, chachamie Gideonie? Ja — odpowiada młodzieniec — jestem niczym. Gemula wybucha śmiechem i powiada, ty jesteś dobrym człowiekiem, ty jesteś pięknym człowiekiem, takiego jak ty pięknego i dobrego człowieka nie ma więcej na świecie. Jeśli pozwolisz mi zostać z tobą, zaśpiewam ci pieśń o łabędziu, tę pieśń łabędź śpiewa tylko raz w życiu. Dobrze — powiada młodzieniec — zaśpiewaj. Zaśpiewam — mówi dziewczyna — pieśń o łabędziu i razem umrzemy. Gabrielu, masz wykopać dla nas dwa groby, jeden

obok drugiego. Czy obiecujesz mi to zrobić? Gamzo ręką zamknął jej usta i jeszcze mocniej objął. Ona usiłowała się wyrwać z jego ramion, ale on ją trzymał mocno i patrząc na Gineta zawołał: Wie pan, kim pan jest? Grzesznikiem, który nie cofa się przed grzechem pożądania żony bliźniego swego. Nie słuchaj go — odzywa się Gemula — ja nie jestem mężatką, możesz go zapytać, czy kiedykolwiek widział moje ciało. Wzdycha Gamzo ciężko i powiada, jesteś moją żoną, moją prawowitą małżonką. Poślubiłem cię według zasad wiary Mojżesza i Izraela. Idź — powiada Ginet — idź, Gemulo, z twoim mężem. Nienawidzisz mnie — odpowiada Gemula. Nie — odzywa się Ginet — to nieprawda, że cię nienawidzę, ja ci tylko radzę, mówię, co powinnaś uczynić. Słyszając to, Gemula opadła z sił i gdyby Gamzo mocniej jej nie trzymał, zsunęłaby się na podłogę. Gamzo wziął ją teraz na ręce i podniósł. Stałem razem z Ginetem i odprowadziłem ich wzrokiem aż za drzwi.

7

Trzydzieści dni trwa droga, którą księżyc przebywa. Już trzydzieści dni minęło, od kiedy Gamzo odebrał żonę od Gineta. Przez cały ten czas nie widziałem ani Gamza, ani Gineta. Z Gamzem nie widziałem się, ponieważ ja do niego nie zwykłem był chodzić, a on do mnie po prostu nie przyszedł. Aż tu pewnego dnia spotkałem go w arabskiej kawiarni. Siedział przy jednym stoliku z Amramem, synem samaryjskiego arcykapłana. W związku z tym, że spotkanie nie miało dalszego ciągu, nie zatrzymuję się na nim. Po raz drugi spotkałem go w Giwat Szaul w towarzystwie dwóch mędrców, Gwulona i Gagina, którzy trudnią się wyrabianiem pergaminu. To spotkanie również nie miało dalszego ciągu i dlatego też nie zatrzymam się na nim.

Tymczasem wróciła moja żona z dziećmi i woda w beczkach i kranach znowu zaczęła płynąć. Siedzę w domu i rzadko wychodzę na ulicę, toteż nie mam pojęcia, co się dzieje z Gemulą i Gamzem. A jako że cecha człowieka, której na imię miłosierdzie, jest silniejsza niż cecha wypływająca z pragnienia kary, wyobrażam sobie, że Gemula pogodziła się z mężem, a skoro pogodziła się, zaczęła znowu mówić i prawdopodobnie pozwala sobie nawet od czasu do czasu coś zaśpiewać, i głos jej z pewnością uzyskał dawne łabędzie brzmienie. A dla Gamza nie ma niczego droższego od głosu śpiewającej Gemuli. Dobrze, ale jeśli tak, jeśli tak jest, to dlaczego ręką zamyka jej usta, dlaczego nie daje jej śpiewać? Chyba dlatego, że pieśni śpiewane przez Gemulę są ze sobą ściśle związane, pieśni rzek związane są z pieśniami wysokich gór, wysokie góry z ptakami podniebnymi, a wśród ptaków jest taki ptak, który nazywa się łabędź i kiedy przychodzi czas, że łabędź ma urzeć, podnosi głowę ku chmurom i zaczyna śpiewać, a kiedy kończy swoje śpiewanie, musi natychmiast zejść ze świata. Wszystkie swoje pieśni wykonuje Gemula w swoim wymyślonym języku. I gdyby Gemula zaśpiewała pieśń łabędzia, musiałaby natychmiast umrzeć. Dlatego Gamzo zamyka jej usta.

Siedzę w domu i pracuję, czasem więcej, czasem mniej, kiedy słońce zachodzi, przestaję pracować, a dopóki słońce świeci na tym świecie, wszystko jest dobre i piękne. Jeśli po pracy starcza mi sił, wychodzę na spacer, jeśli jestem wyczerpany, siadam pod drzwiami albo stoję przy oknie i patrzę na to, jak dzień odchodzi i jak noc nadchodzi, jak gwiazdy usadawiają się na firmamencie i księżyc wschodzi.

Na razie nie widać ani gwiazd, ani księżyca. Niebo samo z siebie ze wszystkich swoich głębi, świeci i szaroniebieskie światło, niczym dojrzała śliwka, wisi między niebem a ziemią, a świerszcze, niezliczone świerszcze cykają, zalewają cały świat cykaniem, a w pobliżu mego domu drzewa szumią

niczym las w czas burzy albo morze w czas sztormu. Coś niezwykłego musiało się stać.

Zapuszczam głębiej w przestrzeń wzrok. Na świecie dzieje się przecież tyle rzeczy, a ja nie mam o tym pojęcia. Jedną z tych rzeczy było wydarzenie z Gemulą i Gamzem. Oto Gamzo wraca do domu i żony nie zastaje. Szuka jej tu, szuka tam i wreszcie znajduje ją w domu, dokąd przypadkowo zawędrował. Dziwię się też temu, że będąc naocznym świadkiem pochwylenia Gemuli przez Gamza, nie mogę się pozbyć wrażenia, że całego wydarzenia nie było, iż jest to zwykła gra fantazji, tam samo wysnuta z wyobraźni, jak opowiedziana przez Gamza historia nocy tańców, podczas której ubiegł Gadiego ben Geima i pierwszy wyrwał Gemulę z tanecznego korowodu. Nie ma takiej rzeczy na świecie, która by nie była z góry postawiona i przeznaczona. Kiedy ptak chce się zerwać do lotu, rozwija skrzydła, pod którymi pojawia się cień. Ptak najpierw ogląda swój cień, a potem dopiero zaczyna latać.

Księżyc jeszcze się nie pojawił, ale widać, że jest już gotów do wzejścia, już mu szykują miejsce na niebie. Chmury, będące dotychczas częścią nieba, rozplywają się i powoli wynurza się księżyc. Szczęśliwy jest człowiek, któremu światło księżyca służy, a nie szkodzi.

Zaczynam znowu myśleć o tych, którzy rwą się do księżyca, a od księżyca przechodzą do rzeczy, które związane są z ziemią, potem od ziemi przechodzą myślami do ludzi. Do owych ludzi, którzy jak cienie błakają się w nocy. Nie mam tu na myśli owej pary małżeńskiej, która z braku mieszkania błaka się po ulicach i kawiarniach, nie mam też na myśli ludzi, którzy opuścili kraj, a po powrocie utracili miłość krajan. Nie należą również do nich Greifenbachowie, którzy dla zażycia odpoczynku wyjechali za granicę. Mam na myśli wszystkich ludzi na kuli ziemskiej.

Greifenbachowie wracają. Informuje mnie o tym ich służąca Gracja, która otrzymała od pani Greifenbach kolorową

pocztówkę. I w związku z tym poszedłem zajrzeć do ich domu.

Dom jest zamknięty. Nikt się do niego nie włamał. Nie wiem, czy Ginet jest u siebie w pokoju. W każdym razie okno, które wtedy otwarło się przed Gemulą, jest teraz zamknięte. Greifenbachowie zastaną okno w najlepszym porządku.

Rano zajrzałem do gazety, czy nie ma wzmianki o ich powrocie do kraju. Patrząc, a tu wiadomość o śmierci niejakiego doktora Gileta. Nie znam człowieka o takim nazwisku, więc nie poświęcam jej większej uwagi, ale czuję, że zaczyna we mnie narastać niepokój, kiedy pojawia się niepokój, to znaczy, że mogła zajść pomyłka, zamiast litery „n” wkradła się litera „l”. A kiedy taka myśl przychodzi do głowy, to niełatwo jej się pozbyć. Znowu sięgam po gazetę, patrzę i widzę, że „l” jak byk stoi w nazwisku, ale jednocześnie zauważyłem w tejże literze „l” kształt jakby litery „n”, obie są ze sobą splecione. Sprawa zaczyna mnie gnębić. Aby uwolnić się od niepokojów, wychodzę na miasto.

Oglądam nalepione na ścianach nekrologi. Nie ma wśród nich zawiadomienia o śmierci Gineta. Może nie ma nekrologu dlatego, że Ginet nie zajmował żadnego stanowiska, w mieście był raczej nieznan. Z innego potem źródła informacji dowiedziałem się, że w istocie zmarł jakiś Ginet, i to w niezwyklej okolicznościach.

Zaczę jednak od początku. Chodzę więc po ulicy i myślę: jeśli to był Ginet, to dlaczego napisali Gilet, a skoro Gilet, to skąd mój niepokój? Spotykam starego Amrama. Chodzi wsparty o ramię swojej wnuczki. Pyta mnie, czy pan idzie na pogrzeb? Kiwam głową i powiadam, tak, idę na pogrzeb. Czy to nie dziwne — powiada Amram — kobieta przykuta do łóżka znajduje swoją śmierć na dachu. Wybałuszam na niego oczy, bo nie rozumiem, o czym mówi. Niezbadane są — powiada Amram — drogi Boga, kto potrafi je pojąć? Jeden naraża swoje życie po to, aby uratować drugiego człowieka

i sam ginie. Idziemy teraz nie na jeden pogrzeb, ale na dwa pogrzeby. Na pogrzeb żony Gamza i na pogrzeb dr. Gineta.

Gazety tego nie podały — odzywa się wnuczka Amrama Adna — ale ludzie, którzy byli na miejscu, opowiadają, że wczoraj ktoś wyszedł ze swego pokoju i zobaczywszy łązącą po dachu kobietę, bez namysłu wszedł na dach, aby ją uratować przed upadkiem, i w rezultacie oboje spadli i zabili się.

Idziemy więc razem, ja, Amram i jego wnuczka Adna, i tak dochodzimy do szpitala, w którym leżą ciała Gemuli i Gineta.

Drzwi do szpitala są zamknięte, siedzi przy nich wartownik, który przygląda się wszystkim przechodniom, wyobraża sobie, że wszyscy mają do niego prośbę, żeby ich wpuścił do środka, ale on nie zamierza ich wpuścić. Nikt jednak nie miał zamiaru wejść do szpitala. Wszyscy wchodzili do otwartego budynku, w którym mieści się izba przedpogrzebowa.

Na rogu budynku znajduje się pralnia, w której piorą rzeczy chorych. I chociaż jest ciasno, to oprócz izby przedpogrzebowej jest jeszcze jedno pomieszczenie do wypełniania nakazu gościnności, czyli mówiąc prościej, znajduje się pokój gościnny. Obok na połamanej ławce siedzi trzech strażników zmarłych, a w ich pobliżu stoi jeszcze jeden, który w tej chwili skręca papierosa. Na nasz widok podchodzi i powiada, całą noc przesiedziałem przy nieboszczyku i odmawiałem psalmy. A kto mi teraz zapłaci? Uznawszy mnie widocznie za porządnego człowieka, postanowił obdarzyć mnie micwą zapłacenia za czuwanie i odmawianie psalmów przy nieboszczyku.

Przychodzi żałobna rodzina i zajmuje miejsca na przeciwległej ławce, po chwili jedna z żałobniczek zrywa się z ławki i zaczyna chodzić tam i z powrotem, i kiwając się w takt zaczyna śpiewać treny. Smutna to kobieta i smutny jest jej głos. Z jej śpiewu ani jednego słowa nie rozumiem, ale jej chód i jej twarz szarpią moje serce. Wyjmuje nagle zdjęcie

młodzieńca, ogląda je i znowu zaczyna śpiewać, tym razem hymn pochwalny na cześć jego piękności i wdzięku i o długich latach, które mógł jeszcze przeżyć, gdyby nie pojawienie się Anioła Śmierci. Po tych słowach wszyscy żałobnicy wybuchają płaczem i kto tylko słyszy ich płacz, ten musi wraz z nimi zapłakać. W taki chyba sposób Gemula opłakiwała śmierć swego ojca.

Wtem widzę, jak Gamzo wychodzi z izby przedpogrzebowej, gdzie spoczywają zwłoki zmarłych. Zagubienie, które nieodstępnie towarzyszyło mu w życiu, ustępuje teraz miejsca zdumieniu i smutkowi. Podchodzę do niego. On palcem przeciera ślepe oko, wyjmuje chusteczkę i wkłada w nią mokry palec, po czym cicho płacząc powiada do mnie, to on, on, ten jerozolimski uczony, któremu niechcący sprzedałem moje segulot.

Przystępuje do nas jeden z tych strażników nieboszczyków, patrzy najpierw na mnie, potem na Gamza, taksuje nas wzrokiem niczym kupiec, co ma przed sobą dwóch klientów i nie wie, którym najpierw ma się zająć. Zanim ustala, kto z nas jest ważniejszą figurą, prosi o papierosa. Wsadza Gamzo rękę do kieszeni, wyjmuje torebkę z tytoniem i bibułki. Tymczasem wyniesiono mite* z ciałem Gineta. Gamzo dotyka palcem ślepego oka i spokojnym głosem powiada, temu to właśnie Ginetowi sprzedałem moje segulot. Mita rusza i za nią postępuje pół minjanu Żydów. Ja i jeszcze cztery osoby, które zetknęły się z nim w życiu, idziemy złożyć nieboszczykowi hołd. Nagle pojawia się jakiś żebrak, trzyma w ręku blaszaną puszkę, uderza w nią i woła: „jałmużna zbawi od śmierci”. Woła i jednocześnie ogląda się do tyłu, chce zobaczyć, czy aby nie wyniesiono jeszcze innych nieboszczyków, bo w takim wypadku może stracić na zarobku.

* *Mita* — deska służąca do przenoszenia ciała z izby przedpogrzebowej do grobu.

W drodze powrotnej z Góry Oliwnej spotkaliśmy się z konduktem pogrzebowym Gemuli. Kiedym wracał z pogrzebu Gemuli, zatrzymała się koło mnie na ulicy taksówka, w której siedzieli Greifenbachowie. Jak przyjemnie znowu się spotkać — zawołał do mnie pan Greifenbach. Jak tam nasz dom? Czy dalej stoi na swoim miejscu? A jakże — odpowiadam — stoi jak dawniej. Pani Greifenbach pyta mnie, i co, nikt się do niego nie włamał? Nikt — odpowiadam — nie włamał się. Czy poznał pan — pyta mnie dalej — dr. Gineta? Tak, poznałem go. Wtedy oboje państwo Greifenbachowie mówią do mnie, wsiądź pan do taksówki, pojedziemy razem do domu. Dobrze — zgadzam się — pojedę z wami. Nagle zjawia się policjant i zarzuca nam, że tamujemy ruch. Szofer taksówki nie pytając nikogo zapuszcza motor i Greifenbachowie odjeżdżają beze mnie.

W kilka dni później wybrałem się do Greifenbachów, żeby oddać im klucz. Tego dnia właśnie w pokoju Gineta komisja dochodzeniowa przeprowadzała rewizję. Cały jego dobytek składał się z rzeczy osobistych oraz dwóch blach, na których leżał popiół po jakichś spalonych papierach. Bardzo możliwe, że tymi papierami były pisma dr. Gineta. Kiedy zdążył je spalić? Czy tej nocy, kiedy Gamzo zabrał z jego pokoju Gemulę, czy tej nocy, kiedy, chcąc ratować Gemulę, spadł razem z nią z dachu? Co mogło spowodować, że Gineta w jednej chwili zniszczył to, na co pracował w ciągu długich lat? Jak zwykle na pytanie tego rodzaju niełatwo odpowiedzieć. Był przygnębiony wskutek rozczarowań i zwątpień, jakich doznał. Ale co konkretnie wywołało w nim zwątpienie, co spowodowało jego rozczarowania, tego się nie dowiemy. Ta zagadka pozostanie nierozstrzygnięta. Tu nie pomoże zwykły rozum, ponieważ przedmiotem badania byłby tu człowiek niezwykły i dziedzina wiedzy, jaką się zajmował dr. Gineta, też była niezwykła. W tej sprawie na nic też się zdadzą komentarze, które są tylko hipotezami albo wręcz pustosłowiem, jeśli się uwzględni, że rzecz wymyka się prawdzie. Są

również wydarzenia, dla których trudno znaleźć pociechę. I gdybyśmy uznali, że był to wyrok losu, to byśmy tym samym doszli do końca wszystkich przyczyn. Czy przez to jednak sprawa staje się jaśniejsza? Czy po ustaleniu przyczyny znika ból?

W pokoju Gineta znaleziono jeszcze coś. Był to list, w którym unieważnił prawa wydawców do wydania jego dzieł, w tym również prawo wznowienia swego słownika (*993 słowa w języku ido*) oraz zbioru pieśni ejnamskich.

I jak to zwykle bywa, wydawcy nie uszanowali jego testamentu. Przeciwnie, ciągle wydają jego dzieła, świat bowiem poznał się na tych książkach, a zwłaszcza na zbiorze pieśni ejnamskich. Jak długo mędrzec żyje, dostrzega albo nie dostrzega się go, zależy to od dobrej woli, ale kiedy umiera, dusza jego świeci światłem pozostawionych po sobie dzieł. Kto nie jest ślepy i umie patrzeć, ten dostrzeże to światło.

Taniec śmierci

Był smutny dzień zimy. Jeden z owych dni, kiedy gorycz i zmartwienie tak wypełniają duszę człowieka, że traci ochotę do życia. I takiego właśnie dnia rzecz ta się wydarzyła.

Wyszedłem z domu i bezwiednie podążyłem do miasta. Właściwie nie wiedziałem, po co tam idę. Jakiś ukryty w mózgu nerw poruszał moimi nogami pchając je w kierunku miasta. Ulice tonęły w błocie. I kiedy przechodziłem przez to morze błota, ludzi, psów i brudnego śniegu, wszystko wydało mi się martwe i wstrętne. I w ogóle ziemia wydała mi się głupią i jeszcze głupiej wyglądało teraz zachmurzone niebo. Odniosłem wrażenie, że wszystko dookoła pozbawione jest życia. Wszystko dotknięte jest śmiercią. I mimo to czułem, że we mnie, że w moich żyłach bije chęć życia. I zapragnąłem poszukać tego życia. Ale gdzie można je znaleźć?

I wpadło mi na myśl, że w tym celu trzeba pójść na cmentarz. U prawdziwych zmarłych można znaleźć życie.

W drodze na cmentarz miałem przykre spotkanie. Jakaś stara brzydka chłopka o pożółkłej twarzy stała przed kościołem. Na jej widok ogarnęło mnie obrzydzenie. Szybko ją minąłem i niemal biegiem dotarłem do cmentarza. Przy pierwszym grobie natknąłem się na dziwne widowisko. Na płycie grobowej stadko czarnych wron tańczyło smutną polkę. I w ogóle do tego smutnego widoku doszedł jeszcze dziwny żalosny śmiech. Odniosłem wrażenie, że śmieją się tu z mojej klęski psychicznej.

Błysk myśli i szybko zdałem sobie sprawę, że w ten sposób ktoś przekazuje mojej duszy wieść o czekającym ją nieszczęściu.

Kiedy po południu udałem do bóżnicy, żeby odmówić modlitwę mnicha, spotkałem po drodze roznosiciela depesz.

Dziwnie nieprzyjemne uczucie ogarnęło mnie na jego widok. Jego zwyczajny, normalny głos odczułem w uszach jak zgrzytanie po szkle. W małych, chudych palcach trzymał telegram. Był przeznaczony dla mnie. Zawierał polecenie, żebym jeszcze dzisiejszej nocy przyszedł na dworzec kolejowy. Rzuciłem okiem na podpis nadawcy. Brzmiał niesamowicie: „Danse macabre”.

Ciarki przeszły mi po skórze. Wielki strach zaczął wygrywać na moich delikatnych nerwach marsz cierpienia.

Tym „Danse macabre” była dziewczyna o czarnych oczach, bladej twarzy i smutnym głosie. Wyglądała raczej na jakieś medium, na wytwór hipnotycznego transu niż na żywą, normalną istotę. Wywarła na mnie szokujące wrażenie. Takie samo jak jej imię, „Danse macabre”, czyli Taniec śmierci.

Zadałem sobie pytanie: Co ona tu robi? Czego ode mnie chce? I każde z tych pytań wzniecało w moim sercu niepokój.

Kiedym zabrnął przez błoto na dworzec, ona już tam na mnie czekała. Wyglądała strasznie. W oczach nieziemskie spojrzenie, spojrzenie nirwany, spojrzenie człowieka zwolnionego ze wszystkich ziemskich pragnień i namiętności. Tym spojrzeniem przeszła mnie na wylot, po czym wręczyła mi zapieczętowany list. Biorąc od niej list, nasze ręce się zetknęły i oboje naraz zadrżeliśmy.

Minęła dłuższa chwila, nim zdecydowałem się otworzyć kopertę. Wreszcie z niepokojem w sercu zaczynam czytać. Po pierwszych słowach już wiem, co się stało. Umarł. W gorących, żarliwych słowach pisze o sobie, a więc o rzeczy, którą tylko z największym trudem potrafię ujawnić. Do listy załączył zbiorek wierszy. Jeśli chodzi o zbiorek, mam szczerzy zamiar nie tylko go opublikować, ale nawet dopisać wstęp o życiu autora i o cierpieniach, które przypadły mu w udziale. A było ich mnóstwo. I przez wzgląd na te cierpienia modłę się do Boga, żeby otworzył przed jego duszą bramę raju.

Ciężkie i mroczne miał życie. Mroczne i czarne jak jego czarne poetyckie oczy. Czarne jak włosy jego ukochanej Miriam, której wszystkie swoje utwory poświęcił. Jej też, bez reszty, oddał swe serce. Opisuje to w krótkim wierszu, który kiedyś ułożył z okazji dnia jej urodzin.

„Muzo w mym sercu drzemiąca
Natchnij mnie myślą i czuciem
Bym wiersz ten i pieśń ułożył
Na cześć mej kochanej dziewczyny
Ale co mam napisać i o czym zaśpiewać?
Gdy źródło pomysłów dawno już wyschło
Mogę więc tylko serce ci oddać
Cóż kiedy mam już nie moje, ale twoje”.

Jeśli chcecie poznać jego życiorys, to pozwolę sobie przytoczyć jego wiersz pod tytułem *Bajeczka o bożniczce*.

„Smutek ogarnia starą bożniczkę
Kiedy mówić o niej zaczynam
W dzień i w nocy nad księgami ślęczałem
Bez względu na upał, nie bacząc na chłód
I w niej całe swe życie strawiłem
I po tym wszystkim cały mój świat się zawalił
Marzyła mi się przyszłość jasna i wielka
Czarem poezji miałem podbić świat
Miałem być sławiony w domach Izraela
Widziałem siebie i swoje utwory
Na pierwszych stronach gazet
Wierzyłem że moimi mądrymi słowami
Góry potrafię przenosić.
A kiedy to się stanie
Ojciec Miriam z pewnością
Zapragnie mnie za zięcia wziąć
Z większym tedy animuszem

Do nauki się zabrałem”.

„I nim osiągnął sławy szczyt — od siebie już dodaję —
Z ciała uszły wszystkie siły
I biedak umarł nagle”.

I powiedzcie, ludzie. Na miłość boską, czyż nie jest to pełny, do końca doprowadzony życiorys? Człowiek napracował się, zaharował się bez reszty i kiedy upragniony cel, dla którego poświęcił najlepsze lata życia, znalazł się już w zasięgu jego ręki, umarł z powodu upływu sił.

Tragedia tej biografii polega na tym, że nie jest to zjawisko odosobnione. Takich biografii jest sporo.

Prozą zaś niewyszukaną poeta przedstawił historię swego życia w ten sposób:

Był pisarz. Tak się składa, że tym pisarzem jest właśnie on sam. Duszą pisarza miały zmienne, spiralnie wznoszące się uczucia. Jego nerwy były strunami wygrywającymi różne nastroje, jego serce zaś było niczym drogocenne skrzypce. I wystarczyło, żeby wietrzyk miłości zadał w struny jego skrzypiec, a już zaczynały się rozlegać czarujące melodie. Zaczynały wydobywać się z nich dźwięki pełne tkliwości i czulej miłości. Takich uczuć miłości żaden człowiek nie potrafi słowami wyrazić. Nawet gdyby chciał je głośno z krzykiem wydobyć z gardła.

Ten pisarz miał żonę. Kochał ją miłością wielką. Całą duszą i całym sercem. I oto pewnego dnia Miriam — ukochna żona umiera. Owdowiały pisarz postanawia uczynić coś dobrego dla duszy żony w zaświatach. Zabiera się jako pisarz-kopista do przepisywania na zwojach pergaminu Tory, czyli Pięcioksięgu. W ten sposób zostanie zachowana i uświęcona pamięć o jego żonie.

W czasie pisania odczuwał jakąś dziwną przyjemną boleść i wielkie zaiste zadowolenie. Bywały jednak także dni pozba-

wione owego zadowolenia i przyjemnej boleści. Zdarzały się dni mroczne, nieprzyjemne, niełaskawe. W te dni pisarza opanowywały smutne myśli. Przerażała go myśl, że nie zdąży z przepisaniem całej Tory.

Że w trakcie pisania oślepie. Ale Bóg okazał się dla niego miłosierny i światło jego oczu nie zgasło przed czasem. Dla uwieńczenia dzieła zostawił małą końcówkę. W dniu, w którym miał końcówkę wypełnić, wstał skoro świt i udał się do mykwy, żeby zażyć oczyszczającej kąpieli. Następnie nasz pisarz-kopista, który zwał się Rafael, poszedł do bożnicy, gdzie odmówił poranną modlitwę, i znowu udał się do mykwy. Mógł zakończyć przepisanie Tory przed kilkoma już dniami, ale nie czuł się na tyle czystym, żeby móc tę świętą pracę zakończyć. Żeby ją zgodnie z prawem Zakonu zakończyć, należy być arcyczystym w sensie fizycznym i duchowym. Przez trzy dni robił wszystko, żeby tę czystość osiągnąć.

Odprawiał post. Kilka razy w ciągu dnia zanurzał ciało w czystej wodzie mykwy. Wczytywał się w tajemne kabalistyczne księgi, nim poczuł, że jego dusza jest czysta i wolna od wszelkiej grzesznej myśli. Po tym wszystkim wrócił do domu i wszedłszy do środka, natychmiast zasłonił firankami okna, żeby broń Boże żadna najmniejsza bodajby iskierka nieczystości nie wślizgnęła się z błyskiem do pokoju. Umył ręce i zmarszczył czoło, zasiadł od pisania. I wokół każdej litery, którą napisał swoją chudą ręką, zaczęły od razu szymbować niewidzialne, mistyczo kabalistyczne istotki. Ze zdwojoną ochotą i energią wodził drżącą ręką po pergaminie. Wnikliwie wsłuchiwał się w każde skrzypnięcie pióra, jakby spodziewał się usłyszeć dolatujący z niego głos Boga.

Miał Rafael taki zwyczaj, że pisząc nowy zwój Tory zostawiał zawsze kilka wersetów na uroczyste zakończenie dzieła. Każdy Żyd mógł wtedy zakupić, jakby na aukcji, jedną literę do napisania w jego imieniu i dla jego chwały. Tym razem Rafael nie chciał, żeby ktoś oprócz niego miał najmniejszy, choćby jednoliterowy udział w napisaniu świętej

księgi. Pisał ją przecież dla uwiecznienia pamięci żony Miriam. A prawo do tego miał tylko on. Przy końcówce zwykle śpiewa się przepisową melodię. Tym razem postanowił, że on sam ją zaśpiewa.

I kiedy Rafael napisał ostatnią literę i zrolował zwój, który wpasowany już był w pięknie wyrzeźbione drążki zwane „drzewami życia” — przedtem polecił wyryć na nich słowa: „ku pamięci duszy mojej żony, pani Miriam, która za młodu odeszła z tego świata” — uniósł go do góry i zaśpiewał. I nagle uprzytamnia sobie, że melodia, którą śpiewa, wcale nie jest nowa. Jest dziwnie znajoma. Ale gdzie ją przedtem słyszał? Po chwili przypomina sobie. Tak, słyszał ją przed laty w święto Simchat Tora, przed zaręczynami z Miriam. Pamięta, jak podczas tego święta zauważył ją, jak stała na piętrze bożnicy w babińcu i spoglądała na dół, gdzie mieściła się bożnica męska. Tu mężczyźni ze zwojami Tory w rękach w tanecznym korowodzie krążyli wokół bimy. Panowała ogólna radość. On sam, jako kawaler, doznał zaszczytu noszenia Tory w tanecznym korowodzie. Szedł na czele i śpiewał nową, przez siebie skomponowaną melodię. Na dźwięk tej nowej melodii zaległa w bożnicy cisza. Wszyscy w skupieniu nadstawili uszu. I oto stała się rzecz niezwykła. Kobiety z babińca zbiegły do męskiej części bożnicy. Rafael na chwilę przestał śpiewać. Przechodzi z Torą wokół bimy. Dziewczęta dotykają Tory czubkami palców, po czym przykładają je do warg. Całują w ten sposób Torę. I oto Miriam podchodzi do Tory, którą trzyma Rafael. Dotyka palcami Tory i styka się z ręką Rafaela. I wielka przyjemność i radosna błogość ogarniają Rafaela. I mocno, z całej siły przyciska zwój Tory do serca. I znowu zaczyna śpiewać.

I nagle oderwawszy się od wspomnień, słyszy z drugiego pustego pokoju jakby odbity echem głos. Czyj to głos? Kto mu wtóruje śpiewem? Czyżby Miriam?

Tak, Miriam zbliża się do niego. W jej oczach czai się smutek bezbrzeżny, a na wargach błąka się dziwny jakiś

uśmiech. Ma na sobie ślubną suknię. Jak to jest? Przecież pociął ją niedawno po to, żeby zrobić z niej zasłonę do Arki Przymierza.

Podchodzi blisko. Już stoi przy nim.

— Miriam!

I głos spod ślubnej sukni odpowiada:

— Tak. Miriam!

I jakaś niewysłowiona słodycz przepelnia jego serce. Oto już dotyka jej. Czuje, że ślubna suknia jakby go pogłaskała. Odczuwa rozkosz.

I zaczyna z nią tańczyć.

A co z melodią?

— Niesamowita. Dziwna.

I dogasająca lampa rzuca swoje ostatnie płomienie na taniec śmierci.

Ostatni błysk oblał światłem pożółkłą twarz Rafaela, który leżał na podłodze ze zwojem Tory w rękach obok białej ślubnej sukni.

* * *

Młody poeta myślał, że przeżyje Miriam, ale Anioł Śmierci przeciął nić jego żywota wcześniej. I oto teraz po śmierci Rafaela przyszła do mnie Miriam i wręczyła mi jego piękne utwory, które zdążył napisać w swoim krótkim życiu.

Oczy zalały mi się łzami. Spojrzałem na Miriam. Jej imię „Danse macabre” wstrząsnęło mną do głębi. I oto dzieje się coś niesamowitego. Na moich oczach odbywa się taniec. Rafael z Miriam tańczą taniec śmierci.

Potem, kiedyśmy się trochę uspokoili i bijące z oczu Miriam słońce wysuszyło moje łzy, opowiedziała mi o tym, co się działo w ostatnich dniach jego życia.

Dziwne było to życie i dziwna była jego śmierć. Kilka godzin przed jego śmiercią Bóg wsadził swoją świetlaną

głowę w duszę poety i włosami wymiół z niej do ostatka wszystko, co ziemskie. I dusza Rafaela stała się czysta. Tak czysta, jaka powinna być dusza poety.

Przedtem jednak Rafael widział Wiecznego Żyda... Przypomniat sobie również sagę o „Latającym Holendrze”, który zjawia się zawsze wtedy, kiedy statek ma zatonać. Zrozumiał wtedy Rafael, że jeśli jakiś ważny Żyd ma umrzeć, ukazuje mu się Wieczny Żyd. I Wieczny Żyd przyszedł w odwiedziny do chorego Rafaela. Podczas tej wizyty opowiedziała Rafaelowi o wielu zdarzeniach i rzeczach, które widział na żydowskiej ulicy. Sporo z tego Rafael zapisał na odwrotnej, czystej stronie lekarskiej recepty. Jedna z tych opowiadanych przez Wiecznego Żyda historii dotyczyła pewnego biednego poety z ulicy żydowskiej.

Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak i skąd wzięła się lampa wisząca na wysokim słupie przy wielkiej synagodze. Zdumiewająca rzecz. Taka duża lampa w tak małym miasteczku. Biedne miasteczko, biedni Żydzi, a tu ci droga, bo w miedzianym, pozłacanym korpusie osadzona lampa. Wisi na słupie i z wysoka, boleśnie smutnym spojrzeniem patrzy na małe, mroczne domki stojące na żydowskiej ulicy. I wydaje się, że mówi do ludzi: Zakosztujcie i wy smaku światłości. Poznajcie, co to jest i co znaczy światło. Wisi samotna, jedna jedyna, na małej uliczce. Przypatruje się nędzy i biedzie wokół panującej.

Czasami chyba lampa sama zadawała sobie to pytanie, na które mieszkańcy miasteczka nie mogli odpowiedzieć. A pytanie brzmiało: „Kto mnie tu zawiesił?”

I ponieważ nikt nie był w stanie na to pytanie udzielić właściwej odpowiedzi, powstały liczne legendy na jej temat.

A legendy o niej opowiadano zawsze po cichu. I tym, którzy ich słuchali, otwierały się serca i uszy. Wszyscy chłonęli z zapartym tchem wydarzenia, które przed dawnymi dobrymi laty w tym miasteczku się przytrafiły.

Matki opowiadały je chorym dzieciom. Ze wzruszenia płakały zarówno opowiadające matki, jak i słuchające dzieci.

I nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś miał dosyć słuchania tych legend. Można je było powtarzać w nieskończoność. Często towarzyszył tym opowiadaniom strach. Włosy jeżyły się na głowach opowiadających i słuchających. Treścią bowiem legend było straszne wydarzenie.

Dawno, dawno temu pewien magnat zakochał się w pięknej Żydówce. I oto w dzień ślubu Żydówki, kiedy ta stała już ze swoim oblubieńcem pod baldachimem, zakochany magnat zabił pana młodego i siłą porwał Żydówkę do swego pałacu. Po latach wnuk ich wrócił na łono judaizmu i gorliwie studiował Torę w starym małym beit hamidraszu, wznoszącym się niedaleko synagogi. I żeby oświetlić sobie drogę do beit hamidraszu, postawił słup, na którym zawiesił tę drogo-cenną lampę.

Opowiadano również, że przez bardzo długi czas kohen podążający do synagogi albo do beit hamidraszu omijał tę część drogi, ponieważ w tym miejscu miał być pochowany ów nieszczęsny oblubieniec, którego zabił był przed laty magnat.

Włos się jeżył na głowie, ciało oblewało się potem, oczy płonęły i ciarki przechodziły po grzbiecie, kiedy opowiadano o tym, że każdej nocy o godzinie dwunastej, kiedy tylko kogut po raz drugi zapieje i gwiazdy na niebie zaczynają się zmieniać, i w pogrążonym we śnie miasteczku zapadłe ze starości domki jeszcze bardziej zapadają się w ziemię, otwiera się na gojskim cmentarzu pewien grób, z którego wychodzi blada dama. Gęstą woalką stara się zasłonić twarz. Widać, że nie chce zostać rozpoznaną. Staje na nogi i zaczyna iść. Idzie i idzie. Chce się oddalić od grobu. Idzie w kierunku synagogi. Jest już blisko. I oto z synagogi wychodzi jej zamordowany przed laty narzeczony. Wyciąga do niej rękę. Ona je podchwytuje i oboje zaczynają tańczyć. Objęci miłosnym uściskiem wirują w tańcu śmierci. I tańczą tak długo, aż nie zjawi się pierwszy Żyd, który przychodzi do synagogi, żeby odmó-

wić modlitwę zwaną „chacot”^{*}. Wtedy spotyka tam owego gorliwego młodzieńca, który pilnie studiuje Pismo.

Przez długie lata lampa wisiała samotnie. Była jedynaczką na żydowskiej ulicy. Świeciła tym, którzy wstawali o północy, żeby opłakiwać zburzenie Świątyni Pańskiej. Udzieliła światła pobożnym i gorliwym Żydom, którzy przychodzili studiować Pismo. Świeciła w długie zimowe noce stróżowi, który samotnie obchodził tonącą w mroku ulicę, żeby pilnować obcego dobytku. Świeciła podczas Strasznych Dni pokuty, kiedy Żydzi wznosili błagalne modlitwy o odpuszczenie grzechów. Biedakowi przybyłemu z innego miasta wskazywała drogę do beit hamidraszu. Zdawała się zachęcać go tymi słowami: „Drogi gościu, zapewne jeszcze nic nie miałeś w ustach, dlatego wskażę ci drogę do miejsca, w którym znajdziesz ciepłą stawę i ciepły nocleg”. Oświeślała też drogę do domu wędrującemu po wsiach handlarzowi. I do niego jakby starała się mówić: „Naharowałeś się do utraty sił, biedaku. Idź w spokoju do domu, do żony i dzieci. Zjedz kolację i wypocznij. Wyśpij się we własnym łóżku, pod własnym dachem. A jeśli jutro lichwiarz wyrzuci cię wraz z dziećmi z domu, nie martw się. Dzisiejszą noc prześpisz jeszcze w domu. Serce ci się kraje, kiedy patrzysz, jak twoje dzieci chodzą boso i goło. Wiem, że nie możesz zasnąć słysząc, jak twoja najmłodsza córeczka strasznie kaszle. Przejmujesz się tym, że najstarsza córka wędnie w staropanieństwie. Otóż nie martw się. Jesteś przecież Żydem, a Żyd nie traci nadziei. Dopóki żyjesz, dopóki oddychasz, póty kiełkuje w tobie ziarenko życia, nie trać nadziei”.

Minęło wiele lat.

Teraz na modlitwę chacot nikt już nie chodzi. Umilkły głosy Żydów studiujących Pismo. Stróż nocny umarł z głodu i chłodu. Na nowego stróża miasteczko nie ma pieniędzy. Na pokutne modlitwy selichot mało ludzi przychodzi. Odremon-

^{*} *Chacot* (północ) — modlitwa odmawiana o północy.

towano stary beit hamidrasz, ale zamknięto go na siedem spustów, żeby różni wędrowni goście czy włóczykije nie zapaskudzili Bożego domu. Wędrownemu handlarzowi odebrano prawo obnoszenia „towaru” po wsiach. I miasteczko zapadło w drętwy sen. Gdzieś tylko w jakimś salonie kilku młodych ludzi grało w nocy w karty. W jakimś bogatym domu zmizerowana szwaczka szyła po nocach koszule dla córki właściciela.

I z powodu senności i drętwoty, w jaką zapadło miasteczko, naszej lampie sprzykrzyło się samotne bytowanie. Zaczęła się rozglądać. Raz po raz zerknęła dalej od uliczki żydowskiej. Spodobała jej się położona dalej szeroka gojska ulica. I zapragnęła tam świecić! Wśród gojów palić się i świecić. Ale nic z tego!

Otóż pewnej bardzo mroźnej nocy stanowczym ruchem głowy dała znać, że nie robi tego. Nie ma dla kogo tam świecić.

Bo oto otworzyły się drzwiczki małego pochylonego domku. Wszedł z niego chudy młodzieniec o bladej twarzy i gorących oczach. Dwa czarne długie pejsy ledwo przykrywały zapadłe policzki. Mały taśes wystający z podartej marynarki nie był w stanie przykryć zapadłej piersi. W ręku trzymał papier i ołówek. Na cienkich nogach podszedł do słupa i stanął pod światłem lampy. Rozwinął papier i drżąc z zimna zaczął pisać wiersz.

A wtedy lampa obróciła swoją bladą miłosierną twarz ku młodzieńcowi. Rzuciła światło na papier i litościwie patrzyła na tego biednego, chorego, wychudłego chłopca, który nie bacząc na okrutny mróz pisał swoje wiersze. A jego wiersze mówiły o samotności, biedzie, nieszczęściach, o straszliwych cierpieniach. Zawierały też błaganie autora o litość dla samotnych i chorych, dla słabych i cierpiących ludzi. I wtedy płomień w lampie wzmógł się. Lampa zrozumiała, że nieszczęsny młodzian nie ma światła w domu, że ostatnia świeczka, przy której dotąd pisał, wypaliła się, a na nową go nie stać.

I wspaniała, drogocenna lampa osadzona w miedziano-złotym korpusie pojęła, że ma dla niego świecić. Już nie jest samotna. Ma towarzysza i przyjaciela.

Ale pewnej nocy tej samej zimy mróz był jeszcze większy. Do tego wszystkiego powiał straszny, przenikający do szpiku kości wiatr. Nasz młody poeta, zgodnie ze swoim zwyczajem nie bacząc na wiatr i mróz, stanął pod lampą, żeby pisać swoje smutne wiersze. Zaziębił się tym razem śmiertelnie. Wiatr zaczął nim miotać. Poeta uczeplił się słupa, ale nic nie pomogło. Wiatr oderwał chłopca od słupa i rzucił na ziemię.

Miedziany korpus — serce, w którym osadzona była lampa, pękło i spadło do stóp martwego poety.

* * *

Ta historia z lampą ma ścisły związek z biografią owego poety, aczkolwiek stanowi rzecz uboczną.

Co się zaś tyczy śmierci poety, o której była mowa na początku, należy podkreślić, że kiedy konał, była przy nim tylko Miriam. Samotne miał życie i samotną miał śmierć.

A może ludzie mają jednak rację? Kogo mieli pochować? Czy poeta umiera?

Spis treści

Dwaj uczeni w piśmie, którzy żyli w naszym mieście	9
Przypowieść z morałem	73
Praca	153
Wytwórca octu	157
Historia z kozą (Bajka)	165
Zaginiona książka	169
Porywacze	177
Ido i Ejnam	187
Taniec śmierci	249

**Wydawnictwo Dolnośląskie
poleca następujące tytuły:**

Antologia izraelska

Ułożył i przetłumaczył Marian Grzeńczak

Antologia utworów trzydziestu współczesnych poetów języka hebrajskiego opracowana w latach 1983–1991 pozwala poznać twórców w większości nie znanych polskim czytelnikom. Znajdują się w niej utwory poetów trzech pokoleń, m. in. Jehudy Amichaja, Chaima Guriego, Arona Szabtaja, Natana Zacha — poetów o różnych wyobraźniach, wzorach tradycji literackiej.

(Książka ukaze się w I kwartale br.)

BIBLIOTEKA POPULARNA

Książki, do których chętnie wracamy

Isaac Bashevis Singer

Miłość i wygnanie

przekład Lech Czyżewski

Autobiografia znanego pisarza, laureata Nagrody Nobla, obejmuje okres młodości I. B. Singera w Polsce oraz kilka lat jego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Książka stanowi zapis przemyśleń autora oraz faktów z jego życia, włącznie z nie zakłamanym opisem przeżyć erotycznych. Fabularyzowana forma sprawia, że czyta się ją jak fascynującą powieść.

(Książka ukaze się w I kwartale br.)

BIBLIOTEKA PISARZY ŻYDOWSKICH

Seria najświetniejszych utworów
pisarzy tworzących w jidysz

Isaac Bashevis Singer

Szatan w Goraju

przekład Chone Shmeruk i Monika Garbowska-Adamczyk

wstęp Monika Garbowska-Adamczyk

Akcja rozgrywa się w miasteczku na Lubelszczyźnie, w drugiej połowie XVII wieku. Jest to historia zbiorowej egzaltacji mesjanistycznej, opisana niezwykle kunsztownie, z wycuciem odcieni psychologicznych i z pietyzmem dla szczegółu.

Szatan w Goraju uważany jest za najlepszą powieść w dorobku literackim Singera.

(Książka ukaze się w II kwartale br.)

Izrael Jozua Singer

Bracia Aszkenazy

przekład Maria Krych

wstęp Eugenia Prokop-Janiec

Pierwsze pełne polskie wydanie powieści uznawanej za najwybitniejsze osiągnięcie literackie autora. Jej wielowątkowa akcja toczy się w Polsce w Łodzi, a także w Rosji.

Rozpoczyna się po wojnach napoleońskich, kończy — w latach dwudziestych XX wieku.

Ogromnym walorem tej książki jest upamiętnienie przebogatej obyczajowości i religijności żydowskiej oraz procesu asymilacji polskich Żydów i próba określenia granic tej asymilacji.

(Książka ukaze się w III kwartale br.)

Szołem Alejchem

Z jarmarku

przekład Michał Friedman

wyd. II

Powieść autobiograficzna ukazująca panoramę losów ludności żydowskiej na Ukrainie pod koniec XIX wieku. Dziecięce i młodzińcze lata pisarza ukazane są poprzez kilka epizodów: zabawnych, refleksyjnych, nastrojowych, ale i tragicznych.

Dzieło stanowi zaledwie początek zamierzonego cyklu. Plany te zniweczyła śmierć autora, bystrego obserwatora i doskonałego satyryka.

(Książka ukaze się w IV kwartale br.)

Szmuel Josef Agnon (właśc. Sz. J. Czaczkes, 1880–1970) urodził się w Buczaczu, powiatowym mieście we wschodniej Galicji. Wychowywał się w rodzinie mocno przywiązanej do tradycji żydowskiej. W młodości odebrał staranne wykształcenie w naukach judaistycznych. Był zwolennikiem żydowskiego ruchu oświecenia zwanego Haskalą. Od najmłodszych lat przejawiał talent literacki. Pierwsze jego utwory to pisane w języku jidysz opowiadania z życia religijnych Żydów. W 1907 r. wyjechał do Palestyny i tam, w Jaffie, zaczął tworzyć w języku hebrajskim. W latach 1913–1924 mieszkał w Niemczech. W 1924 r. powrócił do Palestyny i osiadł na stałe w Jerozolimie. Tu powstała większość jego hebrajskich utworów, w których przeplatają się motywy z życia Żydów polskich z motywami Palestyny i później Izraela. W 1930 r. odwiedził Polskę. W 1966 r. otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Ale lata 1967 i 1968 nie sprzyjały publikowaniu jego utworów w Polsce i dotąd nie ukazała się u nas żadna jego książka.

850

85 00.0

56411